

Robert

Nazywam się Robert Cyprysiak. Mam iat dwadzieścia sześć. Wykształcenie średnie, ale niepeł-ine. Skończyłem trzy klasy ogólniaka. To znaczy prawie y. Z trzeciej klasy wylali mnie w maju, tuż przed ^zakończeniem roku szkolnego. Gdyby nie to, z pewnością 'Otrzymałbym promocję. Z matematyki pewnie bym się poprawił.

Zawodu wyuczzonego ani żadnego stałego zajęcia nie posiadam. Utrzymuję się z prac dorywczych. To tu, to jtam. Jak podleci. Byle wyżyć. Byłem dwukrotnie karany jsądownie. Raz skazano mnie na rok pozbawienia wolnoś-ici, z artykułu dwieście cztery, paragraf pierwszy, drugi raz na trzy lata, z artykułu dwieście dziesięć, paragraf pierwszy. Odbyłem całą karę. Więzienie opuściłem w dniu dwudziestego ósmego listopada zeszłego roku. Chcę pomóc w śledztwie i myślę, że moja dobra wola i chęć współdziałania wzięte zostaną pod uwagę.

To, co powiem, będzie prawdą, całą prawdą i tylko prawdą. Jeżeli popełnię jakieś nieścistości czy omyłki, to nie ze złej woli, ale dlatego, że czasem pamięć mnie

Jl-CI

'%«.

zawodzi. W wieku lat siedmiu uległem poważnemu wypadkowi. Miałem wtedy pękniętą podstawę czaszki i wstrząs mózgu. Od tej pory, mimo że badania encefalo-graficzne nic nie wykazują, pamięć mi czasem nie dopisuje, a dwukrotnie nawet uległem atakom epileptycz-nym, po których traciłem przytomność. W czasie moich procesów sądowych obrońca wysuwał to jako okoliczność łagodzącą. Niestety, nie mogliśmy przedstawić świadków, że ataki takie miałem. Biegli psychiatrzy i wysoki sąd nie chcieli uwierzyć w moją padaczkę.

Cała historia zaczęła się w czwartek, dziewiętnastego stycznia bieżącego roku. Obudziłem się z cholernym kacem. Suszyło mnie jak wszyscy,diabli."Poprzedniego dnia w pośredniaku, gdzie zachodziłem codziennie w poszukiwaniu odpowiadającej moim zdolnościom i zdrowiu roboty, spotkałem dwóch starych znajomych. Dawno się nie widzieliśmy. Trochę razem wypiliśmy, ale spokojnie, kulturalnie, bez najmniejszego zakłócenia porządku publicznego. Około północy wróciłem do mieszkania obywatelki Reginy Biel, u której czasowo

mieszkałem po opuszczeniu zakładu karnego. Reginka też była już na cyku, a w dodatku okazało się, że ma w domu zapasy alkoholu. Wypiliśmy więc razem z Reginką pół basa i wtedy dopiero mnie zmogło.

Rankiem dziewiętnastego stycznia obudziłem się zupełnie przegrany. Łeb pękał i suszyło mnie, jakby wszyscy diabli przyssali- się do moich bebeczków. Reginka jeszcze spała. Chciałem łyknąć kilka proszków od bólu głowy i strzelić sobie jakiś kefirek. Nie mogłem przecież cały dzień przeleżeć w wyrku. Byłem na dwunastą umówiony w pośredniaku. Miał się tam zjawić facet. Obiecał zaprotegować mnie u jednego prywaciarza z Rembertowa, który podobno potrzebował pilnie presera do wtryskarki. Bardzo zależało mi na tym spotkaniu. Nie chciałem wracać na drogę przestępstwa i naprawdę szukałem

podpadającej mi roboty. Postanowiłem nawet, że jak do końca miesiąca nie trafi się nic podchodzącego, to pójdę ostatecznie i do budownictwa za niewykwalifikowanego. Taki już jestem, że jak coś sobie przyrzeknę, to spełniam, a że nie miałem ochoty na budownictwo, to naprawdę przykładałem się do szukania roboty. W domu proszków ani kefiru nie było, Reginka za skarby nie chciała się rozbudzić, więc się ogoliłem, umyłem, ubrałem i wyszedłem na ulicę.

Najpierw za trzy złote kupiłem proszki od bólu głowy. Nie miałem jednak czym popić, a na sucho łykać niewygodnie. Znowu pomyślałem o kefiru albo kwaśnym mleku. Ale jak[^]sobie przypomniałem te wszystkie smrody, jakie są w każdym barze mlecznym, to aż mną wstrząsnęło i zamiast na roztrzepaniec wpadłem na piwko do „Jantara” przy ulicy Świętokrzyskiej.

Zamówiłem duże piwo i porter, ustawiłem się przy oknie, łyknąłem trzy proszki, popiłem piwkiem przełamanym porterkiem i spokojnie czekałem, aż mi głowa nieco popuści. I wtedy, na moje nieszczęście, przyplątał się poeta R. Z poetą R. uczęszczałem do ogólniaka. Ja zresztą wtedy też byłem na etacie klasowego poety. Dwóch nas było takich zdolnych w klasie, R. i ja. Pisywaliśmy wiersze i wysyłaliśmy je do rozmaitych redakcji. Raz się nawet zdarzyło, że mój wiersz wydrukowali w „Głosie Pszczelarza”, podczas gdy jemu zawsze odpowiadano, że utwory jeszcze się do druku nie nadają i musi dużo

nad sobą pracować oraz czytać wiele dobrej poezji. Tak więc w tamtych czasach to ja bywałem na wierzchu.

Później się zmieniło. Najpierw wylano mnie ze szkoły, bo miałem nieporozumienie z panią od biologii, a wkrótce potem była pierwsza odsiadka. I już nie pisywałem Więcej wierszy. R. je nadal gryzmolił, gryzmolił, aż W końcu zaczęli go drukować, i teraz on jest młodym, dobrze zapowiadającym się poetą, a ja starym powyro-

1

kowcem, poszukującym znośnej roboty, w której można by zarobić na chleb i na coś do chleba, a przy tym zbytnio się nie uszarpać.

Poeta R. od razu mnie rozpoznał. Przywitał się serdecznie i zaczął wypytywać. Początkowo to taki chętny do rozmowy nie byłem, potem jednak się okazało, że R. wie doskonale, co mi się w ostatnich latach przydarzyło, więc zacząłem mu nawijać o życiu pod celą, a on słuchał, słuchał i tylko uszami ruszał.

Oczywiście na sucho ta gadka nie przeszła. Poeta R. zamówił jeszcze po dużym piwie i portercze, a potem się okazało, że ma w teczce - takiej czarnej, eleganckiej walizeczce - ^ pół literka czystej.

Stanęliśmy więc z naszym piwem przy jednym z wysokich stolików, tyłem do bufetu, żeby nas szefowa zza lady nie mogła przykiko-wać, i co wypiliśmy trochę piwa z wyszczerbionych kufli, to poeta R.

odmykał walizeczkę i dyskretnie uzupełniał zawartość szkła wódką. I

tak popijaliśmy, i gawędziliśmy spokojnie. Tłok był jak wszyscy diabli, gwar straszny, a powietrze ciężkie od dymu. Ludzie żłopali piwo, porte-rek i przyniesioną ze sobą wódkę, nieliczne babki piszczały często i przenikliwie. Dwóch zapuchniętych od pijaństwa grajków podpierało plecami drzwi do ustępu i rżnęło na skrzypkach i akordeonie, powiększając do szczytu hałas wypełniający wnętrze. Na niektórych zalanych piwem stolikach grano w karciecia lub w zapalki.

Czasem ktoś kogoś w pysk strzelił, niekiedy inny jakiś łomotnął kuflem o kamienną posadzkę, ale na ogół było przytulnie i spokojnie.

Jak już wypiliśmy to, co R. przytargał w dyplomatce, i skończyłem nawijać o życiu pod celą, głos zabrał poeta. Wiersze rozmaite cytował i podpytywał, czy w dalszym ciągu coś piszę. Co miałem odpowiadać? Zasunąłem, że choć z poezją dawno zrobiłem już koniec, to przerzuciłem się ostatnio na prozę i napisałem kilka kawałków o garo-

waniu, a jak w końcu złapię jakąś podchodzącą robotę, to wtedy będę miał więcej czasu - bo teraz od rana do nocy latam za pracą - i solidnie zabiorę się do pisania...

Tuż obok nas sterczał jakiś elegancki facet w futrzanej papasze i tureckim kozuchu. Nosił przydymione okulary w drucianej oprawce, popijał porterek i wyraźnie nad-•stawiał słuchy. Trochę mnie to nawet wnerwiało, ale nie za bardzo, bo grzecznie stał, spokojnie, nie wtrącał się, nie przeszkadzał, a my przecież o niczym trefnym nie gadaliśmy. W końcu przestałem zwracać na niego uwagę.

Około godziny jedenastej pożegnałem się z poetą R., który pozostał w „Jantarze”, i wyszedłem na ulicę. Pogadałbym sobie jeszcze dłużej, ale pamiętałem o umówionym spotkaniu w pośredniaku.

Od rana nic nie jadłem, za to wypilem sporo piwa i wódki, więc nic dziwnego, że powietrze trochę mi zaszkodziło. Postanowiłem krztynę odsapnąć, bo w głowie mi nieco wirowało. Przeszedłem na drugą stronę Świętokrzyskiej, porządnie, jak należy, przy światłach, i przysiadłem na murku koło pawilonu meblowego „Emilia”. Śnieżek drobny prószył, a ja siedziałem spokojnie na murku, odpoczywałem, paliłem papierosa i myślałem o różnych sprawach. Między innymi i o tym myślałem, że może naprawdę warto byłoby spisać kilka historyjek usłyszanych pod celą. Różne mi takie opowiadki przy- 'chodziły do głowy i kombinowałem, które z nich na początek spróbować zapisać. Nagle wyczuwam, że ktoś koło mnie na murku przysiada. Zerkam w prawo i widzę, że tuż obok mnie siedzi facet w kozuchu i futrzanej papasze. W pierwszej chwili go nie poznałem, ale tylko w pierwszej chwili. Zaraz się zorientowałem, że to ten, co się przysłuchiwał mojej rozmowie z poetą R. Po tych przydymionych szklach go rozpoznałem.

Niewyraźnie mi się trochę zrobiło, bo pomyślałem, że to może jakiś cichociemny wywiadowca, ale zaraz się uspokoilem. Gliniarz nie gliniarz, nie ma potrzeby się łamać. Niczego w „Jantarze” nie zmalowałem, papiery mam w najlepszym porządku, więc nie ma powodu do strachu. Najwyżej będzie kontrola dokumentów. Do żłobka mnie nie zatarga. Za trzeźwy na to byłem. Odkąd to zresztą wywiadowcy zabierają pijaków na Kolską? Nie ich to robota. Od tego są mundurowi w radiowozach...

Przyjrzałem się facetowi uważnie. Na wywiadowcę jednak nie wyglądał. Raczej na pedała, który szuka frajera do zabawy. Cholernie

nie lubię takich rzeczy. Najeżyłem się i powiedziałem sobie, że jeżeli będzie mi robił jakieś świńskie propozycje, to mu z miejsca przyłożę po ryju.

No i zaczęło się.

Uśmiecha się i grzecznie zagaduje, czy niby mam trochę czasu i zechcę z nim porozmawiać. Ja mu na to -też grzecznie na razie - że nie mam ochoty na pogawędki i żeby się zaraz, delikatnie mówiąc, odtentegował, bo inaczej mogę mu zrobić grubszą nieprzyjemność... I gdybym wziął na ząb, i wytrwał w tym negatywnym nastawieniu, tobym uniknął nieszczęścia. W najgorszym wypadku tyrałbym teraz za niewykwalifikowanego na budowie i sypiał spokojnie z Reginką, która - choć alkoholiczka - ma swoją klasę i potrafi znaleźć się w łóżku.

Gdybym, gdybym... Niestety. Słaby jest człowiek. Uległem diabłowi. Z miejsca się połapał, że go uważam za pedryla, bo śmiać się zaczął i zapewniać, że nie ma nic wspólnego z bractwem intelektualistów pieszych, a jego do mnie sprawa ma zupełnie odmienny charakter... Zanim zdążyłem gębę otworzyć i odrzec coś z sensem, zasunął, że niechący przysłuchiwał się temu, co mówiłem w „Jantarze”, i ma dla mnie pewne propozycje.

_ Mogę panu zapewnić - powiada - zarobek uczciwy i zgodny z pana zdolnościami. Potrzeba mi - mówi -kogoś, kto potrafi pisać dobrze po polsku i ma głowę na karku...

Dziwne mi się to wydało, ale pomyślałem, że nic mnie nie kosztuje posłuchać, co ma do powiedzenia. Szukałem przecież dobrej i lekkiej roboty... Z góry sobie tylko przyrzekłem, że jeżeli to, co mi zaproponuje, choć o włos ocierać się będzie o któryś z artykułów kodeksu karnego lub innych ustaw obowiązujących, to choćby złote góry obiecywał, nie zgodzę się. Dwa razy już garowałem. Niektórzy mówią, że do trzech razy sztuka. Mnie jednak zupełnie dwa wyroki wystarczyły. Nie miałem żadnych ambicji dochrapać się trzeciego. - Dobra - powiadam - czemu nie. Mogę posłuchać, co mi pan ma do powiedzenia. Ale - zastrzegłem się - to, że posłucham, wcale nie znaczy, że się zgodzę!

Ucieszył się i powiedział, że to się samo przez się rozumie.

Zaproponował, żebym z nim wpadł do jakiejś restauracji coś przetrącić, a jak będziemy konsumowali, to mi wszystko dokładnie

wytłumaczy. Oczywiście on będzie stawiał, bo przecież mnie zaprasza...

Zapomniałem jakoś o spotkaniu umówionym w po-średniaku. Poczulem za to, że jestem głodny, i się zgodziłem. Na swoje nieszczęście...

Zaprowadził mnie na ulicę Kredytową, do knajpy, która kiedyś była żydowska, a teraz jest filią „Kameralnej”. Rozebraliśmy się w szatni. On kupił u szatniarza paczkę carmenów i zeszliśmy do podziemia. Nie minęło jeszcze południe, więc w lokalu było pustawo. Zajęliśmy stolik ustawiony pod wielkim wiatrakiem, który wolno się obracał. Zjawiała się kelnerka i mój okularnik zaczął zamawiać. Kotlety schabowe zamówił z buraczkami i kapustą, a do tego oczywiście połówkę żytniej. Żytnią panna przyniosła nie w butelce, ale w karafce - bardzo

elegancko - i zaraz napełniła kieliszki po raz pierwszy. Wypiliśmy i dawaj do tych kotletów. Dobre były, tłuściutkie, przyrumienione jak należy. Dawno takich nie jadłem. Od czasu wyjścia z kicia odżywiałem się raczej mało regularnie i byle czym. W kiciu też nas pod względem kuchni nie rozpieszczali. Takie schaboszczaki z jarzynkami jadłem dawno, bardzo dawno temu. Pożerałem, aż mi się uszy trzęsły i błogo mi się na duszy zrobiło... I może dlatego zmiękłem, i szybko zgodziłem się na jego dziwaczną propozycję, choć już w pierwszej chwili, zaraz jak mi powiedział, o co mu chodzi, to pomyślałem, że albo kpi ze mnie, albo jest regularnym wariatem wypuszczonym na przepustkę z Tworek. Ale opowiem wszystko po kolei. Przedstawił mi się. Powiedział, że nazywa się Paweł Kosiorek i zajmuje się badylarstwem. Pomyślałem, że jeśli uważa, że znalazł faceta, który będzie babrał się w ziemi, to się grubo pomylił. Nie znoszę rozrzucania gnoju, pielenia i temu podobnych robót. Z dwojga złego wolałbym tyrać na budowie, niż babrać się w gnojówce, choćby za to nawet i dwie stówy dziennie podlatywały, co u badylarzy w sezonie często się zdarza. Ale zaraz zrozumiałem, że przecież do takiej roboty nie potrzeba mu kogoś, co umie pisać po polsku. Poza tym był styczeń, więc u badylarzy nie sezon. I zaraz rzeczywiście się okazało, że nie o to mu chodzi.

- Widzi pan - powiedział - pochodzę ze starej ogrodniczej rodziny. Takiej z tradycjami. W Warszawie było kilku ogrodników całą gębą. Siedzieli na Kosiorówce. Pan wie, gdzie to jest?

Nie wiedziałem, więc mi wyjaśnił, że tak nazywa się teren na zachód od Morów. Dobra, ogrodnicza ziemia.

- Ja jestem ostatni z warszawskich Kosiorków -ciągnął opowieść. - Na mnie ród się kończy... Dzieci nie mam i pewnie już mieć nie będę. Za kilkadziesiąt lat nikt

10

już nawet nie będzie umiał powiedzieć, dlaczego ogrodnicze grunty na zachód od Morów nazywają się Kosio-rówka... A być może i nazwa zaginie. Bo nie jest oficjalna. Na żadnym planie jej pan nie znajdziesz... Tylko ludzie tak to miejsce nazywają... *

Zamilkł i nalał do kieliszków. Wypiliśmy.

_ Chciałbym, żeby coś z tego zostało... To znaczy z tych tradycji... Bo, proszę pana, Kosiorkowie to naprawdę .byli nie byle kim. Żyli i dawali życie. Wszyscy ich znali i szanowali... Zasłużeni byli dla ludzi i dla społeczeństwa... Mój pradziad, proszę pana, był w powstaniu styczniowym. Jeszcze jako szczawik zupełny. Z szesnaście lat wtedy miał. Z domu od ojca uciekł do Kampinosu... do partii... I inni Kosiorkowie też ładnie się zapisali... Na przykład brat mojego dziadka w dziewięćset piątym należał do organizacji bojowej PPS... Krzywili się na niego w rodzinie, bo Kosiorkowie ludzie majątni, tak znowu bardzo za socjalistami to nie byli, ale go z rodziny nie wykleli... A w czasie okupacji, panie, u nas, w naszej starej szklarni, był magazyn broni, a potem radiostacja. Żydów się też przechowywało. A za to wtedy, pan wie... Kula w łeb bez żadnego gadania. Jednym słowem, ładne tradycje...

Słuchałem piąte przez dziesiąte i kombinowałem, czego właściwie ten okularnik może chcieć. Ale prawdę powiedziawszy, tak znowu za bardzo to już tego ciekawy nie byłem. Wypite piwo i wódka zrobiły swoje. Rozmarzony jakiś byłem, rozmamłany i jego gadanie o tradycjach rodu Kosiorków docierało do mnie jak przez mgłę.

- ...i dlatego, proszę pana, zdecydowałem, że to nie może zaginać.

Musi po nas pozostać jakiś ślad. Po nas, po Kosiorkach. Nasza rodzina, proszę pana, to kawałek historii tego miasta i tego kraju...

Kiwałem głową potakująco. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby ślad po Kosiorkach pozostał. Niech im tam. Mnie to nie przeszkadza...

- ...i tu się zaczyna pana rola. Moja propozycja jest taka: spisze pan historię rodziny Kosiorków. To znaczy, ja napiszę za pomocą pana pióra. Pan będzie moim nieoficjalnym współpracownikiem. Na okładce będzie tylko moje nazwisko. Ostatniego z Kosiorków. Ale dobrze panu zapłacę. Nie będzie pan stratny...

To, co mi powiedział, dotarło do mnie z opóźnieniem. Zamarłem z otwartymi ustami, a widelec, uniesiony do góry, ze sporym kęsem schaboszczaka, zatrzymał się nieruchomo w połowie drogi. A gdy już zrozumiałem, o co mu chodzi, parsknąłem śmiechem.

- To nic śmiesznego - powiedział, kiedy już przestałem rechotać. - To bardzo konkretna propozycja. Oczywiście do niczego pana nie zmuszam. Jeżeli pan woli, zamiast zająć się pisaniem, pracować gdzieś jako fizyczny, to pana sprawa. Różne ludzie mają gusty. Jeden woli machać piórem, inny łopata...

- Zaraz, zaraz - przerwałem - nie tak prędko, mistrzu. Wcale nie wolę, tylko że tak jakoś... Po prostu spadło to na mnie za nagle. Zupełnie się nie spodziewałem...

Okularnik uśmiechnął się ironicznie.

- Pan pewnie myślał, że zaproponuję skok na bank albo podkop pod Pewex? Czy ja rzeczywiście wyglądam na kogoś, kto się takimi sprawami zajmuje?

Nie wyglądał. Ale nie wyglądał też na wariata, a przecież...

- Jak pan to sobie wyobraża? - zapytałem. - Niby w jaki sposób mam napisać historię pańskiej rodziny? Przecież ja nic nie wiem ani o panu, ani o żadnych innych Kosiorkach...

- Zaraz wyjaśnię. Oczywiście, że pan nic nie wie, ale to żadna przeszkoda. O tym, żeby napisać historię rodziny Kosiorków, myślę już od lat. I zbieram materiały. Dużo ich mam. Bardzo dużo. Metryki, wypisy z aktów urzędów stanu cywilnego, z hipoteki i sądów. Jeden student się-

dział przez wiele miesięcy w bibliotece, w czytelni czasopism na Koszykowej, i wybrał z prasy warszawskiej wszystko, co w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat napisano o Kosiorkach. Okazało się, że jest tego sporo. Zapłaciłem temu studentowi kilkanaście tysięcy złotych. Nagrałem też ładne paręset metrów taśmy magnetofonowej. Różni starsi ludzie, którzy znali Kosiorków, opowiedzieli mi o nich.

Zebrałem masę materiału. Wykreśliłem drzewo genealogiczne... Teraz wystarczy tylko sięść, uporządkować wszystkie te papierzyska i zabrać się do roboty...Próbowałem zresztą...Kilka razy próbowałem...

- I co?

- Nic. - Rozłożył bezradnie ręce. - Nie wychodzi. Nie potrafię nawet sklecić pierwszego zdania... Postanowiłem więc, że muszę znaleźć sekretarza. Kogoś, kto za mnie, pod moim kierunkiem, napisze tę książkę... No, to jeszcze po jednym! i

Rozlał resztę żytniówki z karafki. Pomyślałem, że ten pan Kosiorek to jednak naprawdę wariat. Pierwszy raz widziałem badylarza, który zamiast kombinować, jak to tanim kosztem rozbudować szklarnie i jak podnieść wydajność z każdego metra pod szkłem, marnuje czas i pieniądze na zbieranie materiałów o swoich przodkach... Żeby nazywał się Potocki albo Radziwiłł... Dalej chciało mi się śmiać, al6 mimo że sporo wypilem, byłem na tyle przytomny, żeby tego nie robić. Facet widać należał do tego rodzaju jeleni, których można solidnie podoić. I to zupełnie legalnie, w zgodzie ze wszystkimi paragrafami kodeksu karnego. Sam przecież mimochodem wspomni&ł o tych kilkunastu tysiącach złotych, które lekko odpalił studentowi za to tylko, że tamten Wyszperał mu w starych gazetach rozmaite historyjki o Kosiorkach.

Zdecydowałem się. Na swoje nieszczęście się zdecydowałem.

Postanowiłem podjąć się napisania wielkiej his-

13

torii badylarskiego rodu Kosiorków. Rzecz wydawała mi się lekka, łatwa i przyjemna. Wprawdzie nigdy w życiu nie pisałem niczego podobnego, ale przecież nie święci garnki lepia. A jeśli nawet nie uda mi się sklecić niczego sensownego, to i tak nic złego się nie stanie. Najwyżej pan Kosiorek zrezygnuje z moich usług, a tego, co tymczasem z niego wydoję, nikt mi już nie odbierze... Spojrzałem mu poważnie w oczy i powiedziałem:

- Przekonał mnie pan, panie Kosiorek. Spróbuję panu pomóc...

Oczywiście, jeżeli się dogadamy co do warunków...

Błogi uśmiech rozlał się na zaczerwienionej twarzyczce Kosiorka.

Zdjął okulary i zaczął je przecierać papierową serwetką.

- Od razu, gdy usłyszałem w tym „Jantarze”, jak pan opowiadał koledze o swoich zainteresowaniach literackich i o osobistych

kłopotach, to pomyślałem, że pan mi się nada. Ja mam, panie, nosa do

ludzi... Co do warunków to z pewnością się dogadamy... - oświadczył uroczyście, a potem już zupełnie innym tonem zapytał: - Ma pan przy sobie jakieś dokumenty? Pan rozumie... Muszę pana trochę poznać... Poznać? Dlaczego nie? Oczywiście, niech mnie pozna! Jestem do dyspozycji! Wyciągnąłem z kieszeni dowód osobisty. W środku miałem złożone świadectwo zwolnienia z zakładu karnego. Przejrzał uważnie dowód, przestudiował świadectwo.

- Siedział pan... - powiedział oddając mi papiery.

- Nie da się ukryć. Zresztą, jeśli pan dobrze słuchał, o czym nawijałem w „Jantarze”, to nie może to być dla pana zaskoczeniem...

- Oczywiście, oczywiście! - zapewnił pospiesznie. - To mi zupełnie nie przeszkadza... Tak mi się tylko powiedziało... Ma pan jakąś rodzinę? Gdzie pan mieszka?

Wyjaśniłem, że nie mam żadnej rodziny, bo samotny

14

II

jestem jak palec. Moi starzy po tym, jak drugi raz mnie zamknęli, oświadczyli, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Nie widziałem ich od tej pory. Powiedziałem też, że mieszkam kątem u znajomej.

_ Przeprowadzi się pan do mnie - zdecydował. - Stworzę panu doskonałe warunki do pracy. Do czasu ukończenia książki będzie pan mieszkał i jadał u mnie...

- Powoli, mistrzu! - przerwałem mu. - Jeszcześmy nie dobili targu, pan mi jeszcze nie powiedział, co ja będę z tego miał...

Więc mi powiedział. Bardzo mi się podobały warunki. Miałem dostawać cztery patyki miesięcznie, zakwaterowanie i wyżywienie. Po zakończeniu pracy nad książką, jeżeli oczywiście uzna, że robota się udała, dostanę pre-'mię. Piętnaście tysięcy złotych...

Coś mi się nie widziało, żebym miał kiedykolwiek dostać tę premię. Nie bardzo wierzyłem, aby mógł być zadowolony z wyników mojej pracy. Miałem jednak nadzieję, że przynajmniej do wiosny będę miał zapewniony wikt, mieszkanie i trochę grosza... A gdy słońeczko przygrzeje... No, wtedy to się zobaczy...

Nie targowałem się więc z nim, choć dla dobrego wrażenia powinienem trochę się podroczyć. Wyciągnąłem łapsko i potrząsnąłem serdecznie jego grabulą.

- Szufła, mistrzu! Jestem pańskim sekretarzem. Opiszemy wspólnie dzieje rodu Kosiorków. Może pan na mni&polegać...

Potem zauważyłem, że dobitnie targu wymaga przypiecztowania kolejnym półliterkiem. Nie zgodził się. Powiedział, że ma jeszcze dziś coś do załatwienia i nie może być wlany. Nie sprzeczałem się z chlebowawcą. Nie chce - to nie. Jego wola.

Umówiliśmy się na dzień następny. O godzinie dwunastej w południe miałem na niego czekać z rzeczami przed piwiarnią „Jantar”. Miał przyjechać po mnie wo-

15

zem. Przed rozstaniem wypłacił mi z własnej woli zaliczkę. Pięć stów. - Mam nadzieję - powiedział - że nie zwieje pan z forszą. Mały zysk, a duża strata. Jeśli będzie się pan mnie trzymał, zarobi pan znacznie więcej...

Zapewniłem pana Kosiorka, że nie ma czego się bać. Naprawdę nie miałem zamiaru ulatniać się z zaliczką -nie należy podcinać gałęzi, na której właśnie się siadło.

Z restauracji wróciłem do domu, to znaczy do Reginki. Rozebrałem się i poszedłem spać. Reginka wróciła późnym wieczorem. Była zła jak chrzan, 'bo zmarzła na kość • i nie podłapała żadnego klienta.

- Nie martw się, Renia - powiedziałem - dzisiaj ja będę twoim klientem.

Położyłem przed nią te pięć stów, które dostałem od Kosiorka. Niech zna gest. Bardzo się zdziwiła, że dałem jej forszę. Dotychczas to bywało raczej odwrotnie. Nie miałem żadnych przychodów. To ona codziennie rano odpalała mi kilka dziesiątek na obiad, fajki i piwo.

- Zrobiłeś jakiś skok? - zaniepokoiła się poważnie, przeliczając wręczone jej setki. - Musisz uważać, Robert. Jak nic znowu trafisz do pierdła...

- Nie ma strachu, kobieto. To szmal uczciwie zarobiony. Dostałem pracę. Zostałem sekretarzem jednego wariata...

Nie uwierzyła mi. A gdy powiedziałem jeszcze, że jutro z rana się wyprowadzam, rozzłościła się i trochę nawet popłakała. Nie chciała wierzyć, że dostałem pracę. Myślała, że przeprowadzam się do innej. Długo i bez większego skutku tłumaczyłem jej, że tak nie jest. Potem obiecałem, że jak się tylko ociepli, wrócę do niej na stałe, a do tego czasu będę niekiedy wpadał. Dopiero jak jej to przyrzekłem, trochę się uspokoiła i poszliśmy do łóżka. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co te dziewczyny we mnie widzą... Jestem wysoki, czarniawy, włos ma

miękki, puszysty, zęby białe, nawet jak ich długo nie myję, no * P°za tym niczego mi nie brakuje. Ale to wszystko. Do Gregory Pecka czy Strasburgera jednak mi daleko. A mimo to zawsze, odkąd odrosłem od ziemi, kręciły się wokół mnie jakieś dziewczyny. Niby było to przyjemne i wygodne, ale nie zawsze. Czasami stawało się to źródłem cholernych kłopotów...

Następnego dnia spakowałem wszystkie swoje rzeczy, wziąłem teczkę pod pachę i już o jedenastej poszedłem pod „Jantar”. Gdy było pięć po dwunastej, zacząłem się denerwować, że Kosiorek nawalił i trzeba będzie zwinąć żagle, i wracać na Pańską do izdebki wynajmowanej przez Reginkę. Wcale mi się to nie uśmiechało. Już przez te kilkanaście godzin zdołałem się przyzwyczaić do myśli o życiu w badylarskim luksusie.

Kosiorek jednak się nie rozmyślił. Dziesięć po dwunastej przy krawężniku przyhamował zielony fiat mirafiori i zza jego szyby wyrzwał mój chlebobawca. W pierwszej chwili nawet go nie poznałem, bo był bez okularów. Że to on, zorientowałem się dopiero wtedy, gdy otworzył drzwiczki i powiedział:

- Wsiadaj! Pospiesz się! Tu nie wolno się zatrzymywać, zapłacę mandat.

W przeciwieństwie do dnia poprzedniego, kiedy był uprzedzająco grzeczny, zwracał się teraz do mnie po imieniu, a ton miał szorstki i rozkazujący. Uznał się już widać za mojego szefa. Niech mu tam! Jeśli mu sprawia przyjemność tykać mnie, to bardzo proszę. Nikt od tego nie umarł. Grunt, żeby mnie dobrze żywił i płacił, ile się zobowiązał. Będę mu pisał tę cholerną historię rodu Kosiorków najlepiej, jak potrafię. Tak od razu mnie chyba nie wyleje. Do wiosny pewnie wytrzymam. Może nawet i dłużej...

- Dobrze, że jesteś trzeźwy - powiedział, gdy wjeżdżaliśmy w tunel łączący Kaspraalca z Wolską. - Zapomnia-

2 - Jestem niewinny

łem ci powiedzieć, że u mnie w czasie pracy nie ma mowy o popijaniu. Co będziesz robił po godzinach albo w niedzielę, twoja sprawa, tylko do domu musisz wracać po cichu i bez żadnych awantur. Za to w czasie pracy -całkowita abstynencja. Będziesz robił dziennie po siedem godzin..*

Pomyślałem, że zniosę i to.

- Oczywiście, szefie. W pracy będę trzeźwy jak niemowlak. Nawet piwka sobie nie strzele... Taki już jestem, szefie...

Roześmiał się zgryźliwie.

- Jednym słowem: niewiniątko... No, to świetnie.

Jechaliśmy Wolską, potem Połczyńską. Kiedy mineliśmy granicę Warszawy, zaraz za stacją obsługi samochodów w Morach skręciliśmy w prawo. Droga była polna, nie oczyszczona, pokryta wyslizganą warstwą śniegu i zamarzniętego błota. To mego chlebowdawcy wcale nie speszyło - dalej jechał ostro i wóz tańczył niebezpiecznie, tak że chwilami robiło mi się niewyraźnie.

Popatrzyłem na Kosiorka. Siedział rozparty swobodnie i prowadził pewnie. Dość ostry wiraż wzięliśmy w taki sposób, że mróz mi przeleciał po plecach.

- Ostrożniej, szefie - jęknąłem - ja naprawdę chcę jeszcze napisać dla pana tę książkę...

- Nic się nie bój. Ze mną nie ma strachu...

- Ale z pana ryzykant...

- Mylisz się, kochasiu. Nie lubię ryzykować. U mnie wszystko jest zawsze precyzyjnie obmyślane i wykonane. I to zarówno na szosie, jak i w życiu...

Pomyślałem, że ma o sobie stanowczo za bardzo wygórowane mniemanie. Być może, za kółkiem rzeczywiście przeprowadzał wszystko precyzyjnie, ale w życiu... Najlepszy dowód, że tak nie jest, to wybranie właśnie mnie do napisania książki o Kosiorkach... Trafiał, biedula, jak kulą w płot...

18

_ To już moja ziemia - powiedział wskazując na prawo. Popatrzyłem na pola pokryte śniegiem. Pola jak pola.

Nic szczególnego.

_ Tu rośnie cebula.

_ Dużo tego?

_ Ładne kilka hektarów...

Zajechaliśmy z fasonem przed dom położony tuż przy drodze.

Budynek był niski, rozłożysty, betonowy. Przypominał raczej stary bunkier niż rezydencję badylarza, który uprawia kilka hektarów cebuli. Obok domu rozpościerała się szklarnia. Szklane okna były dokładnie za-szronione.

- A tam co pan pędzi? - zapytałem starając się wykazać maksimum uprzejmości wobec swego chlebobdawcy.

- Teraz nic. Awaria ogrzewania. Produkcję uruchomi się dopiero w lutym. Wysiadł z wozu. Ja też wylazłem. Otworzył drzwi do garażu.

- Poczekaj tu na mnie.

Posłusznie poczekałem, aż wprowadzi wóz. Drzwi do domu otworzył wydobytymi z kieszeni kluczami. Trochę się zdziwiłem.

- Sam pan tu mieszka?

- Jest żona i gosposia. Gosposia ma dwa tygodnie urlopu. Żona pojechała do miasta. Wchodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Z zewnątrz dom pana Kosiorka wyglądał jak stary, -odrapany bunkier, za to w środku... Aż mi dech zapało, gdy się rozejrzałem wokoło. Dębowe, ciemne boazerie, dywany, stare obrazy w wielkich złotych ramach. Czulo się, że ci, co tu mieszkają, siedzą w szmalu aż po same dziurki od nosa. Spodobało mi się u pana Kosiorka. Tak, spodobało.

Gospodarz zaprowadził mnie do pokoju, który był dla

19

mnie przeznaczony. Porządny był .to pokój, z szerokim oknem, wersalką, szafką, stołem i krzeselkami wyściełanymi purpurowym pluszem. Postanowiłem, że postaram się pomieszkać tu tak długo, jak tylko się da.

- Rozgość się - powiedział Kosiorek - będziesz tu mieszkał. Dopóki gosposia nie wróci z urlopu, musisz sam sobie zamiatać... Łazienka jest przy końcu korytarza. Ostatnie drzwi na prawo. Gdy tylko żona przyjedzie, zrobi jakiś obiad. Na razie męczymy się bez gosposi, ale za dziesięć dni pani Jaga wraca i wszystko będzie grało jak w zegarku...

Pani Kosiorkowa przyjechała w godzinę później. Widziałem przez okno, jaR zajeżdżała małym fiatem. A więc mieli dwa samochody. Tak... tu rzeczywiście pachniało szmałem. Widocznie Kosiorek wychodził na swoje z tą cebulą.

Pani Kosiorkowej przyjrzałem się dopiero przy obiedzie. Była to wysoka, dobrze zbudowana blondynka, około trzydziestki. Oczy miała niebieskie i zimne jak kryształki lodu. Kosiorek przedstawił mnie. Podała mi sztywno rękę, którą z uszanowaniem ucałowałem. Jaka to była rączka! Delikatna, wypachniona... To nie była łapka stworzona

do pracy. No i rzeczywiście, pani Kosiorkowa nie napracowała się przy obiedzie. Jedliśmy portugalskie sardynki, po puszcze na głowę, groszek zielony zapuszkowany w Pudliszkaczn i konserwową paprykę bułgarską. Smaczne było nawet wszystko, ładnie podane na porcelanie, ale prawdę powiedziawszy, wstałem od stołu głodny. Mogłem tylko żywić nadzieję, że gdy ich gospośia raczy wrócić z urlopu, żarcie się poprawi. Nie mam nic przeciwko sardynkom jako zakąsce, ale takie rybki jako podstawowe danie obiadu to już lekka przesada...

Przy jedzeniu rozmowa się nie kleiła. Kosiorek od czasu do czasu próbował coś zagadać, ja też robiłem wysiłki, ale nic z tego nie wychodziło. Pani Kosiorkowa

20

milczała jak ryba i nawet na nas nie spoglądała. W pewnym momencie Kosiorek powiedział:

_ Krysiaczek jest dziś nie w humorze. Zdaje się, nie' przypadłeś jej do gustu, Robercie... Krysiaczek lubi starszych mężczyzn...

Kosiorkowa skrzywiła się, jakby zjadła coś wyjątkowo niesmacznego. Pogardliwie wruszyła ramionami, obrzuciła nas chłodnym spojrzeniem i parsknęła:

_ No wiesz, Paweł... Trzymają się ciebie zupełnie głu-' pie i niestosowne żarty...

Skarcony Kosiorek zamilkł i nie odzywał się już do końca obiadu.

Gdy skończyliśmy jeść, Kosiorkowa pozbierała naczynia i wyszła do kuchni. Kosiorek poczęstował mnie carmenem i powiedział:

- Zaczynasz pracę jutro od rana, to znaczy od dziewiątej, a teraz pokażę ci, co będziesz robił. Pójdziemy do gabinetu.

Poszliśmy. Znowu mi oczy wylazły z podziwu. Gabinet był cały wykładany ciemną, dębową boazerią. Na ścianach wisiały oprawione w cienkie złoczone ramki stare obrazki. Na jednym z nich jakaś goła i bardzo tłusta niewiasta figlowała w sposób zupełnie niedwuznaczny z wypasionym łaciatym bykiem, na drugim dwie gołe babki wyczyiniały rozmaite bezceństwa z brodatym staruszkiem. Staruszek miał rozanielony wyraz twarzy, lewą ręką obmacywał jedną z golasek, w prawej trzymał wielki, napełniony czymś, szklany puchar. Zagapiłem się na te interesujące obrazki...

- To miedzioryty. Zeus porywa Europę i Noe z córkami. Francuska robota z połowy osiemnastego wieku, te sztychy warte są kupę

pieniędzy... Ale do rzeczy. Tu będziesz pracować. Zaraz przekażę ci materiały.

Otworzył wyglądający na antyk sekretarzyk i wyciągnął z niego grube tekturowe teczki, pełne jakichś szpargałów. Ułożył je na biurku i ponownie pochylił się nad

21

1

sekretarzykiem. Wkrótce potem na biurku wylądowały dwa duże pudła z karteczkami, takimi jak w bibliotecznych katalogach, i kilka kolorowych pudełek z taśmami do magnetofonu.

- No, to by było mniej więcej wszystko. Musisz się z tym zapoznać i jakoś porządnie posegregować. To będzie twoje pierwsze zadanie. Myślę, że w tydzień się z tym załatwisz. Jak już będziesz gotowy, wtedy porozmawiamy o koncepcji całości...

- Już się mam zabrać do roboty? f

- Jutro rano. Teraz, jeśli chcesz, zapoznaj się z tymi teczkami. Taśmy przesłuchamy później, jak uporządkujesz te papiery...

Nie chciałem już na samym wstępie budzić w Kosiorcu wątpliwości co do mojej pracowitości, więc usiadłem i otworzyłem jedną z teczek. Na zielone sukno pokrywające biurko wysypało się mnóstwo zdjęć. Były to stare i nowe fotografie, w ogromnej większości amatorskie. Nie brakowało także fotografii legitymacyjnych. Trafiły się też zdjęcia wycięte z gazet i nalepione na różowe kartoniki. Na odwrocie fotografii starannym, prawie dziecięcym charakterem pisma wykaligrafowano, kogo zdjęcie przedstawia oraz gdzie i kiedy je wykonano. Przy niektórych datach widniały znaki zapytania. Zdążyłem to wszystko zauważyć w ciągu kilkunastu sekund. Kosiorek podszedł do biurka, zdecydowanym ruchem zgarnął fotografie do teczki i starannie zasupłał spinające ją tasiemki.

- To jest materiał ilustracyjny. Wiele zdjęć jest jeszcze nie opisanych. Uzupełnię to i wtedy dopiero będziesz miał z tego pożytek...

Teczki nie schował do sekretarzyka, tylko trzymał ją w ręku. Nagle drzwi do gabinetu się otworzyły i do środka weszła pani Kosiorkowa. Nawet na mnie nie spojrzała, tylko od razu zwróciła się do męża.

_ Paweł, muszę wyjechać do miasta. Wrócę późno. Sam zrobisz kolację...

_ W porządku, Krysiaczek. Dam sobie radę... Już wychodziła, ale nagle zatrzymała się z ręką na

klamce.

- Aha, Paweł. Daj mi parę groszy...

_ Już się robi, Krysiaczk... - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i dobył z niej portfel. Szukał w nim przez chwilę, a potem burknął pod nosem: - O cholera, zabrakło mi drobnych... - Schował portfel. Podszedł do ściany i zdjął z niej obrazek przedstawiający wesołego staruszka z gołymi dziwkami.

Ujrzałem stalowe drzwiczki wmurowanego w ścianę sejfu. Kosiorek otworzył je długim płaskim kluczem. Wsadziłem nos w teczkę pełną jakichś papierysk i udawałem, że mnie nie obchodzi, co się wokół dzieje, ale kątem oka coraz zerkąłem na Kosiorka i w ciemną głębię Otwartego sejfu. Przyznam, że byłem mocno podniecony. Takie obrazki widywałem dotąd jedynie w kinie. W powietrzu unosił się zapach szmalu...

Kosiorek wyciągnął z sejfu dość gruby plik tysiącło-tówek.

Zacząłem kombinować, ile tego może tam być... Nie mam żadnej wprawy w ocenianiu ilości forsy na podstawie grubości stosiku banknotów. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie widziałem tyle szmalu na raz... Aż mnie zatkało z wrażenia...

Kosiorek dał żonie dwa tysiące, resztę forsy schował do sejfu i zamknął go. Zauważyłem, że klucz, długi i płaski, włożył do tylnej kieszeni spodni. Kosiorkowa wyszła bez słowa i zostaliśmy sami.

Zagłębiłem się w papieryska.

Przeglądałem je jeszcze z godzinę. Czego tam nie było! Były tam przemieszane bez żadnego ładu i składu metryki urodzeń, akty zgonów i świadectwa ślubów. Cenzury szkolne sąsiadowały ze świadectwami szczepienia ospy

22

23

i duru brzuszego, odpisy aktów notarialnych z kartkami żywnościowymi z czasów okupacji i przedwojennymi legitymacjami Ligi Morskiej i Kolonialnej. Większość tych papierów dotyczyła jakichś Kosiorków płci obojga, ale zdarzało się też wiele dokumentów ludzi o zupełnie innych nazwiskach. Kolejna teczka zawierała setki listów i kart pocztowych. Zauważyłem, że część tej korespondencji nosiła daty jeszcze z dziewiętnastego wieku. Pomyślałem, że posegregowanie tego grochu z kapustą zajmie mi rzeczywiście sporo

czasu. W jeszcze innej teczce zalegały złoza różnego formatu karteczek zapisanych atramentem. Niektóre były w całości pokryte pismem, inne zawierały tylko po dwa, trzy zdania. Szybko zorientowałem się, że jest to plon pracy tego studerita, o którym wczoraj opowiadał mi Kosiorek.

Mniej więcej po godzinie mój chlebodawca powiedział, że na dzisiaj wystarczyła do dalszego ciągu zabiorę się jutro od rana. Złożyłem teczki i schowałem do sekretarzyka. Teczkę z fotografiami Kosiorek zabrał ze sobą. Powiedział, że zwróci mi ją, gdy opisze wszystkie zdjęcia. Do wieczora nic już nie robiłem. Siedziałem w swoim pokoju i rozmyślałem o życiu, jakie mnie czeka w bady-larskiej rezydencji. Myślałem o sejfie i zastanawiałem się, co tam, poza forszą, może być jeszcze schowane. Byłem za daleko, gdy Kosiorek otworzył, i nie mogłem dobrze zapaść żurawia do wnętrza.

Na kolację znowu były konserwy i herbata. Taka jakaś dziwna. Zalaływała zapachem jakichś kwiatów. Zapytałem co to takiego, i Kosiorek wyjaśnił, że to herbata jaśminowa. Rozmowa przy stole znów się, nie kleiła. Kosiorek milczał, a na moje rozmaite zagadywania odpowiadał półgębkiem i niechętnie. Potem oglądałem tele* wizję. Kolorowy telewizor znajdował się w dużym pokoju, w którym pod sufitem zawieszony był kryształowy żyrandol, a w kącie stał kominek z marmuru. Przed tym

24

kominkiem, na podłodze z dębowej klepki, rozciągało się białe puszyste futro. Program telewizyjny oglądałem z ogromnego fotela, który był miękki i przytulny. Takie fotele też widywałem dotąd tylko w filmach. Nie ma co, coraz bardziej mi się u państwa Kosiorków podobało.

Rano, po śniadaniu - znowu były jakieś konserwy - Kosiorek zaprowadził mnie do gabinetu i kazał zabrać się do pracy. Powiedział, że sam musi wyjechać do miasta i wróci przed obiadem. Wtedy sprawdzi, jak mi leci robota. Przez okno gabinetu widziałem, jak odjeżdża swoim fiatem mirafiori. Ruszył pełnym gazem, a że właśnie zaczęła się odwilż, spod kół wozu wytrysnęła wielka fontanna błota i brudnego śniegu!

Zostałem sam. Wydobyłem z sekretarzyka teczki i rozłożyłem je na biurku. Bardzo nie chciało mi się zabierać do pracy, ale wiedziałem, że nie powinienem z miejsca zrażać do siebie pana Kosiorka i

przynajmniej na początku należało wykazać się jakim takim zapalem do roboty. Sięgnąłem po pierwszą z brzegu teczkę i zacząłem uważnie przeglądać papierek po papierku. Mniej więcej po godzinie dałem spokój. Sprawa wydała mi się cholernie trudna, jeżeli nie całkiem beznadziejna. Zupełnie nie potrafiłem się połapać w tej beładnej mieszance dokumentów i notatek. Pomyślałem, że trzeba zacząć od ustalenia pokrewieństw tej badylarskiej rodziny. Jeżeli będę wiedział, kto się z kim ożenił i kogo spłodził, kto był czyim wujem lub pociotkiem, to dopiero wtedy będę mógł posegregować te papiery, przypisać je do różnych osób i Wprowadzić jaki taki ład do tego stosu śmiecia. Zaczę-

- Jem więc wybierać z teczek metryki, akty zgonu, świadec-Htjwa ślubu i układać je na oddzielnych kupkach. I kiedy

- już wybrałem, przypomniało mi się nagle, jak Kosiorek

- |nówił, że wykreślił drzewo genealogiczne swego rodu. ^Taki wykres byłby mi bardzo pomocny. Jeszcze w ogólniaku widziałem takie coś w jakiejś książce do historii.

25

\

Zacząłem szukać wśród papierzysk czegoś podobnego. Nie znalazłem. Nie było w żadnej teźce. Postanowiłem poprosić Kosiorka, żeby dał mi ten wykres. Od tego trzeba zacząć, inaczej cała robota nie ma sensu. I Odsunąłem od siebie papierzyska, wstałem i rozprostowałem kości. Podeszedłem do oszklonej biblioteczki, w której- było sporo książek. W ozdobnych, bogatych okładkach stały w szeregach dzieła Mickiewicza,, Słowackiego, Żeromskiego i Sienkiewicza. Książki były świeżutkie, jakby dopiero co wyszły spod drukarskiej prasy. Nikt ich widać nigdy nie tylko nie czytał, ale nawet nie trzymał w ręku. Na najniższej półce stały książki, które nosiły ślady używania. Podręcznik uprawy cebuli, „Ogórki pod folią" i „Szklarniowa uprawa pomidorów" oraz kilkanaście mocno zaczytanych kryminałów.

Wybrałem sobie jeden, zatytułowany „Nie zabija się świętego Mikołaja". Usiadłem przy biurku i zacząłem czytać. Jakoś niesporo szło mi to czytanie, gdzieś w myśli przewijało się wspomnienie z dnia wczorajszego. Od czasu do czasu odrywałem wzrok od książki i zerkałem na ścianę. Na świński obrazek przedstawiający pijanego starucha z dziwkami. W końcu nie wytrzymałem. Podeszedłem do obrazka i zdjąłem go ze ściany. Stalowe drzwiczki do sejfu wyglądały

wyjątkowo solidnie. Zapukałem w nie palcem. Musiały być bardzo grube, bo nie słychać było żadnego dudnienia. Po drugim wyroku siedziałem przez jakiś czas pod jedną celą ze starym kasiarzem. Opowiadał, jak się załatwia takie skrzyńeczki. Trzeba mieć do tego odpowiednie narzędzia i dużo wprawy. Nawet gdybym miał komplet najlepszych raków i palnik, nie dałbym tym drzwiczkom rady. Kasiarz musi bardzo dużo umieć. To fachowiec najwyższej klasy. Z westchnieniem zawiesiłem obrazek z powrotem. Właśnie gdy go ustawiałem, żeby wisiał równo, weszła Kosiorkowa. Ubrana była w długi srebrzysty szlafrok

26

Zrobiło mi się nijako. Odruchowo cofnąłem się od ściany.

Oglądałem właśnie ten miedzioryt - bąknąłem.

Zauważyłam. - Popatrzyła na mnie chłodno, pogardliwie, podszedłem do biurka i jedną z teczek nakryłem otwartą książkę.

_ Pracuję tu dla pani męża, zaznajamiam się z materiałem...

Wzruszyła ramionami.

- Nie interesują mnie te bzdury. Mój mąż ma, niestety, manię na tym punkcie. Zmarnował już na to masę pieniędzy..- i jeszcze zmarnuje...

_ Postaram się mu pomóc... najlepiej, jak będę potrafił-

Uśmiechnęła się zimno, odpychająco.

- Nie wątpię. W każdym razie mój mąż jest dziecinnie łatwowierny. Ale ja taka nie jestem...

Nie wiedziałem zupełnie, co odpowiedzieć. Gdy mówiła o mężu, w głosie jej brzmiał ton wzgardliwego lekceważenia. Odniosłem wrażenie, że niezbyt szanowała hobby swojego starego. I jego samego też chyba nie...

- Przyszłam poprosić, żeby pan mi pomógł. Coś się stało z kaloryferem w sypialni...

- Zaraz zobaczę, co się da zrobić...

Zaprowadziła mnie do sypialni. Pokój był niewielki. Ogromną część jego powierzchni zajmowało wielkie meblowe łóżko. Było nie zaścielone, a różowe obleczenie bardzo pomięte. Kosiorkowa usiadła na łóżku i wskazała na kaloryfer pod oknem. Gdy siadała, szlafrok jej się rozchylił i zobaczyłem krągłą i długą nogę. Mimo że to był styczeń, noga pani Kosiorkowej była ładnie i równomiernie opalona na złoty brąz.

Spod kurka przy kaloryferze kapwały powolutku krople wody. Pakunek był chyba nieszczelny.

- Tu się nie da nic zrobić - powiedziałem - potrzebny

27

jest hydraulik. Mogę najwyżej wyłączyć grzejnik, ale wtedy będzie zimno.

- Niech pan wyłącza - zdecydowała - jest tu przecież jeszcze drugi kaloryfer. Nie zmarznę...

Wyłączenie ciekącego grzejnika zajęło mi kilka minut. Kosiorkowa przyglądała się, jak pracuję, i nie zakrywała odsłoniętej nogi.

- Zręcznie pan to zrobił - pochwaliła, gdy skończyłem.

- To drobiazg - machnąłem lekceważąco ręką.

- Dla jednych drobiazg, dla drugich nie. Mój mąż nie uporałby się z tym nawet w ciągu dwóch godzin...

Znowu wyczułem w jej głosie ton skrajnego lekcewa-> żenią.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru obgadywać swego chlebodawcy.

- Różnie bywa. Jedni mają smykałkę do mechaniki, inni do czego innego...

- Na przykład do wydawania pieniędzy na gromadzenie nikomu niepotrzebnych wypisów ze starych gazet i porządkowanie szpargałów...

Pomyślałem, że ostatecznie Kosiorek wydaje własne pieniądze, które zarobił na swojej cebuli, ale nic nie powiedziałem. Nie miałem zamiaru sprzeczać się z szefową.

- Podobno siedział pan w więzieniu?

- Zdarzyło się...

- Za co?

Nie lubię takich pytań. Chciałem jej już palnąć, że za brutalne zgwałcenie babki, która była za ciekawa, ale ugryzłem się w język.

- E tam... Za takie tam sprawy... Było, przeszło. Nie warto wspominać.

- I jak tam było w tym więzieniu? Paskudnie? Wzruszyłem ramionami.

28

Więzienie też dla ludzi. Można wytrzymać.

Nie miała więcej pytań. Odwróciła wzrok i spojrzała

Okno. Nawet mi nie podziękowała za wyłączenie kalo-

rvfera. Wróciłem do gabinetu i ponownie zabrałem się do zytania o zamordowaniu świętego Mikołaja. Gdzieś koło jedenastej zobaczyłem, że przed domem zatrzymuje się jakiś samochód; wysiadł z niego listonosz z małą torbą, przewieszoną przez ramię. Potem usłyszałem dzwonek u drzwi. Był krótki. Widać Kosiorkowa zaraz otworzyła.

Około dwunastej przed wejściem pojawił się zielony fiat mirafiori. Schowałem książkę na półkę do biblioteki i pogrążyłem się w studiowaniu zawartości jednej z teczek. Trzeba było wykazać się pracowitością. Kosiorek zjawił się w gabinecie po jakichś piętnastu minutach. Był zaaferowany i w rękę trzymał otwarty telegram. Chciałem mu zameldować, czego dotychczas dokonałem, ale nie dopuścił mnie do głosu.

- Wynikły komplikacje - powiedział. - Przez kilka dni będziesz musiał pracować sam. Dostałem pewną depezę i muszę natychmiast wyjechać...

- Interesy - zauważyłem domyślnie.

- Jeszcze ważniejsze niż interesy! Wyobraź sobie, okazało się, że w Opolu... że tamtejsi Kosiorkowie...

-, Tam też są Kosiorkowie? - zapytałem uprzejmie.

- Oczywiście. To dość pospolite nazwisko przecież. Otóż tamtejsi Kosiorkowie okazali się naszą rodziną. Podejrzywałem to od dawna, tak mi się wydawało... Potem otrzymałem potwierdzenie...

- Wysłali depezę?

- Nie w tej sprawie. O tym napisali mi już przedtem, a teraz najstarszy z tamtych Kosiorków dostał wreszcie wizę do RFN i wyjeżdża tam w poniedziałek na cały rok. Muszę go przedtem koniecznie zobaczyć... On najwięcej wie o historii tamtej gałęzi rodziny. Nie mogę czekać, aż

29
wróci... Ten Kosiorek już jest wiekowy i schorowany. Może roku nie pociągnąć.

Pomysł natychmiastowego wyjazdu na drugi koniec Polski tylko z powodu jakiegoś starucha, który znj historię śląskiego odgałęzienia badylarskiej rodzin; i wybiera się na dłużej za granicę, wydał mi się tsi zwariowany, że musiałem siłą powstrzymać się, aby nii parsknąć śmiechem. Oczywiście nie zrobiłem tego. Poki,| wałem tylko ze zrozumieniem głową.

- Wyjeżdżam za kilkanaście minut. Żona podrzuci mnie na dworzec wozem...

- Samochód pan zostawia?

- Wygodniej będzie pociągiem. Paskudna pogoda Mam do ciebie prośbę...

- Zamieniam się w słuch, szefie...

- Chodzi o coś, co przekracza zakres twoich obowiązków. Widzisz, ten dom ma lokalne centralne. Kotłownia jest w piwnicy. Piec camino dobrze wyregulowany. Gdybyś zechciał dwa razy na dobę dosypać koks i troszkę go przeżuć... Krysiaczek się na tym zupełnie nie zna.

- Nie ma o czym mówić, szefie. Będę dosypywał i żuć-łował. Pani Krystyna nie zmarznie.

- To świetnie! Odwdzięczę się przy wypłacie...

- Nie ma o czym mówić.

- No to do widzenia. Trzymaj się. Wracam za trzy dni...

Kiedy już był w drzwiach, zawołałem:

- Halo, szefie! Jeżeli mam się posunąć z robotą, to niech mi pan da to drzewo genealogiczne rodu Ko-siorków...

Spojrzał na mnie niezbyt przytomnie.

- Jakie znowu drzewo?

- Mówił mi pan przedwczoraj, że wykreślił drzewi genealogiczne swego rodu. To by mi bardzo pomógł w robocie. Wiedziałbym, do kogo przypisać poszczególne dokumenty... Szukałem tego wykresu w teczkach i w se-retarzyku, ale nie znalazłem...

_ Aha... drzewo... Rzeczywiście nie ma go w sekreta-vku... Widzisz, będziesz musiał poczekać do mego po-/rotu. To był taki prymitywny wykres... Dałem go do [pracowania pewnemu grafikowi... _ Trudno, szefie. Poradzę sobie jakoś... Wyszedł, zanim skończyłem zdanie. Kosiorzowie odjechali samochodem po dwudziestu minutach. Zostałem w badyłarskiej siedzibie sam. Zupełnie sam. Postanowiłem nie zmarnować czasu. Zaczę-łem łączyć po pokojach i myszkować po wszystkich kątach. Nic właściwie w tym domu nie było zamknięte. \y szafach wisiały futra, suknie i garnitury. Nowiutkie, prościutko od Zaremby. W staroświeckim kredensie leżały srebrne naczynia, noże i widelce. Tylko szmalu ani żadnych błyskotek nie było na wierzchu. To pewnie było schowane w sejfie za świńskim obrazkiem. Mogłem

spokojnie załadować do worka rozmaitych fantów za kilkaset patyków, wynieść, spylic i... szukaj wiatru w polu. Nie przywłaszczyłem sobie jednak nic, choćby najmniejszego drobiazgu. Naprawdę miałem zamiar wrócić na uczciwą drogę i stać się zredukowanym członkiem społeczeństwa. To, co stało się potem, było tylko tragicznym nieporozumieniem. Ja jestem niewinny.

Jedyną rzeczą, którą sobie wówczas przywłaszczyłem, był kieliszek whisky „White Horse”. Whisky znalazłem w barku obok butelek z koniakami i polską czyściochą. Nigdy w życiu nie piłem whisky i chciałem spróbować, jak smakuje.

Kiedy właśnie podziwiałem wielką różnorodność róż-butów, zgromadzonych w niskiej szafce na koryta-ku, zadzwieczał ostro dzwonek przy drzwiach wejściowych. Wyjrzałem przez judasza. Na schodkach stała jakaś kobieta z gołą głową, w krótkiej zamszowej kurtce.

30

31

Za nią, na podjeździe, stał ciemnoczerwony samochód. Założyłem łańcuch i dopiero wtedy uchyliłem drzwi. W tym domu za wiele było wszelkiego dobra, żeby można było być nieostrożnym. Gdzieś z boku, obok babki w za. mszu, mógł stać jakiś facet ze szpadryną albo gazurką w łapie. Za dużo nasłuchiwałem się w kiciu, jak się załatwia takie sprawy...

Babka w zamszowej kurtce bardzo się zdziwiła na mój widok.

- Słucham panią? - zapytałem.

- Czy zastałam Krysiaczka... to znaczy - poprawiła się szybko - panią Kosiorkową?

- Niestety, pani Kosiorkową wyszła. Nie umiem powiedzieć, kiedy wróci...

Przyglądała mi się z ogromną ciekawością, a potem zdecydowała się zapytać:

- Przepraszam, a kim pan jest?... Znam wszystkie osoby z tego domu... Zwykle otwiera mi pani Jaga...

- Pani Jaga jest na urlopie - wyjaśniłem - a ja jestem sekretarzem pana Kosiorka. Co mam powtórzyć panu: Kosiorkowej? •

- A! Pan jest sekretarzem! - ucieszyła się nie wiadomo z czego. -

Niech pan jej powie, że była Buba, Bubi Raczyńska. Ona będzie wiedziała, o co chodzi... Aha proszę jej przypomnieć, że jutro czekam

na nią... Umówiła się ze mną na dwunastą... - zamilkła, ale nie odchodziła.

Gapiła się na mnie jak na jakieś szczególnie ciekawe zwierzę. Nie spodobało mi się to oglądanie. Ostatecznie nie mam rogów na głowie ani Zębów jak morski wampir.

- Powtórzę pani Kosiorkowej wszystko, co mi pani powiedziała. Na pewno nie zapomnę. Do widzenia.

Zatrzasnąłem jej przed nosem drzwi. Może to i nie był za bardzo grzeczny, ale co mi tam! Popatrzyłem jeszcze

zez Judasza, jak odjeżdża czerwonym samochodem, a potem wróciłem do oglądania domu państwa Kosiorków.

Czas upływał, a pani Kosiorkowa nie wracała. Poczulem głód. Gdzieś koło godziny piątej zdecydowałem się

samoobsłużyć. Poszedłem do kuchni i zacząłem rozglądać się za czymś do żarcia. Wielka lodówka była pusta. Tylko w jednej z jej bocznych kieszeni znalazłem kostkę masła dietetycznego. Za to w kuchennej szafce odkryłem mnóstwo konserw. Czego tam nie było! Pudełka sardynek, szprotki i innych rybek, jakieś zapuszkowane ślimaki, raczki i chyba ośmiornice - takie stworzenia przynajmniej wymalowane były na kolorowych etykietkach - i bardzo wiele puszek z zielonym groszkiem i ciętą fasolką. Zdarzały się też konserwy mięsne, ale tych było najmniej.

Wybrałem dwie puszki z rybkami. Chleba nigdzie nie znalazłem. Gdy już puszki miałem otwarte, przypomniał mi się barek w pokoju z telewizorem. Spróbowałem zwalczyć pokusę, ale w końcu przegrałem walkę. Przeniosłem się z jedzeniem do pokoju i włączyłem telewizor. Z barku wyciągnąłem napoczętą butelkę jarzębiaku. Whisky ani koniaków wolałem nie ruszać. Mogli pamiętać, po ile tam tego było. Nalałem sobie jarzębiaku do szklanki, butelkę schowałem do barku. Jadłem, popijałem i gapiłem się w telewizor. Jednym słowem dolce vita. Zupełnie jak w filmie! Żyć, nie umierać. Po jakimś czasie nalałem sobie znowu jarzębiaku. Potem jeszcze raz. Kiedy w telewizji zaczęli nadawać dobranockę, zdecydowałem, że warto by znowu coś wrzucić na ruszt. Tym razem wybrałem puszkę, na której wymalowano wijącą się ośmiornicę. Nigdy nie jadłem tego świństwa. Pomyślałem, że jeśli już żyję jak lord, to i powinienem pojeść sobie jak lord. Tym razem nalałem do szklanki solidną porcję whisky.

3 - Jestem niewinny

33

Gdy, rozwalony w fotelu, pojadalem kawalki konser, wowanej osmiornicy - byly twarde, luskowate, bez nija, kiego smaku - i sacylem whisky, przylapala mnie na ty^ Kosiorkowa. Telewizor halasowal na pelny regulatot i zupełnie nie slyszalem, kiedy wrócila do domu.

- Gdy myszy kota nie czuja... - powiedziala i wskaza)5 glowa na stojaca na stole butelke, ktora zapomnialert, schowac dp barku...

- Sefowo - staralem sie usmiechac rozbrajajaco - ni(moglem sie doczekac na obiad, wiec sam sie obsluzylem.

Wstalem z fotela, wzialem flaszke ze stołu i nie niepewnym krokiem skierowalem sie do barku.

- Co pan chce zrobic?

- Chce schowac butelke w bezpieczne miejsce, zeb z niej nie wyparowalo... Szkoda by bylo...

- Proszę sie nie wyglupiac i zostawic to na stole. Ja tezej sie chce napić.

- Juz sie robi, szefowo! - ucieszylem sie i dalem spokój butelce. - Zaraz postaram sie o jakies szklo...

- Tylko ostroznie. Proszę niczego nie potluc. To kielij szki od kompletu...

- Nie ma strachu...

Rzeczywiscie niczego nie porozbijalem, choc ruchjl mialem juz odrobinę niemrawe. Rozlalem whisky dt pekacych kieliszkow i powiadam:

- No to zdrowie pieknej szefowej... Do dna. Usmiechnela sie i wypila. Odstawiajac kieliszek powiedziala:

- Whisky, mlody czlowieku, nie pija sie jednym haus tem. To nie czysciocha. Sacy sie ja powoli, rozwadni; woda sodowa i doprawia kostkami lodu. A poza tym nit nalewa sie w k;°liszki do koniaku. Ma pan wielkie brak w obyciu towarzyskim...

- Zle mnie wychowali, szefowo, a tam, gdzie ostatnit przebywalem, nie zwracalo sie uwagi na dobre maniere!

Ale jestem jeszcze»mlody. Z pewnošcia zdaze sie nauczyc, jak nalezy pic whisky. Juz sie nauczylem. Pani mnie nauczyla. Od jutra bede pil whisky tylko z woda sodowa i z lodem... Zawsze.

___ Wysoko mierzysz, mlodzieńcze...

_ Niech mnie szefowa tak nie nazywa. Idę o zakład, że nie jestem młodszy od pani...

Oczywiście doskonale wiedziałem, że Kosiorkowa ładne kilka latek dłużej niż ja kręci się po świecie, ale dlaczego miałbym babie nie sprawić przyjemności? sjech wie, że choć się nie znam na tym, w czym pije się te kolorowe perfumy, to jednak potrafię znaleźć się wobec obiety. Kupiła.

- Widzę, że umiesz rozmawiać z kobietami - swobodnie przeszła na „ty”. - Gdzie się tego nauczył? W więzieniu?

Kupiła, ale od razu wyczułem, że nie ma w tym złośliwości.

- Między innymi. W kiciu wiele można się nauczyć...

— Jak prawić komplementy kobietom, też...? |- Oczywiście. Starsi koledzy pouczą...

- I czego jeszcze można się nauczyć w kiciu?

- Wielu rzeczy. Więzienie to szkoła życia, szefowo...

- Na przykład, jak wyłudzać pieniądze od nadzianego ogrodnika, któremu w głowie jakaś klepka skoczyła na niewłaściwe miejsce...

To już mi się znacznie mniej spodobało... Obruszyłem się.

- Nie chcę wyłudzać od nikogo żadnych pieniędzy, szefowo. Uczciwie na nie zarobię. Pomogę pani mężowi napisać książkę o jego rodzinie...

- Wielką, ilustrowaną historię sławnego rodu Kosiorków?

- Można to i tak ująć, szefowo...

No, to za pomyślność tej bzdury... - Rozlała resztę

34

whisky do kieliszków od koniaku. - Tym razem jeszcze bez wody i do dna...

- Jak sobie szefowa życzy...

Wypiliśmy. Kręciło mi się już porządnie w głowie. Rozparłem się wygodnie w fotelu i wpatrywałem się w szefową. Do tej pory

patrzyłem na nią wyłącznie jak na żonę faceta, dzięki któremu nie muszę tyrać na państwowej budowie. Trzeba było przyznać, że pani

Kosiorkowa prezentowała się jak należy. Była ani za tłusta, ani za chuda. Zupełnie w sam raz. Biust miała duży, ale bez przesady, nogi

długie, ale nie patykowate, a i buzia była zupełnie niczego. W myśli porównałem ją z Reginką. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Jeśli

chodzi o tak zwany Wystrój zewnętrzny, to Kosiorkowa była Reginę o kilka długości. Co do innych walorów, to jeszcze nie miałem

sposobności porównać. Nabrałem nagle ochoty, aby to uczynić...

- Co się tak na mnie gapisz, kryminalisto?...
- Podziwiam - wyznałem szczerze - podziwiam i zazdroszczę panu Kosiorkowi... Gdybym miał taką żonę -zdożyłem się na odwagę - to ani by mi przez myśl nie przeszło tracić czas na gromadzenie starych papierzyk. Miałbym co innego do roboty... I z domu by mnie nikt nie wygonił...
- Śmiały jesteś, kryminalisto. Tupetu ci nie brak...
- Szczerzy jestem, szefowo, u mnie co w sercu, to na języku... Szefowa mi konweniuje, i już...
- Gdybyś nie był tak śmiesznie bezczelny, mógłbyś być nawet przyjemnym chłopcem... I żebyś nie miał jeszcze takich cwaniackich odezwań...
- Postaram się nie być bezczelny... I język też zawiążę na supełek... Dla pięknej szefowej zrobię wszystko... Roześmiała się.
- Naprawdę wszystko?
- Wszyściutko, jak bonie dydy...

36

_ No to biegnij do piwnicy i dorzuć kilka szufli koksu jo pieca, grzejniki stygną... Nie zapomnij przeżuż-łować...

_ Załatwię to z miejsca. Palenie w piecach to moja specjalność...

_ Taka sama pewnie jak pisanie o historii ogrodniczych rodzin?

_ Jakby szefowa zgadła...

- No, to pospiesz się. Pokaż, że jesteś dobry w konkurencji ciepłowniczej...

_ I w innych sprawach też jestem nie najgorszy. Mogę się wykazać.

- Obiecałeś nie być bezczelny.

- Poprawię się.

Zlazłem do piwnicy. Stał tam piec przysadzisty, niski, z którego wybiegały rozmaite rury. Na jednej z nich, tej największej, umieszczony był duży termometr. Obok, za betonowym murkiem, piętrzyła się góra koksu. Zupełnie nie znam się na lokalnym centralnym ogrzewaniu, ale ostatecznie nie święci garnki lepią. Otworzyłem górne drzwiczki pieca i zajrzałem do środka. Zobaczyłem rozjarzoną ciemnowiśniową masę. Sypnąłem na nią koksu do pełna i zamknąłem drzwiczki. Potem przypomniało mi się, że Kosiorkowa kazała piec przeżużłować. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Otworzyłem najniższe drzwiczki. To był popielnik. Nic tu nie było do żużlowania. Otworzyłem drzwiczki środkowe. Za gęstą kratką

palił się koks. Obok pieca leżał jakiś metalowy szpikulec i pogrzebacz. Wsadziłem szpikulec między kratki i poruszałem nim kilkakrotnie w tę i z powrotem. Uznałem, że niczego więcej nie wymyślę. Być może, zużłowanie polega właśnie na takim gmeraniu w płonącym koksie. Zamknąłem drzwiczki i poszedłem na górę. Telewizor był zgaszony. Kosiorkowej nigdzie nie było, tylko na stole stała nowa, nie rozpieczętowana butelka

37

koniaku i nasze kieliszki. A więc zapowiadało się niezłe gazowanie! Pomyślałem, że szefowa pewnie przygotowuje zakąski. Przypadkowo zerknąłem na swoje ręce. Były całe usmolone. Za paznokciami czerniły się grube półksiężycy sadzy. Postanowiłem się umyć. Nie można przecież popijać koniaku z elegancką babką mając łapy jak węglarz. Poszedłem do łazienki. Otworzyłem drzwi i skamieniałem z wrażenia. W wielkiej, obudowanej błękitną glazurą wannie, w obłoku białej piany, która przelewała się przez krawędzie, siedziała Kosiorkowa... Wpatrywałem się w nią jak ciełe w malowane wrota. Pewnie nawet otworzyłem usta...

- Co się tak gapisz, kryminalisto? Nie widziałeś kobiety w kąpieli?

- Przepraszam panią - wybełkotałem - nie wiedziałem, że łazienka zajęta, już wybywam... - Cofnąłem się szybko na korytarz.

- Poczekaj! Umyjesz mi plecy. Mąż zawsze myje mi plecy. Sama nie potrafisz.

Niepewnie podszedłem do wanny. Jeszcze nie mogłem ochłonać z wrażenia.

- No, na co czekasz?! Weź gąbkę i szoruj!

- Kiedy mam brudne ręce... - pokazałem jej usmolone paluchy.

- No to je sobie umyj, głupolu! Uniosła się lekko, chwyciła mnie za obie ręce i wciągnęła je aż po łokcie w wodę.

- Ojejku! Moja marynarka! - jęknąłem przerażony.

Puściła moje ręce, a potem energicznie kilkakrotnie zamachała nogami. Fontanny wody i piany zalały mi koszulę i cały garnitur. Mój jedyny garnitur. Marynarkę i spodnie.

Zakląłem ordynarnie i odskoczyłem do drzwi. Musiałem wyglądać komicznie i żałośnie, bo zaczęła się głośno śmiać.

Byłem wściekły. Miałem ochotę przylać babie po głowie, jżawet się zamierzyłem...

Zaśmiewając się wstała nagle i stanęła wyprostowana naprzeciwko mnie całkiem goła, ociekająca wodą i pianą.

Uniesiona do uderzenia ręka zamarła w połowie drogi.

_ Nie miej takiej głupiej miny, kryminalisto... rozbieraj się. szybko. Trzeba wysuszyć ubranie... No, na co czekasz?

Zdjąłem marynarkę.

_ Rozbieraj się dalej. Szybciutko. Zresztą musisz się wykąpać. Jesteś bardzo przystojnym chłopcem, ale zalatuje od ciebie zapaszkiem kryminału. Powinieneś używać dezodorantów...

- Gdzie mam się wykąpać? - zapytałem głupawo. Byłem skołowany i nie rozumiałem, czego ode mnie chce.

- Och, głuptasie - zaśmiała się i z powrotem pograżyła się w pianie - oczywiście, że w wannie. To bardzo duża wanna, zmieścimy się oboje...

Zrozumiałem, o co jej chodzi, i nagle bardzo mi się to spodobało.

Reginka opowiadała o takich numerach. Niektórzy jej klienci miewali wyrefinowane zachcianki. Osobiście jednak nigdy czegoś takiego nie próbowałem. Z bardzo prostej przyczyny - tak się złożyło, że nigdy nie miałem wanny.

- Poczekaj - zawołała, widząc, że zaczynam ściągać resztę ciuchów - w living roomie na stole jest koniak i kieliszki. Przynieś je tutaj...

Pobiegłem po koniak. I tak się zaczęło moje prawdziwe dolce vita...

Z wanny powędrowaliśmy do sypialni. Tam, gdzie poprzedniego dnia wyłączyłem kaloryfer. I tu się zabawialiśmy. Okazało się, że pani Kosiorkowa zna się na tej zabawie wcale nie gorzej od Reginki, która zajmuje się tym zawodowo.

"38

39

Tę butelkę koniaku wytrąbiliśmy do końca.

Obudziło mnie światło. Spróbowałem mocniej zacisnąć powieki, ale wtedy poczułem, że coś ściąga ze mnie kołdrę.

Nadal nie otwierając oczu próbowałem kołdrę przytrzymać, ale nie dawało rady. Rozwarłem powieki. Obok mnie leżała pani

Kosiorkowa. Patrzyła gdzieś w bok, za moje plecy. Poderwałem się i odwróciłem. Przy łóżku stał Kosiorek. Ubrany był w krótki, rozpięty kożuszek. Nic nie mówił. W lewej ręce trzymał swoje przydymione okulary, prawą ściągał z nas kołdrę.

Pierwsze, co poczułem, to nie strach czy zdziwienie, ale żal. Cholerną żalność, że piękny sen się kończy. Żegnaj, słodkie życie! Nie przezimuję w badylarskiej rezydencji... Nie będę pijał whisky pana Kosiorka i kąpał się w wannie z piękną panią Kosiorkowa... Trzeba będzie wracać do Reginki, kąpać się w jej blaszanej balii i zamiast w cieple opisywać dzieje rodu zasłużonych dla kraju badylarzy, tyrać w mróz na jakiejś budowie.

Zrozumiałem to wszystko w ciągu ułamka sekundy i westchnąłem żalnością.

Kosiorok nadal milczał. Kosiorkowa też. Mijały sekundy. Coś trzeba było zrobić. Coś powiedzieć. Nie mogłem już dłużej znieść tej ciszy... — Panie Kosiorok - wybelkotałem jęklonie - nie chciałem... Byłem pijany... No, jak rany Boga, nie chciałem tego... szefie...

W dalszym ciągu nic nie mówił. Tylko puścił kołdrę, a okulary schował do kieszeni. Jego oczy były straszne. Nieruchome, bez żadnego wyrazu. Wygramoliłem się z łóżka i zacząłem rozglądać się za ubraniami. I wtedy uderzył. Bez żadnego uprzedzenia. Wyprowadził prawą pięścią cios sprawnie i precyzyjnie jak doświadczony bokser. Nie zdążyłem się uchylić ani zasłonić. Po prostu zupełnie nie spodziewałem się, że mnie zaprawi. A krzepę

40

to on miał. Jak mnie grzmotnął w szczękę, to aż mi głowa zaskrzypiała na zawiasach. Potem poprawił lewą. Też precyzyjnie. Fachowo. W oczach mi pociemniało, we łbie zawirowało. Ale jednocześnie te baty mnie otrzeźwiły.

Gdzieś się rozwiały żalność i zaleknienie. Bijesz, skubany? Chcesz się lać? Czemu nie, mamałygo... Złość mnie wzięła i cały sprężyłem się w sobie. Już nie myślałem o tym, że fatalnie przerznięłem życiową szansę, ale o tym, żeby się nie dać i przyłożyć mu tak, aby poczuł, że go leję... I dawaj! Jak go nie przyiwanię w ucho! A potem w żołądek! I jeszcze raz w ucho! Już nie ma Kosiorok postawy bokserskiej, już mu ręce idą do dołu, już się chwieje...

Kosiorkowa zrywa się z łóżka i wrzeszczy:

- Przestań!

'Za późno krzyczy. Wyprowadzam jeszcze jeden cios. Prościutko na podbródek. Kosiorok słania się, a potem gwałtownie odchyła do tyłu i z łoskotem pada na podłogę. Leży nieruchomo, rozkrzyżowany...

Opuszczam ręce. Zęby jeszcze mi się gniewnie zaciskają. Teraz dopiero czuję ból w szczęce rozbitej przez Kosiorka. Ostry, przenikliwy.

Kosiorkowa podbiega do męża.

- Coś ty narobił!

- Sam tego chciał skubaniec... Pierwszy uderzył...

Siadam na łóżku, oddycham ciężko, sapliwie. Widzę, jak Kosiorkowa klęka przy mężu, pochyla się nad nim, dotyka jego twarzy, bada mu puls, potem przestaje, nieruchomieje. Patrzą na to obojętnie, nic nie rozumiejąc. Nie reaguję też, gdy rozchyła leżącemu poły kożucha, rozpina marynarkę, koszulę i przykładą ucho do jego piersi. Jej goły zadek podskakuje przy tym zabawnie. Zauważam to, ale wcale nie chce mi się śmiać. Dalej oddycham ciężko. Nagle robi mi się zimno. Czuję, że dostaję gęsiej skórki na ramionach, na brzuchu i na

41

plecach. Palce zaczynają mi drżeć. Gdzieś w głębi zaczyna rodzić się strach... Sięgam po leżący na krześle obok łóżka szlafrok. To szlafrok Kosiorkowej, ale jest mi wszystko jedno, muszę go narzucić - moje ubranie zostało w łazience, a mnie jest zimno. Pewnie źle przeżułowa-łem ten cholerny piec i kaloryfery przestały grzać. Kąterr. oka widzę, jak Kosiorkowa koniuszkami palców odwija powieki męża. Potem prostuje się i mówi patrząc m! w oczy:

- Robert... on nie żyje...

- Co ty... nie zalewaj...

- Naprawdę, Robert... naprawdę nie żyje...

Świat się zawalił. To było tak, jakby ściany i sufi osunęły się, zgmiotły mnie i zmiażdżyły. Byłem zgnieciony, sprasowany, unicestwiony. Ciemny mrok mnie ogarnął, utopiłem się w mroku, choć lampa'z ozdobnym różowym abażurem, ustawiona na nocnym stoliku, świe ciła równo, bez żadnego przygasania.

- Trzeba po lekarza, szybko trzeba po lekarza... -powiedziałem z wysiłkiem, próbując przezwyciężyć bez wład i oszołomienie - koniecznie trzeba po lekarza... pi pogotowie...

- Jemu nie pomoże już żaden lekarz... Znam się n, tym... Przez pięć lat studiowałam medycynę... Miałar praktykę w pogotowiu, wylali mnie ze studiów już n. ostatnim roku...

- Trzeba próbować...

- Mówię ci, że on naprawdę nie żyje... Zabiłeś go.

Zabiłem go? Zabiłem człowieka. Zabiłem pana Kosior ka, badylarza, który chciał opisać historię swojej rodzi ny... Nie! Nieprawda! Nikogo nie zabiłem! Nie chcę tego nie chcę...

Otwieram usta, bełkoczę coś niewyraźnie. Nie poznaj' swojego głosu.

- Co mówisz? Co teraz będzie?

- Nie wiem... Nie zabiłem go. On sam... On przecież zaczął... Nie chciałem tego zrobić. To był wypadek, zwykły wypadek.

- Wy tłumacz to milicji - głos jej jest pełen troski.

- Milicji? Dlaczego milicji?

- Przecież trzeba zawiadomić milicję... Zrozum, on nie żyje. Czy ty tego jeszcze nie rozumiesz? Musimy coś wymyślić...

Co ma do tego milicja? Po co oni? Przecież to był wypadek.

Wypadek. Zwyczajny, najzwyczajniejszy... Tylko czy gliny w to uwierzą... bo przecież bez gliniarzy się jednak nie obejdzie... Muszą wtrzyąć swe nosy w tę sprawę... Na tym polega ich robota. Za to im płacą... Z przerażającą jasnością uświadamiam sobie, że już wkrótce będę odpowiadał na ich podchwytliwe pytania, będę wpatrywał się w ich obojętne, jakby lekko znudzone gęby, będę musiał im tłumaczyć, dziesiątki, setki razy powtarzać, jak to się stało, jak do tego doszło... I wiem, już teraz wiem, że mi nie uwierzą. Bo kim ja jestem? Robert Cyprysiak. Recydywa. Bez stałego za trudnienia... Dla takich jak ja nie ma litości, nie ma okoliczności łagodzących. Na długie, bardzo długie lata zamknie się za mną więzienna brama. A może być jeszcze gorzej... Wszystko będzie zależeć od tego, co powie Kosiorkowa...

Spoglądam na nią z nadzieją i proszę:

- Powiesz milicji prawdę? Powiesz im, jak było? Powiesz?

Kosiorkowa podchodzi do szafy, wyjmuje z niej szlafrok i nakłada go na siebie. Mierzy mnie zdziwionym i zarazem zimnym spojrzeniem.

- Prawdę? To znaczy mam powiedzieć, że mój mąż nakrył mnie w łóżku z kryminalistą? Tego chcesz?

Niby pyta, ale przecież już wiem, że w tym pytaniu jest odpowiedź.

Pani Kosiorkowa nie ma najmniejszego zamiaru przyznać się, że figlowała w małżeńskim łóżku

42

43

z niedawno wypuszczonym z kicia recydywistą. O dziwka! O dziwka! Nic ją nie obchodzi, co się ze mną stanie. Nic a nic! Samolubna

dziwka! Chwytam ją mocno za ramiona. Bardzo mocno. Moje palce zaciskają się z całej siły na jej brązowym, przyrumienionym pod kwardówką ciele.

- Puść! To boli! Puść!

- Powiesz prawdę? Powiesz?

Nie zwalniam uścisku. Mam ogromną ochotę chwycić ją za gardło, za tę szyjkę kragłą i apetyczną, na której są dwa pieprzyki, i zdusić babę jak kota! O dziwka przekłeta! .

- Przestań! W tej chwili przestań! Jeżeli jeszcze i mnie zabijesz, to cię już na pewno powieszą!

Powieszą? Mnie powieszą? Wcale nie chcę, żeby mnie powiesili...

Puszczam jej ramiona, zataczam się i siadam na łóżku. Wiem, że jestem zgubiony. Zmarnowany, bez ratunku. Wpatruję się w leżącego na podłodze Kosiorka. Jest nieruchomy. Martwy i nieruchomy. Będę taki sam, gdy już mnie zdejmą ze sznura... Nie chcę, żeby mnie powiesili... Ogarnia mnie żal i rozczulenie. Zbiera mi się na płacz i wymioty. Wpatruję się w Kosiorka. Kosior-kowa podchodzi do mnie i potrząsa mną energicznie. Już zdążyła zawiązać szlafrok.

- Nie patrz tak na niego! Nic już nie możesz zrobić. Idź się natychmiast ubrać! Musimy zachować spokój...

Pozwalam się wyprowadzić z sypialni. Zaczynam płakać. Zawsze uważałem się za chojraka, za chłopaka z ikrą, a teraz łamię się jak chamski scyzoryk. Nie chcę, żeby mnie powiesili... Nie chcę... O dziwka! Cholerna

dziwka...

Kosiorkowa wyciąga z barku butelkę, napełnia szklanę jakimś kolorowym płynem i podaje mi ją.

- Wypij! Wypij duszkiem... Rozkleiłeś się zupełnie. Jesteś do niczego...

44

Posłusznie wypełniam polecenie. Trzymana oburącz szklanka dygocze mi w dłoniach, zęby podzwaniają o szkło. Połykam palący, ostry płyn. Gorąca plama rozlewa mi się po wnętrznościach.

- Ubierz się szybko... Nie mamy czasu.

Okazuje się, że moje ubranie jest jeszcze zupełnie mokre. Kosiorkowa podaje mi z szafy garnitur męża.

Ubieram się. Marynarka jest trochę za ciasna. Pije pod pachami. Za to spodnie leżą jak ulał. Wkładam buty.. Mam trudności z ich zasznurowaniem. Palce nadal mi drżą...

- Słuchaj - powiada Kosiorkowa - nikt nie wie, że on wrócił. Sama nie wiem, jak to się stało... Wsadziłam go przecież do pociągu... Nie mogę tego zrozumieć...

- Wrócił - mówię apatycznie - po prostu wrócił. Wsiadł gdzieś po drodze i wrócił najbliższym pociągiem...

- Ale nikt o tym nie wie...

- Dowiedzą się... Wszyscy się dowiedzą... Powiem prawdę, co tu się stało, ty też musisz powiedzieć prawdę, musisz...

- Nic nie muszę. Nie chcę być skompromitowana na całe życie. Czy ty tego nie rozumiesz? Poczekaj, nie przerywaj... Ty też nie będziesz nic tłumaczyć... To się da załatwić inaczej...

- Inaczej?... Jak inaczej?... Trzeba powiedzieć prawdę...

- Posłuchaj uważnie! Nie bądź takim mięczakiem! Weź się w garść... Podobno dwa razy siedziałeś w więzieniu, a zachowujesz się jak rozhisteryzowana panienka! Zrozum, przecież nikt nie potrzebuje wiedzieć, że on tu wrócił i że go zabiłeś! Wyjechał do Opoli... Mam świadka, który widział, że wyjechał. Na dworcu spotkał nas znajomy, kłamał się nam... więc dla milicji będzie pewne, że rzeczywiście wyjechał... Rozumiesz?

Zaczynało mi powoli świtać, do czego zmierza.

- Wyjechał... - powtórzyłem niepewnie - ale przecież nie dojechał do Opoli...

- No właśnie! Wsiadł do pociągu, ale nie dojechał do Opoli... Rozwiązał się gdzieś po drodze... Zniknął. Zniknął} bez śladu... Nikt go nie będzie mógł znaleźć... Zresztą, wcale nie będzie wiadomo, czy do Opoli nie dojechał. Człowiek, z którym miał się tam spotkać, pojutrze wyjeżdża za granicę. Na długo, pewnie na stałe.

- Ludzie nie znikają bez śladu...

- Właśnie że znikają! Zdarza się... Nie słyszałeś nigdy w telewizji takich komunikatów? Dnia tego a tego wyszedł z domu i dotychczas nie wrócił... Ktokolwiek by wiedział... niech da znać... Musiałeś słyszeć...

- W końcu zawsze taki ktoś się znajduje... Żywy albo umarły...

- Nieprawda! Czytałam, że pewien procent przypadków zostaje na zawsze nie wyjaśniony. Zdarza się, że ktoś nawieje za granicę albo

wpadnie w taką jakąś dziurę, gdzie go już nikt nie znajdzie... Są i tacy, którzy tracą pamięć albo po prostu bardzo starannie zatrą za sobą wszystkie ślady... Szuka się ich przez jakiś czas, najpierw z wielkim rozpędem, potem już tylko dla formalności, a w końcu sprawa zostaje umorzona...

- Ale on nie zniknął bez śladu, on tu jest...

- To się da załatwić. Jeżeli mi pomożesz... W głębi mroku, który mnie zewsząd otaczał, zajaśniała maleńka iskierka światła.

- Co chcesz zrobić?

- Usunąć go. Niech rzeczywiście zniknie bez śladu. To jedyne wyjście.

- Gdzie go schowasz?

- Jest takie miejsce. Niedaleko stąd... Bliziotko... Nikt go nigdy nie znajdzie. Nikt nie będzie wiedział... '

- Gdzie?...

46

Spojrzała na mnie bystro. Była opanowana. Zimna jak lód. Oczy miała chłodne, nieprzyjemne...

- Ty tego nie potrzebujesz wiedzieć. Tak będzie lepiej. Jesteś słaby. Strasznie słaby. Wygadasz się przy pierwszej lepszej okazji i gdyby go znaleźli, mogłoby się to dla nas bardzo źle skończyć. Bardzo... Nie dopytywałem się więcej, gdzie chce ukryć trupa swego starego. Nie chciałem tego wiedzieć. Miała rację. Pomyślałem, że w przyszłości może się zdarzyć różnie... Niech szybko zabiera nieboszczyka. Odetchnę dopiero wtedy, gdy już go nie będzie pod tym dachem. Sięgnąłem po stojącą na stole butelkę. To z niej Kosiorkowa naląła mi przed chwilą do szklanki. Przeczytałem napis na ozdobnej etykiecie: „Courvoisier Cognac”. „Dolce vita. Moje dolce vita w badylarskiej rezydencji... Przypiąłem się do butelki...

- Odstaw to. Nie wolno ci się zalewać. Musisz mi pomóc...

- Przecież powiedziałeś, że ty sama...

- Sama. Ale pomożesz mi go zanieść do samochodu... Znowu ogarnął mnie strach, obrzydzenie i mdłości. Skurczyłem się i przytulilem butelkę do piersi...

- Nie chcę na niego patrzeć... Nie mogę...

- Nie bądź dziecinny! Nie wygłupiaj się!

- Muszę się napić. Koniecznie muszę łyknąć...

- Głupi szczeniak! Zafajdany smarkacz! Chodź ze mną!

Nie chciałem dać się przekonać. Nie mogłem więcej spojrzeć w jego twarz, w twarz człowieka, którego niechcący zabiłem...

- Dobrze — zrezygnowała - zawinę go w koc. Nie będziesz musiał patrzeć...

• Poszła sama do sypialni. Zawołała mnie dopiero po chwili.

Poszedłem. Nogi miałem jak z waty. Ciało było zawinięte w koc. Nie musiałem już patrzeć w twarz

47

nieboszczyka. Znieśliśmy go schodkami do garażu i umieściliśmy, podkurzonego, w bagażniku fiata mira-fiori. Kosiorkowa kazała mi wrócić na górę i poszukać jego czapki i teczki. Pamiętała, że gdy wyjeżdżał do Opola, miał z sobą teczkę. Pamiętała o wszystkim.

Przytomna babka.

Czapkę i teczkę znalazłem w przedpokoju. Zostawił je tam, zanim wszedł do sypialni i nas nakrył.

Kosiorkowa kazała mi cierpliwie czekać i wyjechała z garażu.

Czekałem ze trzy kwadransy. Piłem koniak. Nie czułem jego smaku.

Butelkę wyrwała mi z ręki Kosiorkowa. Wróciła zaróżowiona od świeżego powietrza i mrozu.

- No, teraz kolej na ciebie. Musisz zaraz stąd zniknąć...

- Zniknąć?...

- Zniknąć i więcej nie wracać. Nigdy. Zapomnieć, że tu kiedykolwiek byłeś, że nas znałeś...

- Mam się zmyć?...

- Oczywiście. Za kilka dni muszę się zaniepokoić, że Paweł nie wraca, zacząć go szukać i w końcu zawiadomić milicję... Zaczną wtedy węszyć dookoła. Byłoby niedobrze, gdyby ciebie tu zastali...

Człowiek z twoją przeszłością mieszkający pod jednym dachem z żoną zaginionego... to by wyglądało podejrzanie... Nie uważasz?...

Ale na szczęście o twoim istnieniu wiedział tylko Paweł i ja... To ułatwia sprawę... Czy ty - zaniepokoiła się - nie mówiłeś nikomu, że się do nas przeprowadzasz?...

- Mówiłem takiej jednej, że dostałem pracę z mieszka-

niem...

- Komu mówiłeś?

- Takiej jednej, mieszkałem u niej... Ale to zupełnie nieważne... Nie powiedziałem jej nic konkretnego... Nie mówiłem, u kogo mam robić i gdzie to jest...

- No to w porządku. Sytuacja jest jasna. Musisz stąd

48

uciekać, i to zaraz. Jeszcze przed świtem, żeby cię nikt tu nie zobaczył... W dzień może ktoś przyjść do Pawła...

- Dokąd mam iść? Już? Teraz?...

- Idź, dokąd chcesz. Musisz przez jakiś czas posiedzieć cicho i nie rzucać się w oczy... Przywarować. Na wszelki wypadek... I nigdy tu nie wracać. I nigdy, nigdy, w żadnych okolicznościach nie przyznawać się, że tu kiedykolwiek byłeś. W razie czego musisz iść w zaparte. -Uśmiechnęła się nieznacznie. - Chyba to właśnie tak nazywacie w waszej mowie?

Nie miałem najmniejszej ochoty objaśniać jej teraz tajników złodziejskiej grypsery. I nawet trochę się zdziwiłem, że Kosiorkowa w takiej sytuacji ma głowę do żartów. Zaimponowała mi ta baba. Z odrobiną zazdrości pomyślałem, jaka twarda z niej sztuka. Umiała się znaleźć nie tylko w łóżku... Ale to były myśli zupełnie marginesowe, nieważne... Byłem oszołomiony i znowu poczułem się przegrany. Dolce vita w willi Kosiorków kończyło się nieodwołalnie.

- Nie mam dokąd pójść...

- Musisz mieć jakichś kolegów, przyjaciół - zdenerwowała się - każdy ma... Sam mówiłeś, że mieszkałeś u jakiejś dziewczyny...

- Jestem goły. Zupełnie splukany. Nie mam nawet na fajki... Nikt mnie za frajer nie przytuli...

- Trzeba było tak od razu... Zaradzimy jakoś. Chodź do gabinetu. Tam jest sejf. Zresztą sam widziałeś... Tyfko ci się oczy świeciły - dodała złośliwie.

Poszliśmy do gabinetu. Zjąłem ze ściany świński obrazek, za którym była Skrytka.

- Ojejku! - zawołałem zafrasowany - Kosiorek miał przy sobie klucz... Widziałem, jak go chował do tylnej kieszeni...

- Czy myślisz, że jestem nieprzytomna? Wyjęłam go... Masz, otwieraj...

4 - Jestem nie-winny

49

Podawała mi płaski długi klucz z licznymi nacięciami. Ta cizia miała nerwy! Pamiętała o wszystkim! Nawet o kluczu w kieszeni męża... w kieszeni nieboszczyka...

Ostrożnie wprowadziłem klucz w dziurkę otoczoną błyszczącym, niklowym obramowaniem.

- Przekręć trzy razy... - powiedziała. - Delikatnie, nic na siłę...

Wiedziałem, że trzy razy. Patrzyłem przecież, jak to robił Kosiorek. Uważnie się przyglądałem. '

Przekręciłem trzy razy. Rozległ się delikatny trzask i stalowe drzwiczki odskoczyły. Grube były. Pierwszy raz w życiu otwierałem coś takiego... Gdyby to było w innej sytuacji...

Zajrzałem do wnętrza. Jakies papiery. Pudełeczka...

- Nie widzę pieniędzy...

- Muszą tam być. Poszukaj.

Wyciągnąłem jakiś papier. Spory arkusz, który zasłaniał mi dno skrytki. Na papierze tym zauważyłem jakiś dziwny wykres.

Szachownica nazwisk opatrzona datami i liczne strzałki łączące te nazwiska. Drzewo genealogiczne. Drzewo genealogiczne rodu Kosiorek. Rzuciłem papier na ziemię. Na dnie sejfu zobaczyłem pieniądze... gruby plik tysiąc złotych banknotów...

- Daj mi to - powiedziała i wyciągnęła rękę.

Może gdybym był w innej sytuacji, nie oddałbym jej tak łatwo tego szmalu; człowiek bywa słaby i czasami ulega pokusom, ale nie miałem głowy do takich przekomarzań. Posłusznie podałem jej pieniądze. Rozdzieliła je na dwie mniej więcej równe kupki. Podała mi jedną. Sporo tego było. Nigdy w życiu nie miałem tylu pieniędzy.

- To ci powinno wystarczyć. Nie wydawaj ich za nachalnie. Nie chwal się forszą. Na takich jak ty patrzają bardzo uważnie...

Nie potrzebowała mnie pouczać. Sam swoje wiedzia-

50

łem. Wielu chłopaków, których poznałem w kiciu, wpadło tylko dlatego, że nie potrafili obchodzić się z pieniędzmi. Szastali na prawo i lewo i powpadali... Są tacy, 1 którzy wypatrują, co kto wydaje i skąd na to ma...

Forsza w kieszeni poprawiła mi samopoczucie. Uśmiechnąłem się po raz pierwszy od kilku godzin.

- Nie ma strachu, taki znowu denny to nie jestem...

Poszliśmy do mojego pokoju. Do pokoju, w którym miałem prezimować... Pozbierałem do teczki wszystkie swoje rzeczy.

Niewiele tego było. Potem nałożyłem palto i Kosiorekowska odprowadziła mnie do wyjścia...

- Do widzenia - powiedziałem -jesteś klasa kobieta... Może się kiedyś jeszcze spotkamy...

- Nie waż się tu wracać - warknęła. - Nie znamy się. Nigdy się nie znaliśmy. Wbij to sobie w swój tępy łeb. I jeszcze jedno... Te pieniądze, które ci dałam, to jest wszystko. Niech ci czasem nie przyjdzie do głowy, że mógłbyś jeszcze coś wycyganić...

Zrozumiałeś?

Wypchnęła mnie na dwór i zatrzasnęła drzwi. Nawet nie powiedziała: do widzenia...

Ogarnął mnie mrok i ostry wiatr uderzył w policzki. W ciągu dnia była odwilż, ale na noc znowu chwycił mróz i zaczął padać drobny śnieg. Nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co zrobić i gdzie się podzięję, ale zdawałem sobie sprawę, że nie zginę. Dokumenty miałem w porządku i miałem forszę. Mogłem iść na Mory, a potem wzdłuż Połczyńskiej do Wolskiej, tak jak tu z Kosiorkiem przyjechałem. Ale dałem spokój. Nie chciałem łązić nocą po szosie. Mógł mnie spotkać jakiś patrol i wylegitymować. Nic by mi nie zrobili, ale z pewnością zanotowaliby mnie w swoich notesach. Gliny tak zawsze robią, gdy kogoś legitymują. Na wszelki wypadek. Nie chciałem figurować w żadnym milicyjnym notesie. W razie czego można by było wyszperać, że tamtej nocy znajdowałem się w tej okolicy.

51

Poszedłem, kierując się ku Warszawie, na przełaj, przez pola. Głupio zrobiłem. Poblądziłem w lasku, potargałem o krzewy ubranie. Łaziłem jak głupi przez kilka godzin... Dopiero jak się rozwidniło, zorientowałem się, gdzie jestem. Dotarłem do pętli tramwajowej na Bemowie, Nie miałem biletów tramwajowych ani żadnych innych, pomaszerowałem więc wzdłuż szyn. Postanowiłem być ostrożny, bardzo ostrożny, nie chciałem się narażać kontrolerom.. Wreszcie przy pętli autobusu sto pięć znalazłem kiosk z gazetami. Nie chciałem rozmięniać tysiąca złotych, żeby nie wpaść w oko. Oględnie mówiąc, byłem dość obciuchany, a łązenie nocą po lesie dodatkowo nie wyszło na zdrowie memu paltotowi. Na szczęście w jednej kieszeni garnituru Kosiorka, który miałem na sobie, znalazłem kilka dwudziestozłotówek. Pętały się po kieszeni luzem. W kiosku kupiłem bilety i papierosy. Obok spostrzegłem niewielki szklany pawilon. Na betonowym wybiegu przed wejściem stały pokryte śniegiem stoliki.

We wnętrzu sprzedawano piwo. Kupiłem dwie butelki piwa „Special”. Stojąc przy kontuar-ku, gapiłem się na ośnieżone sosny za oknami, na różową przysadzistą bryłę pawilonu handlowego po drugiej stronie ulicy, paliłem papierosa i piłem piwo.

Byłem zmęczony, rozluźniony i senny. Koszmarna noc się skończyła, prześladowający mnie przez cały czas błędzenia po lesie obraz nieruchomego ciała Kosiorka jakby się rozmył... Pomyślałem, że miałem niebywałe szczęście w nieszczęściu. Przed kilku godzinami byłem przekonany, że już jestem skończony, że wpadłem w dół, z którego nie ma wyjścia, ale jakoś poszło... Odkleiłem się od tej śmierdzącej, śmiertelnie śmierdzącej sprawy, od tego trupa. Jestem wolny i bezpieczny... Bezpieczny i w dodatku nadziany. Nigdy w życiu nie miałem tyle'forsy. Nie orientowałem się, ile tego jest - nie zdążyłem przeliczyć. Wiedziałem jedynie, że dużo, bardzo dużo...

52

I nagle przypomnienie... Ostre, wyraźne. Poczułem, że krew odpływa mi od głowy, a nogi miękną i uginają się bezwolnie... Jakże mogłem o tym zapomnieć! Jakże mogłem się łudzić! Nic nie było w porządku... Przecież była jeszcze ta kobieta... Uprzytomniłem sobie ostry dzwonek do drzwi wejściowych... kobietę w zamszowej kurteczce... pełne zaciekawienia pytanie: „Kim pan właściwie jest?...” i moją odpowiedź: „Jestem sekretarzem pana Kosiorka”.

Nie opowiedziałem pani Kosiorkowej o tej wizycie... Na śmierć o niej zapomniałem... Na śmierć...

Odstawiłem nie dopitą butelkę piwa. Zapragnąłem uciekać. Jak najszybciej i jak najdalej...

I to by było wszystko. Nic więcej nie mam do powiedzenia... Tak.

Ukrywałem się kilka tygodni. Nie... nie zgłosiłem się do was...

Chciałem się zgłosić, ale się bałem, żeżni nie uwierzycie... Wiem, że źle zrobiłem, ale trudno...

Gdzie się ukrywałem? U kogo?... Nieważne... To nie ma nic do rzeczy. Zresztą nie bardzo pamiętam... Przez cały czas byłem jak nieprzytomny. To mi się niekiedy zdarza... Wałęsałem się... Nie wiem gdzie i po co... Jak byłem mały, miałem wypadek. Pęknięcie podstawy czaszki i wstrząs mózgu. Mówiłem już o tym na początku. I od tego czasu zdarza się, że szajba mi odbija...

Nie, tamtej pani nie chciałem zrobić nic złego... Niepotrzebnie się przestraszyła, ja sam byłem w strachu, jak ją zobaczyłem... To nie ona, to ja uciekłem.

Dlaczego poprzednio zeznawałem inaczej? Myślałem, że tak będzie lepiej, że dla mnie będzie lepiej, jak pójdę w zaparte... Tak jak radziła Kosiorkowa, ale teraz postanowiłem mówić prawdę...

Aha, jeszcze jedno... U tej Reginy Biel, u której mnie zwinęliście, wcale się nie ukrywałem. Nie u niej... Przyszedłem raz tylko, na chwilę, po starej znajomości... A gdzie się ukrywałem?... Nieważne. Mówiłem już, żenię

53

pamiętam, zapomniałem... U Reginy Biel w każdym razie nie. Nie możecie jej pociągać do odpowiedzialności za udzielanie pomocy osobie poszukiwanej przez władze...

Do czego ostatecznie się przyznaję? Stanowczo nie przyznaję się do czynu podpadającego pod paragraf pierwszy sto czterdziestego ósmego artykułu... Moją sprawę można najwyżej zakwalifikować pod artykuł sto pięćdziesiąty drugi...

Nie ukradłem też niczego, niczego. Nie może być mowy o paragrafie pierwszym artykułu dwieście cztery, a już tym bardziej o artykule dwieście osiem... Kosiorkowa dała mi te pieniądze. Są moją własnością. Było tego czterdzieści siedem tysięcy w banknotach tysiączłoto-j« wych. Wydałem siedem tysięcy pięćset złotych, zostałoft trzydzieści dziewięć i pół tysiąca... Garnitur pana Ko-ijf siorka otrzymałem od jego żony. Mój był mokry i nie|| miałem się w co ubrać. Te dwa złote pierścionki i broszka|f nie mają nic wspólnego z tą sprawą. Są moją prywatną^f własnością. Skąd je mam?

Znalazłem. Tak. Po prostu|| znalazłem w Parku Kultury na Powiślu... Leżały na|| ścieżce w woreczku ze skaju... Podniosłem woreczek,*? otworzyłem i zobaczyłem, że w środku są te błyskotki...

Nic na to nie poradzę, że pani Kosiorkowa rozpoznała je jako swoją własność... Może kiedyś miała podobne? Może chce mnie zrobić? Tak! Chyba chce mnie zrobić! To na nią wygląda... To dziwka, panie kapitanie... cholerna dziwka! Łże jak z nut...

Pan kapitan mówi, że moja historia nie trzyma się kupy, i ma pan dowody na to, że wszystko odbyło się inaczej?... Nic na to nie poradzę... Nic na to nie poradzę... Nie może być takich dowodów.

Powiedziałem .prawdę. Jestem zmęczony. Dziś już więcej nic nie powiem... Ani słowa. Jestem chory i żądam lekarza. Głowa mnie boli. Mam wściekły atak bólu. To mi się zdarza od czasu, gdy jako dziecko miałem ten wypadek.

54

Nie. Niczego nie podpiszę... Zabierajcie te papiery... Powiedziałem prawdę, ale nie podpiszę... Nie dziś. Innym razem. Innym razem przeczytam i podpiszę. Głowa mnie boli i muszę się namyślić. Może coś zmienię w tym, co powiedziałem. Wolno mi zmieniać zeznania. Znam swoje prawa. W każdym razie jednego nie zmienię. Nie zamordowałem Pawła Kosiora. To był wypadek, nieszczęśliwy wypadek. Nic więcej. Jestem niewinny...

Reginka

Nazywam się Regina Biel. Mam lat dwadzieścia cztery. Ukończyłam zasadniczą szkołę włókienniczą w Łodzi, ale nie pracuję we włókiennictwie. Mam za słabe zdrowie. Nie nadaję się do pracy w przemyśle... Z czego się utrzymuję? O, różnie bywa! MamJ proszę pana, zamożnych przyjaciół, pomagają mi. Znajomych mam dużo. Eleganckich panów. Dyskretnych, kulturalnych... Po ulicy nie chodzę, proszę pana. Nie, nigdy. Ze wstydu bym się chyba spaliła, gdybym miała zaczepiać mężczyzn na ulicy. Do lokali, owszem, uczęszczam. Tam spotykam swoich przyjaciół, eleganckich panów, na stanowiskach... Tak, wiem, że jestem notowana. niesprawiedliwie, proszę pana. Nie ma takiego prawa, które zabraniałoby kobiecie mieć zamożnych znajomych. Znam jednego mecenasa - to bardzo kulturalny pan - i on mi wytłumaczył, że to niesprawiedliwie i że bym się w ogóle nie przejmowała, bynajmniej. Sądownie nie byłam karana. Nigdy. Tylko kolegium, takie tam drobne wykroczenie niewarte wzmianki...

Cyprysia Roberta dobrze znam. Wszyscy go znają. Wszyscy znają Zalewajkę. Bo mu Zalewajka po ksywie. To znaczy ma takie pseudo. Tak go hecnie nazwali, bo strasznie lubi zalewać. Coraz coś wymyśli, powiadam

55

panu, istne kino! Opowiada zawsze niezwykłe historie... Gdzie to on był, co widział i co mu się przydarzyło! Na początku, jak tak zalewał, to mu nawet wierzyli, ale potem, kiedy raz i drugi się okazało, że wszystko, co najciekawsze, to po prostu sobie wymyślił... Więc się

wszyscy przekonali, że on się mija. To znaczy z prawdą się mija, bynajmniej. Zdania nie potrafi powiedzieć, żeby czegoś nie żęłgać. Taką już ma naturę. I nazwali go Zalewajką. Początkowo to się złościł na to pseudo, ale potem się przyzwyczaił i już się nie obrażał, jak na niego wołali Zalewajka... To znaczy, nie wszyscy mogli tak go nazywać. Na przykład mnie nie było wolno. Gdy mu raz powiedziałam: Zalewajka, to mnie sprzał... Tak, zbił, i to mocno. Bo to był w ogóle taki damski bokser. I rękę miał ciężką. To kawał drania z tego Zalewajki... Jak go poznałam? Kiedy?

Byłam jeszcze głupia szczeniara, jak go poznałam. Kilka lat temu. Miesiąc potem, jak przyjechałam tu z Łodzi. Siedziałam w lokalu z koleżanką, w „Cafe Danusia”... Pan kapitan wie, to taki dołek w Alejach Jerozolimskich. Siedzimy z koleżanką, pijemy wino, cablres, a tu do sąsiedniego stolika przysiada się Zalewajka. Przystojny, ale obciuchany. Buty mu się rozlatują, marynarczyna na łokciach prześwituje. Winiak zamówił. Popatrzyłyśmy na niego z koleżanką, ale nie za bardzo, bynajmniej...

Przyszła kelnerka i chce kasować za to wino. A my nie miałyśmy pieniędzy. Myślałyśmy, że jakiś pan się do nas przysiadzie i zapłaci, ale nikt się nie przysiadł... Patrzyli na nas różni eleganccy panowie, oczka posyłali, zęby szczerzyli, ale żaden nie poderwał... Tłumaczymy kelnerce, że czekamy na znajomego i że później uiścimy, ale ona się zaparła. Powiada, że zmiana jej się kończy i musi zaraz wszystko podsumować, bo nie ma zamiaru pracować po godzinach, więc mamy uiścić z miejsca, a jak nie, to ona zawoła radiowóz. I tak znalazłyśmy się w kropce z koleżanką. W dwuznacznej sytuacji.

Zalewajka nas wyratował. Przysiadł się ze swoim kieliszkiem do naszego stolika i powiedział, że on zapłaci za to wino. To był pierwszy i ostatni raz, jak za mnie coś zapłacił. I tak się zaczęło. Wprowadził się do nas. Bośmy. z koleżanką podnajmowały wtedy taki stryżek u jednego gospodarza domu na Platynowej. Tam miała być pralnia dla lokatorów, ale lokatorzy strasznie na tym strychu brudzili, więc gospodarz domu przestał ich wpuszczać i porobił tam przepierzenia z dykty, i myśmy tam zamieszkały.

Nie, panie kapitanie, Zalewajka nie był sutenerem. Po co od razu takie wielkie słowa? Po prostu mieszkał z nami. Hecny był, więc początkowo to nam się wesoło mieszkalo... Później było gorzej.

Koleżanka się wyniosła i zostałam z Zalewajką sama...

Wymagający się stał taki bardziej. Usługiwać sobie kazał i inne dziewczyny do siebie czasem przyprowadzał, a przy tym denerwował się, gdy chciałam jakiegoś znajomego pana do domu zaprosić. Mówił, że jest delikatny i nie ma zamiaru spać w łóżku, w którym obcy faceci się wylegają. Jak coś mu się nie spodobało, to bił.

Czy dawałam mu pieniądze? No, panie kapitanie, różnie bywało...

Musiał przecież coś jeść... zrobić jakieś piwo z kolegami...

Przeszkadzał mi trochę. Mówiłam, żeby sobie poszedł, ale on nie chciał. Mówił, że mu się dobrze ze mną mieszka. I w końcu go zwinęli. Dostał trzy lata za rabunek. Ale jeżeli prawdę powiedzieć, to co to był za rabunek! Pokłócił się z jednym kumplem. Tamten był słabszy, ale sobie wypił i się stawiał, więc Zalewajka mu~ przyłożył. Zalewajka zawsze bił się tylko ze słabszymi. Innym ustępował z drogi. Jak kto miał krzepę, to mógł mu, bynajmniej, w oczy napluć, a Zalewajka się tylko oblizał, ale jak kto był słabszy...

56

57

No i tamten dostał. W końcu się przestał bronić i ucieka, a Zalewajka za nim... Dopadł go i dalej go okłada gdzie popadnie. To tamten zupełnie się załamał i prosi Zalewajkę: Przestań mnie łomotać!

Zalewajka na to: Dostaniesz, taki nie taki, na co zasłużyłeś!... i bije dalej. Ten pobity - cały był pokrwawiony, bo mu jakaś żyłka w nosie pękła - prosi: Przestań! Dam ci zegarek! A Zalewajka na to: Dawaj! I przestał go bić, i wziął ten zegarek. Taki niemiecki buksiak, zupełny szmelc, panie kapitanie.

Na drugi dzień Zalewajka sprzedał tego buksiaka za sześćdziesiąt złotych Blanka. Blanka to moja koleżanka... A potem zamknęli Zalewajkę. I dostał trzy lata. Za rabunek z użyciem siły. Po mojemu to nie za sprawiedliwie. Bo jaki to był rabunek?! Zwyczajna bójka, i to między kolegami. Zalewajka jaki był, to był, ale przecież on nie bandyta. Drań z niego, bo drań, ale zarazem kulturalny chłopak.

Oczytany, dowcipny, znaleźć się umie, kiedy potrzeba...

Wypuścili go z więzienia w końcu listopada. Przyszedł prosto do mnie. Z miejsca się wprowadził i zapowiedział, że tu pomieszka, aż znajdzie pracę... Nie chciałam się zgodzić. Przez te trzy lata żyłam sama i dobrze mi było. Po co mi chłop na karku? Mam swoje

znajomości z panami i to mi do szczęścia wystarczy... Ale w końcu się zgodziłam, bo żał mi się go zrobiło. Taki był wymizero-wany. Włosy króciutkie, na zapałkę, buzia chuda i fatalna cera, ziemista, krostowata. Postawiłam tylko warunki. Miał się wyprowadzić, jak tylko znajdzie pracę. Solennie obiecał, że tak zrobi. Wszystko obiecywał. Taki się zrobił malutki, cichutki... Zupełnie nie ten sam Zalewajka...

I znowu, panie kapitanie, głupia się okazałam. Jak tylko się trochę odpał, to mu zaraz rogi wyrosły i stawiać się zaczął. Miał coraz większe wymagania, jak hrabia jakiś. Narzekał, że mu mało dają na piwo i papierosy, wymyślał mi od jędz i jeszcze inaczej... Takimi różnymi i

58

wymyślał wyrazami... Nie żeby ordynarnie, tylko tak wymyślnie, jakby z książki czytał...

Pracy rzeczywiście szukał. Przynajmniej mówił, że szuka. Wychodził rano, wracał wieczorem pijaniusieńki. Zła byłam, bo znowu przez niego nie mogłam zapraszać do siebie znajomych panów. Nie to, żeby zabraniał, to nie. Po tym więzieniu to jednak tak zupełnie do siebie nie przyszedł i nie był już taki hardy jak kiedyś... Sama nie chciałam. Moi znajomi to kulturalni panowie, na poziomie, bynajmniej. Najadłabym się wstydu, gdyby zobaczyli, jak się on zatacza, gada od rzeczy i w ogóle zachowuje się jak bydlę... I nigdy nie wiadomo było, o której się do domu przyturla...

O tym swoim szukaniu pracy opowiadał całe historie. Zalewał oczywiście... Wiadomo, Zalewajka... Mówił na przykład, że proponują mu pracę w zoo, w magazynie czekolady dla małąp, a znowu innym razem zapewniał, że już za kilka dni zacznie pracować jako steward w samolocie latającym do Ameryki i tylko musi jeszcze tę sprawę opić ostatecznie z dyrektorem LOT-u, który jest jego szkolnym kolegą... To nawet już przestało być zabawne, jak tak zalewał. Właściwie to nie wierzyłam, że coś sobie znajdzie i kiedykolwiek się wyniesie. Gdy więc któregoś dnia, tak jakoś w połowie stycznia, przyszedł zupełnie pijany i wybelkotał, że się jutro wyprowadza, bo został sekretarzem jednego milionera, nawet na to nie zwróciłam uwagi... Zainteresowałam się dopiero, jak wyciągnął pieniądze i mi je pokazał. Pięćset złotych. Pięć papierków... Nie, nie dał mi tych pieniędzy. Tylko pokazał i zaraz schował do kieszeni.

Pomyślałam, że musiał je komuś ukraść... W tego milionera to ja nie wierzyłam. Już tyle podobnych opowieści słyszałam. Ta była taka sama jak wszystkie poprzednie. Wcale nie bardziej prawdopodobna, bynajmniej... Ale rzeczywiście się wyniósł. Na drugi dzień, jak wró-

59
ciłam do domu, już go nie było. Zostawił kartkę, że się wyprowadza. I -na pamiątkę zabrał sobie moją teczkę... Tak, teczkę. Czarną teczkę, męską, ze świńskiej skóry. Produkt NRD, z importu. Karteczka z ceną była jeszcze w środku. Tę teczkę zostawił u mnie jeden znajomy, który przyjechał do Warszawy na delegację. Kupił ją sobie, ale później u mnie zostawił. Bo mu 'nie była potrzebna. Rozmyślił się po prostu, kolor mu się przestał podobać czy coś takiego...

Byłam zła na Zalewajkę o tę teczkę, ale nie za bardzo. Przede wszystkim cieszyłam się, że wreszcie poszedł. Miałam nadzieję, że go już więcej nie zobaczę... Ale gdzie tam, panie kapitanie! Minęło może ze trzy tygodnie... tak, trzy tygodnie... nie, chyba dwa... Tak dokładnie to jednak sobie nie przypominam, którego stycznia się wyprowadził... Ale dobrze zapamiętałam, kiedy znowu wrócił. Wieczorem w poniedziałek, czwartego lutego. Jak go zobaczyłam, to aż mi serce zamarło... Czy był pijany? Oczywiście, że był pijany. Od czasu, jak wyszedł z więzienia, pił codziennie, więc nie to mnie zdziwiło, tylko to, że był jakiś strasznie zmarnowany, zabiedzony... I broda mu wyrosła, taka rzadka, postrzępiona.

Wpuściłam go, a on się z miejsca uwalił na łóżko. Nawet butów nie zdjął. Trząśł się cały i gadał od rzeczy. Potem usnął. Gdy się po godzinie obudził, dałam mu jeść i zapytałam, co jest z tym jego sekretarzowaniem u milionera... Jak się wtedy nie zerwie! Dusić mnie zaczął! Formalnie dusić! Przedtem zdarzało się, że mnie czasem uderzył, ale to było zupełnie co innego. Teraz Zalewajka naprawdę chciał mi krzywdę zrobić... Ślady potem od tego duszenia miałam na szyi... Jeden mój znajomy to zauważył i musiałam najeść się wstydu i miałam nieprzyjemności... Bo to był bardzo kulturalny pan, na poziomie, wykształcony, elegancki i on nie lubił zadawać się z paniami ze sfer, jak to nazwał, chuligańskich. Powiedział, że on jest esteta i nie znosi, bynajmniej, przemocy i gwałtu, i nie chce zadawać się ze znajomą, która obraca się w takich sferach, co w nich duszą... Ile musiałam się nawykrecać, żeby mu się wytłumaczyć... Ale to było trochę później...

Jakoś się wyrwałam Zalewajce. Straszny był. Jeszcze go takiego nigdy nie widziałam... Musiałam przysięgać, że już nigdy nie wspomnę mu ani o sekretarzowaniu, ani o milionerze... I że mam o tym na zawsze zapomnieć, a gdyby mi się kiedyś to przypomniało, albo co nie daj Boże wspomniałabym o tym komuś, to mi łeb ukreć jak kurczakowi... Dosłownie tak powiedział... Przynależało mu wszystko, co chciał, i żeby się uspokoił, dałam mu wódki. Miałam w domu schowane pół litra dla zpaio-myh. Czasami moi znajomi lubią, jak się ich poczęstuje czymś mocniejszym. Wiadomo, jak to mężczyźni...

Wypił i znowu zaczął bredzić... Krzyczał, żebym szukała jakiejś kobiety w zamszowej kurtce... Potem się odgrażał, że jeżeli ta w zamszu puści parę z ust, to on ją załatwi tak samo, jak tamtego załatwił... Tak dosłownie powiedział: Rozwalę jej łeb jak tamtemu... Raz, dwa i po wszystkim...

Zrozumiałam, że stało się coś strasznego... albo że ma atak delirium... to znaczy białej gorączki... Jak tatuś dostawał delirium i gonił za mamusią z siekierą, to też krzyczał, że mamusi łeb utnie tak samo, jak uciął łeb starej Banasiowej... A przecież nikogo nie zabił. Banasio- I wa żyje do dziś. Tatuś tak sobie tylko to wymyślał, jak go l chwyciło...

W końcu Zalewajka usnął. Marynarkę powiesił na krześle. Od razu poznałam, że to nie jego garnitur... Nigdy takiego nie miał. Przez ciekawość, tylko przez ciekawość, a nie broń Panie Boże dla czego innego, przepatrzyłam mu kieszenie... i znalazłam pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy!

60

61

Teraz, panie kapitanie, to już wiedziałam, że nie zalewa, że naprawdę kogoś załatwił... Tak sobie pomyślałam właśnie, choć na początku to jeszcze nie mogłam w to uwierzyć... Nigdy nie wierzyłam, żeby on był zdatny do mokrej roboty... Ale zaraz sobie przypomniałam, jaką miał straszną twarz, kiedy mnie dusił, i zrozumiałam, że on to jednak zrobić potrafi. Zawsze był draniem, ale także śmierdzącym tchórzem... i to go widać tylko hamowało... Przyszedł jednak taki dzień, że się odważył. Na mózg mu pewnie padło. Jak zobaczył takie pieniądze... Nigdy przedtem groszem nie śmierdział, a tu nagle tyle szmalu! To go

musiało wziąć, jak tę kupę forsy u kogoś zobaczył, i wtedy zapomniał o tym, że się boi...

Nie wiedziałam, co robić. On spał spokojnie, a ja nie usnęłam i męczyłam się strasznie... Rano przyszłam do was. Nie, nie wiedziałam, że jest poszukiwany pod zarzutem zabójstwa rabunkowego. Nie widziałam fotografii i komunikatu. Nie mam telewizora i nie czytam gazet... Po prostu przyszłam do was, bo pomyślałam, że jak zabił, to za taką zbrodnię, za taką straszną zbrodnię musi być kara. Nie, naprawdę nie wiedziałam, że jest za nim list gończy i że za udzielenie mu pomocy można posiedzieć pięć lat... Tak, panie kapitanie, zaraz tu podpiszę. Tylko przedtem przeczytam. Jeden mój znajomy, mecenas, bardzo kulturalny pan, na poziomie, elegancki, powiedział mi, że bynajmniej, nie można niczego podpisywać, jak się przedtem tego uważnie nie przeczyta... I jeszcze jedno. Mam wielką prośbę, wielką... Ja bym bardzo, bardzo prosiła, żeby ani on, ani nikt inny nigdy się nie dowiedział, że to ja... no, że byłam wtedy u was...

Pan kapitan mi przyrzeka? Naprawdę? Bardzo, bardzo dziękuję... Pan wie, jacy są ludzie. Nie rozumieją. Mogą stracić do mnie zaufanie... A mnie ludzie ufają. Moi znajomi mi się zwierniają. Z różnych spraw się zwierają-

62

ją... Nieraz to aż się dziwię, że ci panowie, niby tacy na poziomie, kulturalni i eleganccy, a mogą być zaplątani w takie paskudne sprawy...

Tak... dziękuję... Wiem, to jest przepustka... Panie kapitanie, jeszcze chwileczkę, gdyby pana kapitana zainteresowało, o czym mi czasem mówią moi znajomi, to : ja... Pan kapitan wie, gdzie mnie szukać. I jeszcze, panie kapitanie, ja mam taką prośbę, ten nasz dzielnicowy to i już zupełnie mi nie" daje żyć, wziął się na mnie, więc l gdyby to jakoś załatwić...

Serwacy

Po co pan pyta, jak się nazywam? Przecież pan doskonale to wie. To biurokracja, nie żadne formalności!... No więc dobrze, niech będzie. Nazywam się Serwacy R. Jestem poetą. Oczywiście, że jestem członkiem Związku Literatów! A co pan sobie myślał? Dwa tomiki już mi wydali, trzeci w druku. To będzie zupełna bomba... Po prostu rewelacja. Tak jeszcze dotąd nikt nie pisał. Wiek? Jestem jeszcze

młody... Skończyłem dwadzieścia sześć lat. W tym wieku mieć już za sobą dwa tomiki, a właściwie prawie trzy to coś znaczy. A w ogóle to chciałbym ostro zaprotestować. Jestem twórcą, poważnym twórcą i mój czas się liczy... Nie mogę go tracić na żadne głupstwa... Karany? Nie byłem karany. Kolegia, owszem, były, bo ja mam ostry temperament. Czasem człowiek zaszumi i powstaje nieporozumienie. Robert Cyprysiak? Więc to o niego wam chodzi? Co ja mam wspólnego z Cyprysakiem? Niby z jakiej racji ja? Panie, to nie moje środowisko... Co ja mogę wiedzieć o Cyprysaku?...

Oczywiście, chcę pomóc, tylko że ja nic nie umiem o nim powiedzieć. Chodziłem z Cyprysakiem do szkoły,

63

dziewiętnastego? Nie mam pojęcia, mam słabą pamięć do dat... Zaraz, zaraz... Następnego dnia miałem wieczór autorski w Domu Kultury w Sierpcu... Kiedy to było? Niech pan poczeka, sprawdzę w kalendarzyku... Zaraz, chwileczkę, już sprawdzam... Wieczór miałem w piątek, dwudziestego. Tak! Ma pan rację! Cyprysiaka spotkałem w „Jantarze” dziewiętnastego stycznia przed południem...

Rozmawialiśmy o tym i owym. Nie bardzo pamiętam o czym. Już panu tłumaczyłem, że z premedytacją staram się zapominać o wszystkim, co nie jest dla mnie ważne i może zachwaszczać moją wyobraźnię... Opowiadał mi rozmaite rzeczy o sobie, wspominał chyba, że szuka pracy... Ja mu mówiłem o poezji, zacytowałem kilka wierszy... i tak dalej. No wie pan, taka zwyczajna nieobo-wiązująca rozmowa o wszystkim i o niczym...

Nie, nie zauważyłem nic, nic szczególnego. Co takiego mogłem zauważyć? W „Jantarze” jak w „Jantarze”. Było sporo ludzi. Pili piwo, niektórzy grali w zapalki. Pan zna tę grę? Bardzo pomysłowa. Ustawia się pudełko z zapalkami na krawędzi stołu, tak żeby kawałek wystawał na zewnątrz, potem z całej siły uderza się je od dołu wierzchem zgiętego wskazującego palca, pudełko leci do góry. Punkty liczy się w zależności od tego, jak upadnie. Jeżeli na przykład pudełko stanie na sztorc, to dostaje się dychę, dziesięć punktów maksymalnie. Nieraz, jak jestem w uderzeniu, to potrafię zrobić cztery, pięć dych pod rząd...

A wie pan, przypominam sobie teraz. Rzeczywiście ktoś stał cały czas obok nas i nasłuchiwał... Taki facet w średnim wieku, w kozuchu, w ciemnych okularach... On po prostu słuchał moich wierszy. I dlatego

to zapamiętałem. Nadstawił uszu dopiero wtedy, gdy ja recytowałem swoje utwory. Przedtem, kiedy mówił Cy-prysiak, to w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Dopiero potem, jak ja zacząłem... Taki niby zwyczajny facet, na oko prymityw, młot taki, a jednak prawdziwa poezja do niego przemówiła. Wokół chleją piwo, gwar, ścisk, a on słucha wierszy... To nawet było bardzo przyjemne... Autorowi zainteresowanie jego twórczością sprawia zawsze dużą satysfakcję. I żebym jeszcze mówił jakieś łatwiejsze kawałki, wie pan, takie bardziej popularne - też trzeba czasem takie pisać - ale ja cytowałem wiersze z nowego tomiku, który się jeszcze nie ukazał. To naprawdę trudna poezja, a on słuchał i słuchał... Był po prostu zafascynowany. Chcia-łem nawet pogadać z tym facetem, ale gdy Cyprysiak 'sobie poszedł, on też się gdzieś zapodział... A miałem wrażenie, że cały czas chce do mnie zagadać... Widocznie nie starczyło mu śmiałości... Szkoda. Lubię poznawać inteligentnych i wrażliwych ludzi. Może go kiedyś jeszcze spotkam... Już nie żyje?... Och, szkoda. Naprawdę wielka szkoda...

Zdzisiek

\ Nie zawracaj mi głowy. Nic z tego nie • będzie. Musisz poczekać. Wszystko dostaniesz na piśmie w odpowiednim czasie. Wiem, że tobie się spieszy. Tak się złożyło, że teraz wszystkim się spieszy. Takie pospieszne czasy. W domu, jak rano pójdę do wychodka, to nawet spokojnie nie mogę swojego odsiedzieć. Zaraz łomotanie i krzyk: „Tato! Pospiesz się! Zdzisiek, wyłaż wreszcie! Przecież idę do pracy!” Jako lekarz mogę ci powiedzieć, że to okropnie niezdrowo tak się spieszyć. Nie jestem kardiologiem, ale o zawałach wiem sporo. Bądź co bądź przez te kilka lat na akademii czegoś się nauczyłem. Ten wasz zwariowany pośpiech to morderca. Prawdziwy morderca. Groźniejszy od tych wszystkich, których zamykasz. Ma nieporównanie więcej ofiar na sumieniu...

67

Wcale nie jestem starym nudziarzem! Mówię zupełnie poważnie. I w mojej specjalności też mam do czynienia ze skutkami pośpiechu. Żebyś wiedział, ile ciężkich nerwic zrodziło się tylko dlatego, że ludzie za czymś nie nadążają!... Spieszą się, wyłażą ze skóry, żeby zdążyć. A kiedy okazuje się, iż czas jest od nich szybszy, czują, że przegrali i nie pasują do świata, że są gorsi o'd innych... Wtedy

szukają podświadomie jakiegoś usprawiedliwienia... a najwygodniejsze to choroba. Mówią sobie: „Nie zdażyłem nie dlatego, że jestem gorszy-, ale dlatego, że choruję. To nie moja wina". I tak zaczyna się ucieczka w chorobę...

Wcale nie nudzę, to bardzo poważne sprawy.

Nie, naprawdę nie da rady. Takich spraw nie załatwia się na patatajkę, byle zbyć. Zrozum, człowieku, muszę mieć trochę czasu, żeby go rozgryźć. Wystawić opinię psychiatryczną to nie to samo, co zjeść bułkę z masłem. Wiem, że to tylko opinia wstępna, że nie chodzi o świadectwo dla sądu... Ale nie mogę, nie mogę. Ja go jeszcze tak mało znam! Niby greczny, rozmowny, ale to nic nie znaczy... Wcale nie jestem pewny, czy rzeczywiście nawiązałem z nim kontakt. Czy ja jestem jasnowidzem, czy co? Gdybym go miał w klinice choćby trochę... no, przez jakiś miesiąc, dwa... to wtedy mógłbym coś pewniejszego powiedzieć... Ale tak? W takich warunkach?

Pewnie że ci napiszę tę opinię. Za to mi ostatecznie płacą, ale daj mi, człowieku, trochę czasu! Nie bądź taki kapany w gorącej wodzie...

Oczywiście, że już i teraz mam o nim jakieś zdanie... Człowiek to istota myśląca i zawsze coś tam sobie kombinuje. W tym sęk, że w tej chwili nie wiem, czy moja opinia jest warta choćby przysłowiowego funta kłaków... Naprawdę.

Nieoficjalnie to ja ci nic nie powiem. Nieoficjalnie to ja mogę z tobą pogadać o pupie panny Maryni albo wytrą-bić butelkę soplicy... To ja mogę zrobić nieoficjalnie... I to choćby zaraz. Mam wolne popołudnie. Kaśka wyjechała właśnie w teren.

Tak, dobry jesteś. Jak cię przypiliło, to sobie przypomniałeś o starym koledze, a tak to całymi miesiącami nie dajesz znaku życia. No to wpadnij o szóstej, zamrozę co potrzeba... A ten Cyprysiak to skomplikowany facet. Bardzo ciekawy przypadek. Ale trudno go rozgryźć. Testy rozwiązuje chętnie, odpowiada na pytania, ale co naprawdę w jego duszy siedzi, trudno powiedzieć. Inteligencja w normie, iloraz jak się patrzy, niby nic mu nie brakuje, ale czasem jak z czymś wystrzeli, to ręce opadają... Ja bym nie przywiązywał wagi do tej historii z dzieciństwa. Jest możliwe, że rzeczywiście miał pękniętą podstawę czaszki i ciężki wstrząs mózgu, ale to chyba minęło bez śladu. W każdym razie badania nic nie wykazują. Oczywiście, tak, można by było zrobić elektroencefalogram, ale on sam mówi, że mu

robili dwa razy i nic złego nie ustalono... Trudno się w jego przypadku dopatrzeć jakiegoś negatywnego wpływu czynnika organicznego, choć oczywiście nic jeszcze wykluczyć nie można... Tak, nie można... Na moje rozeznanie, to jak to w tej chwili widzę, ale powtarzam, że to jest opinia zupełnie nieoficjalna, nie ma mowy o jakimś defekcie psychicznym ograniczającym odpowiedzialność za popełnione czyny. Cyprysiak to niewątpliwy psychopata czy jak wolisz, charakteropata... Ma zanik tak zwanych emocji wyższych. Jest absolutnie amoralny. Ale to nie jest defekt intelektualny, a więc wykluczający albo ograniczający odpowiedzialność. On doskonale sobie zdaje sprawę z tego, co wolno, a czego nie wolno robić...

Nie mogę ci powiedzieć, czy on jest zabójcą, czy nie jest. Ja tylko mogę stwierdzić, że gdyby kogoś zabił, to doskonale by wiedział, co robi i że za takie coś to na ogół nie głaszczą.

68

69

Nie, na mnie nie zrobił wrażenia pomyłonego. Jest oczywiście zdenerwowany, boi się, jest niepewny... To wszystko może dawać jakieś reaktywne objawy, ale on jest w pełni przytomny, więc wie, co mówi...

Mówisz, że stale zmienia zeznania. Każda nowa wersja jest jeszcze bardziej fantastyczna od poprzedniej? To urodzony fantasta, mój kochany. Mitoman. Potężny mi-toman. To jest właśnie typowe dla niego. Cierpi chyba na poczucie niedowartościowania, chciałby być kimś innym, niż jest, chciałby się pokazać... więc zmyśla. Łże na potęgę. W tych łgarstwach jest zawsze jeden cel. Za każdym razem chciałby pokazać się w lepszym świetle... Oczywiście w jego mniemaniu lepszym. Wcale nie musimy podzielać jego hierarchii wartości. To, co dla niego jest ideałem i szczytem marzeń, komuś innemu może wydać się śmiesznym snobizmem, głupotą albo wręcz czymś odrażającym...

Często wydaje się, że mitoman szczerze wierzy w wydumane przez siebie bajki. Przynajmniej postępuje tak, jakby wierzył. Ale to taka wiara na niby... W gruncie rzeczy dobrze wie, że to wierutne kłamstwo, tylko się do tego nie przyznaje, nawet przed sobą, bo mu przyjemniej wierzyć, że jest inaczej, właśnie tak, jak to sobie wymyślił.

Nie, Cyprysiak nie sprawia na mnie wrażenia głupka. Wręcz przeciwnie. Mówiłem ci już, że inteligencja u niego w normie, raczej bliżej górnej granicy szeroko pojętej przeciętnej... A na to, że według ciebie plecie bzdury, nic nie poradzę... Ja ci wierzę, że jego zeznania są naiwne, sprzeczne z ustalonymi faktami, że zaprzeczają oczywistości... Dlaczego mam nie wierzyć? Co ja na to mogę poradzić, że postanowił sobie wymyślić taką, a nie inną bajeczkę? Mówisz, że się sam chłop pogrąża swoimi bajeczkami? Nie możesz zrozumieć, jak człowiek inteligentny może

70

upierać się z takim uporem przy opowiastkach absolutnie sprzecznych z całkowicie sprawdzonymi faktami... Bo ja wiem? Widać ma w tym jakiś cel... Mogę cię tylko zapewnić, że głupi to on nie jest... On rzeczywiście lubi kłamać. Dla niego skłamać, wymyślić coś, czego wcale nie było, to tyle samo, co dla innego podrapać się w ucho albo splunąć... To mu nie sprawia najmniejszej trudności... Tylko, widzisz, ja sądzę, że on nie z tych, którzy kłamią bezsensownie... Jego zmyślenia zawsze czemuś służą... No, choćby temu, żeby komuś wydał się bardziej interesujący. Motywy jego zmyśleń bardzo trudno ustalić, ale zapewniam cię, że zawsze jakieś ma,...

Nie zgadzasz się ze mną? Twoja sprawa. Ja też się mogę mylić, wcale nie mam się za nieomylnego, ale moje prywatne zdanie jest takie: jeżeli taki facet jak Cyprysiak upiera się, wbrew wszelkiej oczywistości, przy jakiejś fantastycznej historyjce, musi to coś znaczyć... A co, to już o tym nie mam pojęcia. W każdym razie zastanów się...

Buba

Nazywam się Bogusława Raczyńska, z domu Piwko. Wiek? Skończyłam trzydzieści lat. Zawód? Przy mężu. To znaczy mąż mnie utrzymuje, choć żyjemy w separacji. Rozwodu nie mamy. Nie zgadzam się na rozwód, za łatwo by chciał się wyplatać. Poświęciłam dla niego najlepsze lata. Zrezygnowałam z wszelkich aspiracji. Mogłabym mieć teraz jakiś konkretny zawód, być czymś, iść na studia, ale wszystko to zmarnowałam, zaprzepaściłam dla niego, więc się tak łatwo teraz nie wywinie.., O nie... Ale pana kapitana to oczywiście nie obchodzi, to zrozumiałe, więc ja od razu przejdę do rzeczy.: -

71

Panie kapitanie! Jak ja to strasznie przeżyłam! Jeszcze się cała trzęsę, gdy sobie przypomnę! Ta jego twarz! Jak on się na mnie spojrział! Te oczy mordercy! Nogi się pode mną ugięły, jakby były z waty... Bardziej bym się spodziewała diabła zobaczyć niż tego wampira! I to było w biały dzień, w samym środku miasta... W całym kraju go szukają, fotografię pokazywali w telewizji, a on sobie chodzi po ulicy jakby nigdy nic. Tylko brodę sobie zapuścił, ale go zaraz poznałam... Takiej twarzy nigdy się nie zapomina... Ja mam takie jakieś wielkie wyczucie ludzi... Jak tylko na kogoś spojrzę, od razu rozpoznaję, co to za człowiek. Przecież kiedy pierwszy raz zobaczyłam tego Cyprysiaka, to nie wiedziałam o nim nic! Nie miałam pojęcia, że to morderca, a od razu mnie coś tknęło, jak tylko na mnie popatrzył. Miał takie straszne, zwierzęce oczy. Jak jakaś bestia... Wpadłam w tamtą sobotę do Krysiaczka, to znaczy do pani Kosiorkowej, żeby jej przypomnieć o dniu następnym, bo Krysiaczek, proszę pana, jest strasznie zapominalska, a telefonu nie mają. Nie chcą im założyć linii napowietrznej, bo niby brakuje kabla. Dzwonię do drzwi, a on mi otwiera i zerka zza łańcucha... To znaczy, że drzwi były tylko uchylone, a poza tym zamknięte na łańcuch... Od razu mi się to nie spodobało... Co za nieufność! Uczciwy człowiek w ten sposób się nie zachowuje! Już wtedy musiał planować swoją zbrodnię!

I patrzył tak na mnie! Jak on ponuro spoglądał, panie kapitanie... Powiedział, że jest sekretarzem Pawła, to znaczy pana Kosiorka... Sekretarzem! Też coś! I jaki był pijany! Pijaniusieńki jak bela. Od razu poznałam, bo cuchnęło od niego alkoholem na kilometr, a ja mam bardzo czułe powonienie. Powiedziałam, aby powtórzył Krysiaczkowi, że byłam, i przypomniał jej o niedzielnym spotkaniu... Obiecał, że przypomni. Ale jakim tonem to powiedział!

72

Z jakim przekąsem, żeby pan to słyszał! Aż mi mróz przeszedł po kościach... Przestraszyłam się tego okropnego człowieka. Nie czekałam, aż zamknie drzwi, tylko uciekłam do samochodu... Współczułam Krysiaczkowi, że musi przebywać pod jednym dachem z takim przerażającym typem. Nie mogłam wprost uwierzyć, że Paweł, to jest pan Kosiorek, mógł być tak nieostrożny i naiwny i zatrudnić takiego człowieka..

Przyrzekłam sobie, że natychmiast, jak Pawła spotkam, powiem mu, co o tym myślę... Ale pan wie, co się stało... Nigdy go już nie zobaczyłam... Jeszcze teraz trudno mi o tym mówić... Jak tylko się o wszystkim dowiedziałam, to od razu wiedziałam, kto to mógł zrobić. Zresztą pan o tym wie. Mówiłam to już wtedy...

Potem ten typ śnił mi się po .nocach. Byłam cała roztrzęsiona... Bałam się. Bardzo się bałam. Jak zobaczyłam jego zdjęcie w telewizji, to też był dla mnie wstrząs. Dziennik się skończył i miał się właśnie rozpocząć film, a tu na ekranie jego twarz. I ten komunikat.

To był wstrząs, ale zarazem ulga... Pomyślałam, że teraz, kiedy miliony ludzi zobaczyły, jak ten potwór wygląda, to go już szybko złapiecie... W końcu nie zapadł się pod ziemię i wcześniej lub później ktoś go zauważy, rozpozna i zawiadomi kogo należy.

Nie wiedziałam jeszcze, jakie przeżycie mnie czeka...

To było na Marszałkowskiej, to znaczy nie na samej ulicy Marszałkowskiej, tylko na tyłach tych pawilonów między Królewską a Świętokrzyską. Tam jest kawiarnia w tych pawilonach. Malutka. „Cafe Cappuccino”. Robiłam zakupy, byłam bez wozu, więc się zmęczyłam trochę i wpadłam do tej „Cappuccino”. Zamówiłam kawę i lampkę wina. ł

W kawiarni było pusto. Siedziało tam tylko dwóch milicjantów ze służby ruchu. Pili kawę. Przystojni, sympatyczni młodzi ludzie. Bardzo dobrze się prezentowali.

73

Wypiłam kawę, wino i wyszłam. Poszłam na tyły pawilonów, żeby na skrót dojść do ulicy Próżnej. I nagle poczułam na sobie czyjś wzrok. Ciężki, kamienny. Panie kapitanie! Naprawdę poczułam to spojrzenie... Nie wiem, jak to jest możliwe, ale poczułam, a przecież patrzył mi w plecy... Widocznie jestem tak bardzo wrażliwa.

Zatrzymałam się, jakby mi nogi przyrosły do chodnika! Ile wysiłku mnie kosztowało, żeby się odwrócić! Jeszcze nie wiedziałam, kto mi się przygląda, ale od razu zrozumiałam, że stało się coś okropnego! W końcu się odwróciłam. Stał blisko, bardzo blisko... Zapuścił brodę i wąsy, ale przecież z miejsca go rozpoznałam! Te oczy... te złowrogie oczy mordercy.., Byłam jak sparaliżowana, zupełnie jak sparaliżowana. Nie mogłam podnieść ręki, nie mogłam poruszyć nogami. Oddech mi zapało...

Pan kapitan może sobie wyobrazić, jak się poczułam! Niedaleko, kilkadziesiąt metrów ode mnie była ruchliwa ulica, na niej setki ludzi i samochodów, a tam, gdzie ja, cisza, pusto. Jakies śmietniki, wokół ani żywego ducha i tylko my dwoje. Morderca i jego ofiara... Bo przecież nie mogłam mieć wątpliwości. To ja miałam być kolejną ofiarą tego zwyrodnialca!...

Dlaczego mi to przyszło do głowy? Panie kapitanie! To chyba jasne! Przecież byłam świadkiem! Widziałam go w domu Krysiaczka, rozmawiałam z nim! Mordercy zawsze chcą pozbyć się świadków, tak jest zawsze... Pan kapitan sądzi, że zabicie mnie nie przyniosłoby mu żadnych korzyści, bo jego obecność na miejscu zbrodni * została i tak bez najmniejszych wątpliwości stwierdzona?... Panie kapitanie! A skąd on mógł o tym wiedzieć? Mogło mu się wydawać, że dobrze zrobi, jeśli mnie zamorduje, że to mu może pomóc... A poza tym to przecież morderca! Dla niego zabicie kogoś to nic trudnego.. Może mu to sprawia przyjemność... Są przecież zwyrodnialcy, sadyści, którzy mordują dla przyjemności. Na przykład ten wampir ze Śląska. Zresztą co ja będę panu kapitanowi tłumaczyła, pan wie to lepiej ode mnie... W każdym razie on wtedy chciał mnie zabić. To widać było od razu.

Nie, nie podszedł do mnie... Nie zdążył. W pewnej chwili ocknąłam się i zrozumiałam, że muszę uciekać... Niedaleko, po drugiej stronie pawilonów, byli przecież ludzie. Zaczęłam strasznie krzyczeć i rzuciłam się do ucieczki. Krzyczałam i uciekałam. Uciekałam i krzyczałam. Nie wiem, czy mnie próbował gonić. Tego nie wiem. Nie oglądałam się za siebie, biegłam i wołałam o pomoc... Wpadłam do „Café Cappuccino”. Tam jeszcze byli ci dwaj sympatyczni funkcjonariusze milicji drogowej... Tak, to trochę potrwało, zanim zdołałam im wytłumaczyć, że zaatakował mnie poszukiwany morderca... Byłam taka zdenerwowana... Jak zrozumieli, o co chodzi, zaraz wybiegli za mną i zaczęliśmy go szukać. Mieli przy sobie radiostację, no taką czarną skrzyneczkę ze słuchawką... Zaraz zawiadomili kogo trzeba i przyjechały dwa samochody od panów... Ale on się tymczasem zdążył już gdzieś ukryć... Wtedy go jeszcze nie złapaliście. Gdyby pan wiedział, jaka byłam roztrzęsiona, jak strasznie płakałam... Pana koledzy okazali się tacy mili, nie mam wprost słów na wyrażenie wdzięczności... Tak się mną wtedy zajęli. Odwieźli mnie nawet samochodem do domu... Sama nie wiem, jak bym dojechała...

Tak strasznie się bałam. Nie wychodziłam potem z domu przez dwa dni. Odetchnęłam dopiero wtedy, gdy się dowiedziałam, że już złapaliście tego straszego człowieka...

74

Jaga

Nazywam się Jadwiga Paprot, z domu Wróblewska. Mam lat sześćdziesiąt według dowodu, a właściwie sześćdziesiąt dwa. Metryka była pomyłona. Z niej mi datę do dowodu wpisali i już tak zostało. Wdowa jestem. Mojemu staremu pomarło się już dwadzieścia roków temu. Potem już nowego chłopca sobie nie wzięłam i żyję samotnie. Miałam córkę, ale już nie mam. Nie umarła, wyjechała z takim jednym. Wyrzekła się matki. Gdybym miała jeszcze morgi, to na pewno by się przymilała i o mnie nie zapomniała, a tak... nie chce znać matki. Nawet listu nie napisze... Nic, nigdy, nawet kartki na święta... Pan Bóg pokarał mnie taką córką. W Szczecinie mieszka z tym swoim chłopem... To rozwodnik, marynarz. Obraza boska! Ślubu nie wzięli i żyją tak na kocią łapę już dwadzieścia lat... Jeszcze nieboszczyk, to znaczy mój mąż, nie ostygł, a ona za tym marynarzem poleciała... Nawet ojca porządnie nie pochowali, a ona do Szczecina...

U państwa Kosiorków to już jestem dawno. Siedem lat w lecie minie, jak u nich nastalam. Nie mogę narzekać, to dobrzy państwo. Uszanują człowieka, grzeczni są, nie powiem. Zwłaszcza nieboszczyk. Pan Kosiorek to był bardzo porządny człowiek... Nigdy nikomu złego słowa. I do żony też taki grzeczny był, głosu nigdy nie podniósł, żadnych awantur... Czasami to mi aż dziwno było, że oni tak ze sobą zgodnie. W małżeństwie, proszę pana, to różnie bywa. Humory rozmaite, awantury. Sama żyłam w małżeńskim stanie i u wielu małżeństw służyłam, to się napatrzyłam, jak to jest. Niby się kochają, z dzióbeków sobie jedzą, a jak przyjdzie co do czego, to tylko uszy zatykać... Talerzami nieraz ciskają w siebie i grubsze słowa czasem chłop rzuci, a nawet i uderzy, zwłaszcza jak jest po wódce. A u Kosiorków nic takiego. Stale cicho.

76

Nawet jak goście do nich przyszli i sobie popili, to też było spokojnie. Żadnych awantur, tylko sobie pośpiewali, czasem któryś gość, za przeproszeniem, zanieczyścił łazienkę; ale na tym koniec... Dobrzy ludzie ci Kosiorko-wie. Szkoda tylko, że dzieci nie mieli. Aż się

dziwiłam, że oni tacy samotni. Pan Kosiorek ciężko pracował i na wszystko ich było stać... Bogaci byli... I nieraz tak sobie myślałam: dla kogo oni to dobro gromadzą? Jak pomrą, to obcy ludzie wszystko zabiorą... Powinni mieć dzieci. Jak sobie jednak pomyślę z drugiej strony, jakie to te dzieci bywają, nie przymierzając mcija córka, to wychodzi, że może i nie warto mieć dzieci... Nie wiem...

A pani Kosiorkowa to, nie powiem, też bardzo grzeczna pani. Zawsze mnie uszanowała. I do kuchni się zupełnie nie wtrącała. Zaszła tam czasem, ale nic ją nie interesowało, co ja robię. Mówiła wtedy tylko: „Niech Jaga pamięta, że wieczorem będą goście...” albo: „Dziś nie będziemy jedli obiadu w domu”. I to wszystko. Więcej ją nie nieobchodziło. I do sprzątania się nie wtrącała. Nie tak jak inne panie... Pamiętam, jak byłam u jednej doktorowej, to ona biegała za mną i palcerń wszędzie sprawdzała, czy kurz starty... I nie daj Boże co było, gdy gdzieś choć odrobinę pyłu wypatrzyła... Pani Kosiorkowa to zupełnie inna pani. Tylko że trochę fumów miała... No takich tam... Lubiła, żebym zakładała fartuszek, kiedy drzwi gościom otwiera... Mówiła, że takie fartuszki noszą pokojówki w porządnym domach. Na początku to się nie mogłam przyzwyczaić i jak ktoś dzwonił do drzwi, to zapominałam o tym fartuszkach. Pani Kosiorkowej to się bardzo nie podobało. Nie żeby jakieś awantury robiła, co to, to nie, ale była bardzo niezadowolona. Potem się już przyzwyczyłam i jak tylko usłyszałam dzwonek, to zaraz przypasywałam ten fartuszek. Musiał być taki sztywny, wykrochmalony i bardzo czysty, więc go stale nie nosiłam, żeby się nie uświł. Wisiał zawsze na haczyku

77

-t

w kuchni. Zakładałam go tylko, żeby drzwi otwierać, no i jak byli goście. Wtedy to już obowiązkowo.

I jeszcze takie dziwne imię mi pani Kosiorkowa wymyśliła. Jaga. Dla niej byłam Jaga. Pan Kosiorek to mi mówił normalnie: „Pani Jadwigo”, ale ona inaczej nie, tylko: „Jaga”. Niech Jaga to, niech Jaga tamto... Na początku to mi się bardzo nie podobało. Niby to ja jakaś Baba Jaga jestem, czy co? Złościło mnie to, ale potem się przyzwyczyłam... Niech będzie...

Tak. Pan Kosiorek gromadził jakieś papierzyska stare... Mówił, że książkę pisze o swojej rodzinie. Słyszałam, nieraz słyszałam, jak o

tym mówił. Zwłaszcza jak byli goście... Pani Kosiorkowa to się trochę podśmiewała z tego jego pisania, ale tak bez złości...

No jasne, że wiedziałam, gdzie pan Kosiorek trzymał pieniądze. W takiej szafce w ścianie, za obrazkiem, w gabinecie. Ten obrazek to okropne paskudztwo, istna obraza boska... Nieraz widziałam, jak pan zdejmował obrazek i tę szafkę otwierał... A co tam miał w niej schowane, to już mnie nie obchodziło. Ja, proszę pana, cudzego nie patrzę, nawet nie jestem ciekawa... Przy mnie nic nie zginęło. Nigdy. Służyłam w siedmiu domach, wszystko przy mnie zostawiano i nigdy nic nie zginęło...

Ile było kluczy do tego schowka, to znaczy do tej szafki? Nie wiem. To nie moja sprawa, więc mnie to nie ciekawiło... Ja wiem, że pan o nic do mnie nie ma pretensji. Rozumiem. Bo jaką pan może do mnie mieć pretensję? Przy mnie nigdy nic nie zginęło. A klucz to chyba był tylko jeden. Tak mi się o uszy obilo. Ale nie jestem pewna. To nie była moja sprawa. Mnie to nie ciekawiło. Gdzie ten klucz chowali? Też nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie wiem też, czy jak pan Kosiorek wyjeżdżał, to zostawiał klucz pani... Może tak, może nie... Nie interesowałam się... Patrzę tylko swojego nosa.

Skąd było w domu tyle konserw? Ano były... Pani lubiła, jak w domu były konserwy. Nie to, żeby państwo jedli na co dzień. Co to, to nie... Ja, chwalić Boga, nieźle umiem gotować i państwo nie potrzebowali jeść z puszki. To tak tylko, na wszelki wypadek trzymaliśmy te konserwy, jakby czego nagle zabrakło. Tylko groszek się używało i fasolkę. Nieboszczyk Kosiorek, Panie świeć nad jego duszą, bardzo lubił groszek... Jakie to były konserwy? Ano różne... Rybki przede wszystkim. Dużo różnych rybek... Nie, o żadnych ślimakach i za przeproszeniem, ośmiornicach nie słyszałam... A wódki to stały w barku. Różne tam były wódki, polskie, zagraniczne, słodkie, kolorowe... Koniaki też były. Pan Kosiorek lubił sobie czasem po obiedzie wypić kieliszek koniaku... Nie to, żeby był trunkowy, broń Boże. Nigdy go nie widziałam, żeby sobie za dużo pozwolił. Tak tylko, dla smaku sobie czasem lubił chlapnąć kieliszek... To już bardziej pani Kosiorkowa... Czasem, jak byli goście, to nawet i sporo popiła, ale zawsze z umiarem. Potem, jak już goście poszli, to sobie podśpiewywała. Najczęściej to śpiewała „Złoty pierścionek, złoty pierścionek na szczęście”, a potem spać się kładli i zawsze spokojnie, bez żadnych awantur. Porządni państwo.

Co proszę? Whisky? Niby taka angielska wódka? A owszem, czasem to była w domu i ta whisky. Ale rzadko. Dawno już nie mieli. Panu nie smakowała. Pani to kiedyś nawet powiedziała, że ta wódka cuchnie jak płyn do zmywania naczyń... Nie, na pewno w ostatnich czasach nie było w domu żadnej angielskiej wódki. W każdym razie jak wyjeżdżałam, to nie było. Chyba żeby potem sobie kupili... Ale po co? W barku mieli wszystkiego dosyć... Oni przecież nie pijacy. Jakby nie miało być gości, to tego, co było w barku, starczyłoby im na kilka miesięcy. No właśnie... I panowie też nie znaleźli żadnej butelki po tej, jakże jej tam, whisky. Mówiłam, że tego w domu nie było...

78

79

Nie, tego zbója ja nie widziałam. Jak wyjeżdżałam, to go u nas jeszcze nie było... Bóg mi oszczędził takiego widoku... Bardzo teraz dziękuję Panu Bogu, że mnie ocalił, że mnie natchnął z tym wyjazdem... Przecież gdybym została, to i mnie by pewnie zarznął ten bandyta przekłety... Takich to nie wystarczy zwyczajnie powiesić! Ja bym z nich pasy skóry żywcem darła i solą posypywała... Żeby takiego człowieka jak nasz pan zamordować, tak zarąbać jak jakiego świniaka... Takiego dobrego człowieka...

Wiem, że nie trzeba płakać... Ja już nie będę, ale jak sobie pomyślę, to mnie wtedy chwyta i nie mogę na to nic poradzić... Dobrze, powiem, jak to było. Siostra moja młodszą córkę za mąż wydawała. Napisała mi co i jak i poprosiła na wesele... Z początku to nawet nie bardzo chciałam jechać. Daleko, aż pod Krakowem siostra mieszka. A tu zima, niewygodnie podróżować. Ale później sobie pomyślałam, że przecież siostrzenica to siostrzenica i wypada być na jej weselu, więc poprosiłam Kosiorko-wą, żebym miała trochę wolnego. W zeszłym roku to nie miałam. Już się wybierałam do siostry jechać, bo jesienią zawsze tam jeżdżę i pomagam przy wykopkach, a tu się okazało, że pani Kosiorkowej wypadło za granicę. Niby miejsce dostała w wycieczce do Hiszpanii. No to nie pojechałam do siostry... bo jak tu pana było samego zostawić? Jesienią to w ogrodnictwie masa roboty. Na jesieni pan Kosiorek zawsze cebulę odstawiał, całe wagony, i bardzo był zapracowany. Musiał coś jeść, nie? Kto rnu miał ugotować i podać?

Pani Kosiorkowa obiecała, że mi się odwdzięczy za to zostanie wtedy w domu. Więc jak teraz poprosiłam o trzy dni wolnego względem

wesela siostrzenicy, -to pani Kosiorkowa nie tylko że się zgodziła, ale powiedziała, żebym sobie dłużej posiedziała i odpoczęła, bo mi się to należy. No i miałam dwa tygodnie u siostry zostać.

80

Pojechałam na wesele. Pan Kosiorek mnie swoją taksówką na dworzec odwiózł. Jak odjeżdżał, to ani mi przez myśl nie przeszło, że go ostatni raz widzę między żywymi, ani mnie nawet nic nie tknęło... Po weselu u siostry kilka dni jeszcze posiedziałam, ale mnie do domu ciągnęło. Zupełnie rady sobie dać nie mogłam. Stale myślałam o panu Kosiorku... Nie, nie to, żebym przeczuwała coś złego. Nie. Tylko sobie stale myślałam, co on tam jada. Bo pani Kosiorkowa to dobra pani, ale żadnego talentu do kucharzenia nie ma. Zupełnie żadnego. Za to pan Kosiorek to lubił dobrze zjeść. Kochał, żeby wszyściutko było podane i zrobione jak należy, nie za twarde i nie za miękkie, przyrumienione jak potrzeba i doprawione do smaku... Bardzo sobie chwalił moje gotowanie. Często to mi tak mówił: „Pani Jadwigo, jak pani coś przyrządzi, to tylko palce lizać... Nie umywają się do pani kucharze z najlepszych restauracji. Nawet z Europejskiego albo z Yictorii. Oni to nic przy pani, pani Jadwigo”. Żal mi więc było, że teraz musi jeść, co mu pani przygotuje, pewnie te konserwy, co je w domu mieliśmy... Miałam być dwa tygodnie, ale nie wytrzymałam. Tydzień tylko byłam u siostry. W jetinę sobotę do niej przyjechałam, a w następną wieczorem na stację mnie odwieźli.

Pociąg miał zjechać do Warszawy rano, ale się spóźnił, bo po drodze były śniegi. Do nas, znaczy do Morów, trudno się dostać. Mogłam jechać taksówką, pani Kosiorkowa zwróciłaby mi pieniądze, ale nie chciałam. Nie lubię marnować grosza. Autobusem dojechałam do rogu Lazurowej, a potem poszłam piechotą. Długo szłam. Zaśnieżone wszystko było i miałam ciężką torbę. Wiozłam dla moich państwa kizkę i trochę wiejskiej kielbasy od mojej siostry. Pan Kosiorek to przepadał za wiejską kielbasą. Lubiał, żeby była tłusta i dobrze naczosnkowa-

6 - Jestem niewinny

81

na. Pani to już mniej domową kielbasę lubiła, ale też zjadała. Do domu doszłam gdzieś chyba o wpół do drugiej. Strasznie byłam skonana. Nóg już nie czułam. Całą noc w tłoku, a potem przeszłam

taki świat drogi. Kluczy nie miałam. Swoje, jak wyjeżdżałam, to zostawiłam w domu.

Dzwonię. Raz i drugi dzwonię. Nic. Wszystko zamknięte. Nikt przez okno nie wygląda. Ręce mi opadły. Złękłam się, że państwo może gdzie wyjechali. Nie wiedzieli przecież, że wcześniej wrócę, miałam być dopiero za tydzień. Zimno mi się robiło coraz bardziej i głodna już byłam. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Usiąść tylko, ręce załamać i zapłakać. Postąpiłam przed wejściem, postąpiłam, podzwoniłam, ale bez nijakiego skutku. Wpadło mi do głowy, że chociaż torbę trzeba gdzieś zostawić, bo ciężka. Umyśliłam sobie, że zaniosę ją do pani Raczyńskiej. To nasza najbliższa sąsiadka. Jej dom jest od nas tak z pół kilometra. Wzięłam torbę i idę do pani .Raczyńskiej... Podeszłam już blisko, patrzę, a przed domem pani Raczyńskiej dwa samochody stoją. Pomyślałam, że chociaż tu kogoś zastanę. Kamień spadł mi z serca. Pospieszyłam i dzwonię do drzwi. Otworzyła mi pani Raczyńska i bardzo się zdziwiła, jak mnie zobaczyła na progu. Prosiła do środka. A tam pani Kosiorko-wa była. I jeszcze jeden pan, i jedna pani. W karty grali. Pani też się strasznie zdziwiła, że już przyjechałam. Pyta, dlaczego tu przyszłam, i to w dodatku z taką ciężką torbą... Więc jej mówię, że przecież kluczy nie mam i do domu nie mogę się dostać. Jak to usłyszała, to się bardzo zacukała. Powiedziała, że ze mną pójdzie do domu i potem wróci do pani Raczyńskiej. Ten pan, co grał z nimi w karty, powiedział, że nas swoją taksówką odwiezie, to będzie szybciej. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do domu... '

82

Hania

Nie wiem, co ja z tym wszystkim mam wspólnego! Tyle nieprzyjemności i ciągnięcia tylko dlatego, że w niedzielę przyjechałam na brydża do znajomej... Wcale nie miałam ochoty przyjechać, ale Buba nalegała. Mówiła: „Haniu, wpadnij koniecznie, zjemy coś lekkiego, a potem zrobimy kilka robrów”. Brydż w południe! Też coś! Nazywam się Anna Sarnicka. Mój mąż nie jest zadowolony z tego ciągnięcia mnie przez milicję. Tak, mam lat trzydzieści trzy, wykształcenie średnie... bez zawodu. Lojalnie uprzedzam panów, że mój mąż ma przyjaciół na wysokim szczeblu w MSW. Nie wydaje mi się, by byli zachwyceni, że żona ich szkolnego kolegi jest bez dania racji niepokojona i przesłuchiwana...

Oczywiście, że nie odmawiam pomocy! Pan mnie źle zrozumiał! Tylko że ja w niczym panom nie mogę pomóc. Oczywiście, że spróbuję, ale to nie ma żadnego sensu... Prawie nie znałam tych ludzi... Pana Kosiorka widziałam może ze dwa albo trzy razy u Buby. Grałam z nim w brydża. Nawet nie bardzo potrafiłabym panu powiedzieć, jak wyglądał. Pamiętam tylko, że nosił okulary i był okropnie nudny. Gdy go widziałam za pierwszym razem, usypiał całe towarzystwo opowiadając o dziejach swojej rodziny. Jakby to kogo obchodziło. Ja, proszę pana, jestem z domu Stroynowska, i to Stroynowska przez y, i choćbym mogła, to nie chwalebę się swoją rodziną... To, co wygadywał pan Kosiorek, było po prostu niesmaczne...

Panią Kosiorkową znałam trochę lepiej. To kulturalna kobieta. O wiele kulturalniejsza od męża. Widziałam ją kilka razy u Buby. Ostatni raz w niedzielę, dwudziestego drugiego stycznia, też u Buby. Przyjechałam do Buby przed dwunastą. Pani Kosior-

83

kowa już tam była. Zjadłyśmy razem lekki lunch. Buba świetnie potrafi przyrządzać takie posiłki, to trzeba jej przyznać... Oczywiście było trochę alkoholu. Ja nie piłam, bo przyjechałam wozem. Około trzynastej zjawił się pan Jacek i jak już było nas czworo, zaczęliśmy grę. Ja grałam w parze z panią Kosiorkową, Buba z Jackiem. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy... Tak o wszystkim i o niczym... Trochę o wspólnych znajomych... Pani Kosiorkowa zapraszała nas do siebie na podwieczorek, Buba trochę grymasiła, powiedziała, że nie ma ochoty jechać do Kosiorków, ale potem chyba się zgodziła... Już zresztą nie pamiętam, na czym stało, bo zjawiła się jakaś starsza kobieta z wielką, wypchaną torbą i powstało zamieszanie. Okazało się, że to służąca pani Kosiorkowej. Podobno nie mogła się dostać do domu czy coś takiego... Dokładnie nie pamiętam, o co chodziło. Byłam zła. Nie lubię, gdy się przeszkadza w czasie brydża. Jeżeli gra rzeczywiście ma dać satysfakcję, to trzeba się bardzo skupić... W dodatku dostałam interesujący układ kart. Zapowiadała się ciekawa licytacja...

Nic z tego nie wyszło. Pani Kosiorkową odłożyła karty, przeprosiła nas i powiedziała, że musi iść z tą służącą do domu. Pan Jacek ofiarował się, że podrzuci je wozem. Wyszli. Zostałyśmy z Buba i czekałyśmy, aż -wrócą. Trochę plotkowałyśmy. Po jakimś czasie

Buba zaczęła się niepokoić. A kiedy minęła godzina i więcej, a pani Ko-siorkowej i pana Jacka nie było, zrozumiałam, że już nic z brydża nie będzie. Pożegnałam się z Buba i pojechałam do domu... To wszystko, panie kapitanie. Czy dla takiego głupstwa warto było mnie tu ściągać?

Jak w czasie wizyty u Buby zachowywała się Kosiorkowa? A jak się miała zachowywać? Normalnie, zupełnie normalnie... Zdenerwowała się dopiero wtedy, gdy pojawiła się ta jej służąca. Bardzo się zdenerwowała. Ja też zresztą! Miałam takie dobre karty...

84

Jacek

Nazywam się Jacek Nieżycki. Lat [czterdzieści trzy. Kawaler, Wykształcenie średnie, tech-jniczne. Ukończyłem technikum samochodowe. W tej [chwili pracuję w Polskim Związku Motorowym. Mam I tam etat. Trochę zajmuję się sportem rajdowym. Jeżeli (interesuje się pan sportem, to być może, słyszał pan lo mnie. Państwa Kosiorków znałem, ale niezbyt blisko. (Zapoznała nas pani Buba Raczyńska. Grywaliśmy u niej Sod czasu do czasu w brydża. Kosiorków poznałem mniej (więcej trzy lata temu. W ich domu byłem kilkakrotnie, [też z okazji brydża. Pan Kosiorek był doskonałym graczem. Pani Kosiorkowa grała nieźle, ale to już nie było ...

Tak, słyszałem, że pan Kosiorek planował napisanie [jakiejś książki. Mówił o tym chętnie. Specjalnie się nie przysłuchiwałem. Widzi pan, mnie historia zupełnie nie . (nterესuje... Zresztą przyznam się panu, że zbyt nie mierzyłem w tę książkę. Pan Kosiorek nie wyglądał na [człowieka, który potrafi napisać pracę naukową z jakiej-solwiek dziedziny. Nie chcę niczego ujmować nieboszczykowi, ale to jednak nie był ten poziom. Pan rozumie,) co mi chodzi... Te opowieści o książce traktowałem jako "nieszkodliwe hobby mocno przepracowanego pana w średnim wieku. Jedni w takiej sytuacji chodzą na ryby, drudzy coś tam majsterkują, jeszcze inni próbująpisać... Pan Kosiorek jednak, o ile się mogłem zorientować, traktował swoje hobby bardzo poważnie. Pani Kosiorkowa przy tym ostatnim brydżu niedzielnym właśnie nam opowiadała, że mąż zaangażował sekretarza. Pani Buba wtedy wspomniała, że poprzedniego dnia poznała tego sekretarza.

Pani kosiorkowa, pamiętam, o tym zaangażowanym ' przez męża sekretarzu wyrażała się bardzo krytycznie.

Twierdziła, że ten młody człowiek zupełnie nie budzi zaufania, zdradza zbyt duże zainteresowanie alkoholem i zachowuje się okropnie. Trochę się nawet posprzeczały z panią Bubą, która powiedziała, że ten sekretarz wywarł na niej jak najlepsze wrażenie... Ale specjalnie dużo mowy o tym człowieku nie było... U pani Raczyńskiej zjawilem się gdzieś koło trzynastej... Pani Buba zapraszała mnie na dwunastą, na lunch, ale już rano telefonicznie zapowiedziałem spóźnienie... Wyznam panu prawdę. Pani Buba na tych swoich lunchach podawała zupełnie niejadalne potrawy... Rzekomo angielskie... Trzeba byłoby to, niestety, jeść, bo pani Raczyńska jest bardzo gościnna i święcie przekonana, że doskonale gotuje... Nie, nie zaczekały na mnie z lunchem. Rano wyjaśniłem przez telefon, że mam spotkanie na śniadaniu w „Bristolu” i dlatego się spóźnię. Będę już najedzony, więc niech nie czekają na mnie z posiłkiem. Kiedy przyjechałem, u pani Buby były już pani Kosiorkowa i Hania Sarnicka. To też znajoma. Jej mąż jest jakimś bardzo ważnym dyrektorem w handlu zagranicznym. Zaczęliśmy robra. Moją partnerką była pani Raczyńska... Długo nie pograliśmy. Przeszkodzono nam. Wkrótce zjawiała się służąca państwa Kosiorków. Okazało się, że wróciła z podróży i nie może dostać się do domu... Pani Kosiorkowa bardzo się zaniepokoiła... Miałem wóz, więc zaofiarowałem się, że je podrzucę. Drzwi od domu państwa Kosiorków były rzeczywiście zamknięte. Pani Kosiorkowa otworzyła je własnymi kluczami. Poprosiła, żebym wszedł z nimi do środka. Początkowo nie bardzo chciałem, ale widząc, jak jest zdenerwowana, zgodziłem się...

Krysiaczek

Krystyna Kosiorek. Z domu Sosnow-ska. Lat trzydzieści pięć. Wdowa. Bez zawodu. Wykształcenie wyższe, niepełne wyższe... Nie, nie studiowałam medycyny... nigdy. Studiowałam archeologię klasyczną przez trzy lata. Poszłam na te studia po prostu dlatego, że to był bardzo modny kierunek. Okazało się jednak, że nie nadaję się do tego zawodu... Przerwałam studia. Wkrótce potem wyszłam za mąż i nie potrzebowałam pracować...

Panie kapitanie, tyle razy opowiadałam już o wszystkim. To takie dla mnie ciężkie i bolesne. Chciałabym już zapomnieć. Za każdym razem, kiedy o tym opowiadam, rozdrapuję stare rany... Wiem, że wyrażam

się zbyt górnolotnie, ale to po prostu prawda. Tak właśnie czuję... Rozumiem, że pan musi wyjaśnić pewne szczegóły. To pana obowiązek, oczywiście rozumiem, tylko,.. No, powiem otwarcie, mojemu mężowi nie pomoże nawet najbardziej drobiazgowe śledztwo. Nic go już nie potrafi wskrzesić... I przecież sprawcę także już macie... Postawcie go przed sądem. Niech sędziowie zważą wszystko, co jest przeciwko temu człowiekowi, i to, co go może usprawiedliwiać,- i niech wydadzą wyrok... Ale to i tak niczego nie zmieni. Nawet najsurowszy wyrok nie zwróci mi Pawła. Dlatego właściwie jest mi obojętne, co się stanie z Cyprysiakiem... Nie jestem jeszcze starą kobietą, ale czuję, że wraz ze śmiercią męża coś we mnie bezpowrotnie umarło, jakiś ważny fragment duszy... Nie potrafię już nawet nienawidzić... Może to dziwne, co teraz powiem, może to o mnie źle świadczy, ale nie umiem wykrzesać z siebie choćby iskry nienawiści do mordercy. Jest mi obojętne, co z nim zrobicie...

Panie kapitanie, bardzo kochałam męża. Bardzo. Był dla mnie wszystkim, treścią mojego życia. Był wspania-

87
łym człowiekiem. Zrobił dla mnie tak wiele, tak bardzo dużo... Kiedy go poznałam, byłam w ogromnie trudnej sytuacji życiowej, na wirażu, jak to się mówi... Ciężko przeżyłam niepowodzenie na uniwersytecie. Kompletnie się załamalam i wpadłam w takie towarzystwo, że gorzej być już nie mogło. Kilka lat takiego życia, jakie zaczęłam prowadzić, i byłabym zupełnie skończona...

I wtedy przypadkowo poznałam Pawła. Pomógł mi. Podał mi rękę. Ożenił się ze mną... Kochałam go, ale mój stosunek do niego był nacechowany nie tylko miłością. Nigdy nie zapomniałam, że mi pomógł, że nie pozwolił, bym się stoczyła na samo dno... Zdawałam sobie z tego świetnie sprawę i byłam mu wdzięczna... Staralam się być dobrą żoną. Chciałam, żeby czuł się spokojnie i bezpiecznie, by znalazł we mnie oparcie i pomoc...

Ciężko pracował. Bardzo ciężko... U nas mówi się o ogrodnikach, że powodzi im się świetnie i niczego im nie brakuje, a kupić mogą sobie wszystko, co jest tylko dostępne w naszym kraju... Tak, to prawda, nic nam nie brakowało. Pieniądze nie stanowiły żadnego problemu. Kiedy Paweł chciał coś kupić dla siebie, dla mnie czy do domu, nigdy nie pytał, ile to kosztuje... Interesowało go tylko, gdzie to można dostać...

Prowadziłam dom na wysokim poziomie... Ja mu go prowadziłam. Staralam się robić to jak najlepiej... Panie kapitanie, to wszystko prawda, ale niewiele ludzi zdaje sobie sprawę, jakie są koszty własne tego dobrobytu, tego jedwabnego życia.

Prowadzenie ogrodnictwa na dużą skalę to ciężka, zmusna, pełna napięcia i niepewności harówka. Żeby osiągnąć wysokie plony i wysokie zyski, ogrodnik powinien szczegółowo i długofalowo planować. Tymczasem w tej dziedzinie niczego do końca i precyzyjnie zaplanować się nie da., Opóźnienie wiosny o dwa tygodnie, niespodziewane chłody albo przedłużające się opady wystarczą, by całe planowanie zawiodło... I nie tylko to

88

utrudnia. Jeżeli spóźnią się dostawy koksu i nie można ogrzać szklarni albo nie dostanie się na czas nawozów lub środków ochrony roślin, to też wszystko się wali... I te stałe kłopoty z siłą roboczą. W sezonie, kiedy każdy dzień, każda godzina jest decydująca, wtedy właśnie nigdy nie ma dość ludzi do roboty, i to nawet za najwyższe wynagrodzenie...

Ogrodnikowi potrzebna rzutkość, wiedza i zdolność do improwizacji, do podejmowania błyskawicznych decyzji... Ciągłe napięcie powoduje zmęczenie. W sezonie Paweł wracał do domu zupełnie wypompowany... Słaniał się dosłownie na nogach... Staralam się więc, żeby choć w domu miał spokój, żeby mógł się odprężyć, żeby na kilka godzin zapomniał o tym obłędnym kołowrocie. I chyba mi się to udawało...

Był dobrym człowiekiem. Dobrym i bardzo pracowitym... Oczywiście miał swoje słabości, każdy je ma. Był zbyt ufny wobec ludzi... To może wydać się dziwne, ale to prawda... W interesach był ostrożny, uważny i niełatwo było wyprowadzić go w pole. Niejeden cwaniak próbował, ale nie udało się... Paweł zmieniał się jednak zupełnie, gdy chodziło o sprawy prywatne... Wtedy był bardzo przyjacielski, otwierał się nagle wobec zupełnie przypadkowych znajomych... Opowiadał im o swoim życiu, o mnie, o swych zainteresowaniach. Nieraz bardzo mnie to drażniło, czasami nawet delikatnie starałam się zwrócić mu uwagę... Chyba zbyt delikatnie. Gdybym była twardsza, może potrafiłabym zapobiec nieszczęściu...

Interesował się przeszłością swojej rodziny. To się zaczęło kilka lat temu. Nagle, bez żadnej fazy przygotowawczej. Wtedy gdy się

okazało, że nie możemy mieć dzieci. Bardzo chciał mieć syna, gdy się więc dowiedział, że jest to niemożliwe, był przybity. Długo nie chciał uwierzyć w wyniki badań... Próbowałam go pocieszyć, proponowałam delikatnie, że możemy zaadoptować ja-

89

kies dziecko... Nawet nie chciał o tym słuchać. Pragnął mieć własnego syna, a to okazało się niemożliwe... Byłam zrozpaczona, gdy widziałam, jak bardzo to przeżywa, jak się tym męczy...

I nagle przyszło mu do głowy, że jeżeli nie może zapewnić kontynuacji rodowi Kosiorków, to spróbuje ocalić od zapomnienia jego tradycje, historię... Postanowił, że napisze książkę o warszawskich Kosiorkach...

Nie miał żadnego przygotowania do takiej pracy, nie miał pojęcia, jak się do niej zabrać, ale to mu zupełnie nie przeszkadzało... Zaczął szperać, gromadzić dokumenty, listy, wspomnienia... Poświęcał temu cały swój wolny czas, wszystkie siły, jakie mu pozostały po dniu ciężkiej harówki... Żył tą książką. Opowiadał o niej wszystkim, którzy go tylko chcieli słuchać. Pasjonował się swoją pracą... Nie zdawał sobie sprawy, że ludzie śmieją się z niego, że za jego plecami opowiadają, jak to Kosiorkowi na starość odbiła szajba. Dla obcych był śmieszny w tym swoim zaciętrzewieniu. Dla mnie nie.

Wiedziałam, co to wszystko dla niego znaczy i dlaczego jest takie ważne. Oczywiście nie wierzyłam, że coś z tego wyjdzie, ale przecież nie o to chodziło... Ta książka była mi zupełnie obojętna, cieszyłam się jednak, że ją próbuje pisać... To było dla niego zbawienne...

Gdybym mogła przewidzieć, do czego to doprowadzi....

Cyprysiak nie był pierwszym, którego zatrudnił do pomocy... Już przedtem był pewien student. Nic dobrego. Wydoił z Pawła kilkanaście tysięcy... Zbierał mu wycinki ze starych gazet, robił jakieś wypisy... Tak na oko to była robota na jakiś tydzień, no, może na dwa. Tamten pracował nad tym przez kilka miesięcy i stale domagał się pieniędzy... I Paweł płacił. Był szczęśliwy, że praca posuwa się naprzód i że pomaga mu w niej fachowiec. Ten pomocnik studiował podobno historię... Jeżeli w ogóle coś Studiował,,. Czasami miałam wątpliwości...

1

Próbowałam Pawłowi delikatnie otworzyć oczy, ale niewiele to dawało. Widziałam, że jest mu przykro, kiedy podaję w wątpliwość

wartość dokonań jego pomocnika... W końcu machnęłam ręką. Niech tam. Najwyżej Paweł straci niepotrzebnie jeszcze kilka tysięcy. Ostatecznie pieniędzy nam nie brakowało.

Po jakimś czasie mąż widać jednak sam zorientował się w sytuacji, bo pewnego dnia ten student przestał mu pomagać. Mąż nic na ten temat nie mówił. Ja też. Nie chciałam mu robić przykrości wypominaniem. Nie należałam do takich żori, co lubią przygadywać w stylu: „A widzisz, dawno ci to mówiłam, przekonałeś się, że miałam rację”. Przez jakiś czas Paweł wyłącznie sam zajmował się swoją książką. Gdzieś na jesieni zaczął przebąkiwać, że ma z nią wielkie trudności, bo brak mu fachowego przygotowania... Nic na to nie odpowiedziałam, bo i co było mówić? Po co? Staralam się go nawet pocieszyć, że nie święci garnki lepia, więc i on w końcu da sobie radę, ale on tylko powątpiewająco kręcił głową. Trochę się tym niepokoiłam, bo wiedziałam, co dla niego znaczy praca nad tą wymarzoną książką...

Pewnego dnia mąż oświadczył, że postanowił zaangażować fachowego sekretarza, sprowadzić go do naszego domu, posadzić nad całym dotychczas zebrany materiał i skłonić do wykrojenia jakiejś sensownej całości...

Pomysł mi się zupełnie nie podobał. Nie chciałam obcego człowieka w naszym domu. Sugerowałam, że może jednak wystarczy pomoc kogoś z zewnątrz. Odpowiadał, że po doświadczeniach z tamtym studentem woli na bieżąco kontrolować pracę pomocnika. Pańskie oko konia tuczy, Nie można z nim było dyskutować, był święcie przekonany, że wpadł na doskonały pomysł... >

O zaangażowaniu sekretarza powtarzał odtąd stale,

91

ale jakoś nic nie robił, aby to zrealizować. Zaczynałam mieć nadzieję, że na gadaniu, się wszystko skończy... Niestety...

W drugiej połowie stycznia, pamiętam doskonale, było to w czwartek, dziewiętnastego, Paweł przy obiedzie oświadczył, że znalazł wreszcie osobę, która pomoże mu w pracy nad książką. Był bardzo z siebie zadowolony... Utrzymywał, że dokonał doskonałego wyboru.

Kandydat na sekretarza nie był wprawdzie, jak poprzedni pomocnik, historykiem, ale cechowały go podobno inne zalety. Miał to być młody literat, bardzo zdolny, który zaplątał się w jakieś życiowe komplikacje... Paweł twierdził, że ten młody człowiek wart był tego,

by mu pomóc, by się nim zaopiekować. „Pracowni, Krysiaczku... - mówił - postawi go na nogi. To będzie taka wzajemna wymiana usług. Ja mu pomogę wybrnąć z życiowych kłopotów, on mi napisze książkę. To idealna sytuacja! Będziemy sobie potrzebni wzajemnie. Takie układy dają zawsze najlepsze rezultaty!"

Byłam zaskoczona, bo już zaczynałam sądzić, że Paweł jednak nie zrealizuje swoich planów... A już zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi, gdy dowiedziałam się, że ten obiecujący młody człowiek ma zamieszkać w naszym domu natychmiast, od następnego dnia... Próbowałam wysuwać różne zastrzeżenia, ale na nic się to zdało. Paweł był w istnej euforii. Wierzył, że zrobił doskonały interes, i nic go z tego przekonania nie potrafiło wyprowadzić. Gdybym sprzeciwiła się stanowczo! Mogłam przecież mocno zaprotestować, postawić sprawę na ostrzu noża. Niestety, nie zrobiłam tego. Nie chciałam Pawłowi sprawiać przykrości.

Przez całe popołudnie przygotowaliśmy pokój dla młodego literata. Nasza gosposia, pani Jaga, wyjechała do siostry i musieliśmy zrobić to sami... Wyłoniła się zresztą jeszcze jedna komplikacja... Bano, kiedy Pawła

92

31

nie było w domu, przyszedł do niego ekspres z Opola od pana Zygryda Kosiorka. Gdy mąż mój po powrocie oznajmił, że właśnie zaangażował sekretarza, byłam tak zbulwersowana jego decyzją, że w pierwszej chwili zupełnie zapomniałam o tym liście. Przypomniałam sobie o nim dopiero wieczorem, przy kolacji. Dałam go Pawłowi. Pan zna zresztą ten list, milicja go zabrała, musi być w waszych aktach... Zygryd Kosiorek donosił w nim, że otrzymał wreszcie wizę i w poniedziałek rano wyjeżdża do syna, który na stałe mieszka w RFN... Ten pan Zygryd ma już prawie osiemdziesiąt lat, żadnej bliższej rodziny na miejscu, więc szansa na to, że po roku wróci do kraju, była raczej niewielka...

Paweł korespondował ze staruszką już od kilku miesięcy. Bardzo się nim interesował. Wykrył, że Kosior-kowie z Opola to jakaś jego stosunkowo bliska rodzina, i po rozmowie z tym Zygrydem wiele sobie obiecywał.

List wprowadził męża w wielką rozterkę. Wiedział, że powinien natychmiast jechać do Opola, aby wykorzystać, być może, ostatnią szansę rozmowy ze starym człowiekiem, a jednocześnie był umówiony w dniu następnym z nowo zaangażowanym sekretarzem, którego miał zainstalować w naszym domu i zaznajomić z czekającymi go zadaniami... Okazało się, że nie może tego odłożyć... Nie znał nawet dokładnie adresu swego świeżo upieczonego pracownika. Umówił się z nim na mieście, Cypry-siak miał czekać na niego z rzeczami gdzieś w Śródmieściu...

W końcu Paweł zdecydował, że zdoła załatwić jedno i drugie.

Przywiezie młodego człowieka do domu, pozostawi pod moją opieką i zdąży jeszcze na pospieszny do Opola. Wróci w poniedziałek rano i wtedy dopiero wprowadzi swego sekretarza w obowiązki...

Nie protestowałam... zgodziłam się. Boże, dlaczego wtedy się tak łatwo zgodziłam! Nie mogę sobie tego

93

darować... Gdyby Paweł odłożył sprowadzenie tego człowieka do naszego domu choć o kilka dni, to wtedy, być może, potrafiłabym mu jakoś wyperswadować ten zwariowany pomysł...

Niestety. Następnego dnia rano Paweł przywiózł Cy-prysiaka. Od razu mi się wydało dziwne, że cały bagaż młodego człowieka składa się z jednej, i to niezbyt wypchanej teczki... Teczka była nowiutka, elegancka, zupełnie nie pasowała do wyglądu Cypry siaka. On sam był zaniedbany, miał bardzo zniszczone ubranie. Można było odnieść wrażenie, że tę teczkę po prostu komuś ukradł... Bardzo mi się nie spodobał nowy współpracownik Pawła... Ale nie było czasu na wyrażanie wątpliwości. Mąż wpadł do domu jak po ogień. Spieszył się na pociąg. Przedstawił mi Cyprysiaka, zaprowadził go do jego pokoju i pokazał, gdzie są zgromadzone materiały do planowanej książki. To wszystko trwało najwyżej godzinę, może krócej... Potem zawiozłam męża na dworzec. Paweł zabrał ze sobą magnetofon, żeby nagrać rozmowę z opolskim Kosiorkiem... Zna pan chyba te taśmy... Wróciłam do domu. Cyprysiak siedział w swoim pokoju. Widziałam go tylko w czasie obiadu i kolacji. Rzucał się na jedzenie tak, jakby nie jadł niczego, od wielu dni... Starał się zabawiać mnie rozmową, ale mu to nie wychodziło... Był bardzo grzeczny, układny, nie sprawiał jednak przyjemnego wrażenia... Miał czasem takie jakieś dziwne powiedzonka i coś lisiego, fałszywego w zachowaniu i w oczach...

Poprosił o pozwolenie obejrzenia telewizji... Oczywiście, że się zgodziłam. Zostawiłam go przed telewizorem i poszłam do sypialni. Zamknęłam drzwi od wewnątrz. Nie czułam się pewnie przebywając samotnie pod jednym dachem z tym młodym człowiekiem...

W sobotę po śniadaniu Cyprysiak poszedł do gabinetu męża, by - jak to zapowiedział - zaznajamiać się z mate-

94

riałem do książki, a ja wyjechałam do miasta. Przedtem, około jedenastej, zjawił się listonosz z depeszą od męża. Paweł telegrafował, że powróci już w niedzielę rano. Ucieszyłam się z tego. Nie miałam ochoty przebywać sama w jednym domu z tym nieprzyjemnym facetem. Powiedziałam mu, żeby sam sobie wziął z kuchni coś do jedzenia na obiad, gdyż wrócę późno, dopiero wieczorem. Całe popołudnie przesiedziałam u znajomych. Pan zna ich nazwiska. Podawałam je wielokrotnie,.. Do domu wróciłam około wpół do ósmej. Drzwi były zamknięte na głucho. Zadzwoiłam, ale bez skutku. Otworzyłam je więc własnymi kluczami. Cyprysiaka znalazłam w naszym living roomie. Oglądał telewizję. Chyba dobrał się do barku, bo był kompletnie pijany, a na stole stała pusta butelka po żytniówce. Oczy miał załzawione i nie bardzo przytomne. Gdy mnie zobaczył, poderwał się z fotela i zaczął nieskładnie coś tłumaczyć... Wyglądało to dosyć żałośnie... Bełkotał od rzeczy. Miałam ogromną ochotę wygonić go z mieszkania. Nie zrobiłam tego jednak. Po prostu zaczęłam się go bać... Pomyślałam, że pijany facet może okazać się niebezpieczny... Wolałam go nie drażnić... Boję się pijaków, a Cyprysiak był naprawdę mocno pijany... W pewnej chwili zaczął się domagać, bym mu podała kolację, i zachowywał się zupełnie po chamsku. Chichotał i prawił mi grube komplementy... Byłam przestraszona i jednocześnie zła na Pawła, że wpuścił pod nasz dach takiego człowieka. Postanowiłam, gdy mąż wróci, opowiedzieć mu o skandalicznym zachowaniu jego protegowanego i stanowczo zażądać, aby natychmiast pozbył się go z domu. Sama nie zwracałam Cyprysiakowi uwagi. Po prostu bałam się go... Nie mam żadnego doświadczenia, jak należy postępować z pijakami... U, nas w domu nigdy nie było okazji się tego nauczyć... A kiedy Cyprysiak zaczął jeszcze obcałowywać mnie po rękach i usiłował mnie objąć, bełkocząc przy tym jakies

95

głupstwa, wyrwałam się i uciekłam z pokoju... Zamknęłam się w sypialni. Byłam roztrzęsiona i zdenerwowana do ostateczności... Młody człowiek, którego mój mąż tak niebacznie wprowadził do naszego domu, już od samego początku wzbudzał we mnie nieufność. Okazało się, że instynkt mnie nie zawiódł. Rzeczywistość w całej rozciągłości potwierdziła najgorsze obawy. Siedziałam zamknięta w sypialni, a on tymczasem buszował po domu. Słyszałam trzaskanie drzwi i ryk rozkręconego na cały regulator telewizora... Nie śmiałam wyjść z sypialni... Czułam się więźniem we własnym domu. To było strasznie upokarzające... Potem hałasy ustały. Program telewizyjny dobiegł końca. Miałam nadzieję, że zmęczony pijak usnął wreszcie w jakimś kącie i będę miała spokój aż do rana... Nie ryzykowałam jednak otwarcia drzwi i opuszczenia sypialni. Bałam się, że w każdej chwili może się obudzić i zacząć napastować mnie na nowo... Rozebrałam się i położyłam do łóżka. Kiedy usnęłam, było już bardzo późno.

Obudziłam się gdzieś około ósmej rano. Zanim zdecydowałam się opuścić sypialnię, długo nasłuchiwałam pod drzwiami. Wyszłam dopiero wtedy, gdy przekonałam się, że w domu panuje idealna cisza...

Wszędzie zauważałam ślady wczorajszej działalności sekretarza mojego męża. Kilka krzeseł było wywróconych, jedna z szaf otwarta. Na stole w living roomie znalazłam dwie opróżnione butelki po jarzębiaku, w łazience na podłodze leżało jego ubranie, marynarka i spodnie. Było bardzo mokre. Wyglądało na to, że Cypry-siak kąpał się w ubraniu...

Ostrożnie podeszłam do pokoju, który mu mąż przydzielił. Drzwi były uchylone. Zajrzałam do środka. Był tam. W kałesonach i podkoszulku leżał na nie pościelonej wersalce. Spał jak zabity. Na stole stała jeszcze jedna

96

butelka wyciągnięta z naszego barku. Jakiś koniak. Tej butelki nie dał rady już wypić, była zaledwie napoczęta... Wycofałam się cichutko na palcach, żeby go nie obudzić.

Zrobiłam sobie jakieś śniadanie i czekałam na powrót męża. Zgodnie z treścią telegramu miał wrócić do domu przed południem. Modliłam się, żeby Cyprysiak do tego czasu spał... Czułam wstręt do tego człowieka, nie chciałam widzieć go na oczy...

Mąż przyjechał taksówką gdzieś po godzinie dziesiątej. Był zmęczony podróżą, ale w doskonałym humorze. Mówił, że to, co o rodzinie Kosiorów opowiedział mu staruszek z Opola, było istną rewelacją... Potem oczywiście zapytał o swego sekretarza.

Opowiedziałam mu o jego zachowaniu. Pokazałam spustoszony barek i mokre ubranie w łazience... Paweł był wstrząśnięty. Wpadł w gniew. Chciał biec do pokoju, gdzie spał Cyprysiak, obudzić go i natychmiast wygnać z naszego domu... Powstrzymałam go. Z trudnością udało mi się go przekonać, by jeszcze tego nie robił. Nie znoszę awantur, nie chciałam być świadkiem nieprzyjemnej sceny. Powiedziałam Pawłowi, że na dwunastą jestem zaproszona do Buby Raczyńskiej, i zaproponowałam, żeby po moim wyjściu załatwił sprawę ze swoim niefortunnym sekretarzem. Zgodził się. Bardzo mnie przeproszał za lekkomyślne wpuszczenie pod nasz dach tego osobnika, za wszystkie przykrości, jakich z tego powodu doznałam, i solennie obiecał, że gdy po brydżu u Raczyńskiej wrócę do domu, nie będzie już nawet najmniejszego śladu po tym chuliganie.

Wyszłam gdzieś dwadzieścia po jedenastej. Do Buby poszłam piechotą. To niedaleko. Nie chciałam zresztą brać wozu, bo na tak zwanych lunchach u mojej przyjaciółki pije się zwykle trochę alkoholu. Byłam pierwszym gościem, który się zjawił u Buby. Wkrótce przyjechała Hania Sarnicka i Buba podała lunch. Około pierwszej

7 - Jestem niewinny

97

przybył pan Nieżycki, który też był z nami umówiony. Zasiedliśmy do kart. Byłam zdenerwowana po nocnych przeżyciach i niepokoiliam się, jak Paweł załatwi sprawę z Cyprysakiem. Oczywiście nie mówiłam nikomu o tym, co zaszło. Nie chciałam ośmieszać męża. Pomysł sprowadzenia do domu zupełnie nieznanego człowieka, który już następnego dnia okazał się napastliwym pijakiem, nie wystawiał zbyt dobrego świadectwa rozsądkowi Pawła. Okazało się jednak, że Buba wiedziała już o zaangażowaniu sekretarza. Widziała Cyprysiaka poprzedniego dnia, kiedy wpadła do nas w czasie mojej nieobecności. Twierdziła, że młodzieniec, który otworzył jej drzwi, wywarł na niej bardzo przyjemne wrażenie. Nie chciałam wdawać się w dyskusję na ten temat. Powiedziałam tylko, że ja nie jestem zachwycona nowym

współpracownikiem Pawła i że ten młody człowiek ma raczej nieokrzesane maniery i zdradza nadmierny pociąg do alkoholu... Więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Byłam coraz bardziej niespokojna o to, jak Paweł poradził sobie z Cyprysiakiem. Wyrzucałam sobie, że pozostawiłam go samego. Miałam ochotę szybko skończyć grę i wracać do domu...

Około godziny drugiej ktoś zadzwonił do drzwi. Buba poszła otworzyć. Byłam ogromnie zdumiona, gdy okazało się, że przyszła pani Jaga, nasza gosposia. Jaga wyjechała do siostry i miała wrócić dopiero równo za tydzień... Zdumienie przemieniło się w przerażenie, gdy okazało się, że Jaga nie mogła dostać się do domu... Nie pojmowałam, dlaczego Paweł jej nie wpuścił... Ogarnęło mnie niedobre przeczucie. Ubrałam się szybko, przeprosiłam Bubę i powiedziałam, że muszę zaprowadzić Jagę do domu... Wszyscy zauważyli, że jestem zdenerwowana. Pan Nieżycki zaofiarował się, że podrzuci nas swoim samochodem.

98

Drzwi domu zastałam zamknięte. Otworzyłam je własnymi kluczami, weszliśmy do środka. Już w progu zaczęłam wołać Pawła. Nikt nie odpowiadał. Byłam coraz bardziej przestraszona. Ani w living roomie, ani w kuchni, ani w sypialni męża nie było... Otworzyłam drzwi do gabinetu. I tu go znalazłam...

Leżał nieżywy na podłodze. Głowę miał zmasakrowaną, wszystko dookoła powalane było krwią. Krew była wszędzie. Dużo krwi. Zobaczyłam, że sejf w ścianie jest Szeroko otwarty. W jego drzwiczkach tkwił klucz...

Do gabinetu weszłam sama. Pan Nieżycki i Jaga przebywali wtedy w hallu. Wyszłam do nich. Od razu spostrzegli, że stało się coś strasznego... Pan Nieżycki podbiegł do mnie. Jaga o coś zapytała, ale... nie potrafiłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Moje gardło było jak sparaliżowane. Pokazałam im ręką na drzwi gabinetu. Podeszli tam i zajrzeli do środka. Zemdlałam właśnie wtedy, kiedy Jaga zaczęła krzyczeć. Jej przeraźliwy wrzask to ostatnie, co zapamiętałam...

Filip

Spóźniał się. Była już dwunasta, a jego ani śladu. Spodziewałem się zresztą, że tak będzie. Poprzednim razem zjawił się dwie godziny po wyznaczonym w wezwaniu terminie. W ten sposób podkreślał swoją

niezależność, poczucie swojej wyższości... Traktował mnie po prostu jako zramolałego urzędnika, który ośmielił się zawracać mu głowę i zajmować niezwykle cenny czas...

Mógł sobie na to pozwolić, bo rzeczywiście nic mu nie byłem w stanie zrobić... Do obowiązków świadka należy zjawienie się w wyznaczonym miejscu i przebywanie tam aż do czasu zwolnienia...

Tak przewiduje k.p.k. Jeżeli

99

świadek tego nie dopełni, może narazić się na nieprzyjemne konsekwencje. Można go wtedy doprowadzić pod eskortą, a nawet pociągnąć do odpowiedzialności karnej... Ale co robić, jeżeli wezwany zjawia się wprawdzie, ale z opóźnieniem?...

Już sobie wyobrażam, jakby popatrzył na mnim prokurator, gdybym zawracał mu głowę żądaniem ukarania takiego spóźnialskiego...

Gdyby jeszcze chodziło o osobę podejrzaną, wtedy takie zwlekanie mogłoby być wystarczającym powodem do interwencji, do sprowadzenia go ciupasem... Ale człowiek, na którego czekałem i który spóźnił się już o pełną godzinę, nie był o nic podejrzany. Był za to niezwykle cennym świadkiem, którego zeznanie mogło w sposób zasadniczy rozstrzygnąć sprawę czyjejs winy lub niewinności w paskudnej sprawie kryminalnej... Facet mógł to zrobić, ale... nie musiał... Wystarczyło, by obrażony, zasłonił się brakiem pamięci... Na takiego świadka trzeba dmuchać i chuchać, hołubić go, czułą perswazją nakłaniać do współpracy, a nie doprowadzać pod eskortą... Pozostało więc tylko cierpliwe oczekiwanie i nadzieja, że wezwany raczy się w końcu zjawić...

Westchnąłem ciężko i pogрузyłem się w przeglądaniu akt sprawy... Znałem te papierki dobrze, tyle czasu nad nimi prześlęczałem, choć z samą sprawą zabójstwa Pawła Kosiorka zetknąłem się stosunkowo późno. Kiedy nieboszczyk był już dawno pochowany, a Robert Cypry-siak od prawie dwóch tygodni siedział w przytulnej celi aresztu śledczego.

To było dokładnie w piątek, siedemnastego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku o godzinie ósmej piętnaście rano. O tej właśnie porze wewnętrzny telefon na biurku rozdzwonił się przeraźliwie i okazało się, że mój przełożony oczekuje mnie niecierpliwie. Po pięciu minutach zameldowałem się

w jego gabinecie. Palił fajkę i był w niezbyt promiennym nastroju. Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem i wskazał krzeselko. Kiedy stary był zły albo po prostu zmęczony, zawsze patrzył na nas w taki sposób, jakbyśmy samym swoim istnieniem sprawiali mu niewymowną przykrość... To oczywiście nic nie znaczyło. W rzeczywistości chyba wszystkich nas lubił, a w każdym razie był bardzo lojalny i sprawiedliwy, na swój sposób troszczył się o swoich podwładnych i potrafił wyklócać się o ich sprawy...

- Coś mi się widzi - powiedział - że ostatnio nie masz za dużo roboty. Wysoko kwalifikowany specjalista, a marnuje czas na jakieś tam duperele...

Nie określiłbym prowadzonych przeze mnie aktualnie spraw jako duperele, ale milczałem dyplomatycznie. Nie mam zwyczaju spierać się z przełożonymi.

Przyjrzał mi się uważnie, zaciągnął się dymem i burknął:

- Zreferujcie, co macie na warsztacie, kapitanie.

To, że przestał mnie tykać, co było jego nigdy przez nas nie kwestionowanym przywilejem, a przeszedł na urzędowe „wy”, było jeszcze jednym dowodem, że ma coś rzeczywiście poważnego na wątrobie.

Zwięźle wymieniłem sprawy, którymi się na bieżąco zajmowałem.

Skrzywił się niemiłosiernie, odłożył fajkę i powiedział:

- No właśnie! Jest tak, jak myślałem, nie macie niczego poważnego do roboty, trzeba cię, synu, dociążyć...

Tego się właśnie spodziewałem od początku, choć prawdę powiedziawszy, roboty miałem pełne ręce i jego ocena sytuacji była jawnie niesprawiedliwa. Spokojnie czekałem na dalszy ciąg.

- Widzisz, nie mam kim pracować... Kościelskiemu zachciało się chorować, ot co! Musicie się podzielić jego robotą...

100

101

Kapitan Kościelski pokwękiwał od dawna. Od kilku lat narzekał na wątrobę. Grymasił w stołówce, łykał raphacholin i zanudzał kolegów opowiadaniem o zaletach najrozmaitszych mieszanek ziołowych, które parzył na maszynie elektrycznej w swoim pokoju.

Przyzwyczajaliśmy się do tego i nikt specjalnie nie zwracał uwagi na jego biadolenie. W ubiegłym tygodniu dostał nagle gwałtownego ataku bólu. Pamiętam, jak go odwoziło wezwane pogotowie. Miał

szarą, spotniałą twarz i nieprzytomne oczy. Kiedy niesiono go na noszach szerokim, długim korytarzem Komendy Stołecznej, wychodziłem właśnie z pokoju i miałem możliwość przyjrzeć się tej żalostnej \ rocesji. W trzy dni później usłyszałem w stołówce, że Kościelskiemu wycięto woreczek żółciowy. Czekало go długie szpitalne leżenie i nie mniej długi okres rekonwalescencji.

. A więc chodziło o spadek po Kościelskim. Choroba oficera śledczego nie może zahamować dochodzeń, które prowadził. Nie lubię obejmować spraw, którymi nie zajmowałem się od początku, ale co było robić... Protesty nie wchodziły w ogóle w rachubę. Kiedy opuszczałem gabinet starego, niosłem pod pachą teczkę z aktami dotyczącymi zabójstwa Pawła Kosiorka. Stary utrzymywał, że śledztwo jest już właściwie prawie skończone i chodzi tylko o niewielkie, niejako kosmetyczne uzupełnienia, które pozwolą sprawę ostatecznie zamknąć i materiały przekazać prokuraturze...

Odłożyłem na bok dotychczas prowadzone dochodzenie i zabrałem się do studiowania teczki odziedziczonej po Kościelskim. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ocena pułkownika jest trafna. Wina podejrzanego nie budziła wątpliwości. Zebrany materiał dowodowy w sposób niedwuznaczny podważał wiarygodność jego fantastycznych opowieści. Na narzędziu zbrodni znaleziono bardzo wyraźne odciski palców Roberta Cyprysia-

102

ka, co wraz z zeznaniami żony denata i innych świadków stanowiło wystarczającą podstawę do rozesłania za nim listów gończych. Kiedy w dniu piątego lutego poszukiwany został ujęty, poszlaki zagaściły się jeszcze. Zatrzymany miał na sobie ubranie zabitego, a w kieszeni marynarki pieniądze, które pochodziły z sejfu w domu Kosiorka. Co do tego nie było wątpliwości. Były to nowe banknoty tysiącłotowe o kolejnej numeracji. Na kilka dni przed śmiercią Paweł Kosiorek podjął z banku osiemdziesiąt tysięcy. Numery banknotów zostały odnotowane. Znalezione przy Cyprysiu pieniądze nosiły właśnie tę numerację... W dodatku zatrzymany był także w posiadaniu złotych przedmiotów, które żona denata rozpoznała natychmiast jako swoją własność... Inny świadek rozpoznanie to potwierdził... Na ubraniu zatrzymanego nie znaleziono nawet najdrobniejszych śladów krwi, ale to w niczym nie poprawiało jego sytuacji. Z zeznań Kosiorkowej wynikało, że gdy w niedzielę rano opuszczała dom,

pozostawiając męża sam na sam z Cyprysiakiem, sekretarz spał w swoim pokoju i był prawdopodobnie tylko w bieliźnie. Jego ubranie, pomięte i mokre, leżało w łazience. Czysty i suchy garnitur Kosiorka musiał założyć na siebie już po dokonaniu zabójstwa. Kosiorkowa zeznała, że garnitur ten wisiał zawsze w szafie w pokoju sypialnym... Śladów krwi nie było również na bieliźnie Cyprysiaka, ale to także o niczym nie świadczyło. Zarówno koszula, jak i trykotki, które miał na sobie, gdy go zatrzymano, były prawie nowe i robiły wrażenie, że kupiono je dopiero przed kilku dniami...

Przestudiowałem bardzo uważnie wszystkie zeznania, zaznajomiłem się z dokumentacją, przeczytałem wyniki ekspertyz. Wszystko było jasne. Przerazająco jasne. Pętla wokół szyi Roberta Cyprysiaka zaciskała się pewnie i systematycznie. Pomyślałem, że gdyby przyszło mi go

103

oskarżać na rozprawie, nie zawahałbym się żądać kary śmierci.

Cyprysiak był głęboko zdemoralizowanym recydywistą. Niewątpliwy sutener, karany dwukrotnie za kradzież i rabunek, nie skorzystał z szansy normalnego życia i popełnił trzecie przestępstwo, szczególnie odrażające. | Dokonał ohydneho, brutalnego zabójstwa rabunkowego | na człowieku, który go w swojej naiwności przygarnął, | przyjął pod dach i ofiarował możliwość lekkiej, dobrze płatnej pracy...

Wiedziałem, że na miejscu prokuratora! nie wahałbym się żądać kary śmierci, i jednocześnie, nie wiem po raz który w życiu, poczułem ulgę, że nie jestem prokuratorem. Jest jednak zasadnicza różnica między teoretycznym stwierdzeniem, że ktoś jest absolutnie zdemoralizowany, nie rokuje najmniejszych nadziei na reedukację i winien być ze społeczeństwa wyeliminowany, a publicznym domaganiem się, by go w majestacie prawą powieszono... ' Kiedy po kilku godzinach zamykałem teczkę, którą w spadku po Kościelskim zostałem obdarowany, byłem święcie przekonany, że sprawę właściwie mam już z głowy... Mogło być znacznie g»rzej, gdybym otrzymał „do wykończenia” jakieś dopiero co rozpoczęte śledztwo, w którym jeszcze właściwie niczego nie wiadomo...

Zaparzyłem sobie herbaty i zacząłem się zastanawiać, co pozostało do zrobienia, zanim uznam, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

W oczy rzucała się tylko jedna luka. Nie mieliśmy pojęcia, co robił Cyprysiak od momentu popełnienia zabójstwa do czasu aresztowania. Warto było to wyjaśnić. Oczywiście nie miało to najmniejszego znaczenia dla zasadniczej oceny jego winy czy niewinności, ale istniała przecież możliwość, ba, nawet duże prawdopodobieństwo, że w okresie ukrywania się mógł jeszcze coś zmalować, za co również powinien ponieść odpowiedzialność.

104

Poza tym całe zagadnienie miało jeszcze inny aspekt. List gończy za Cyprysiakiem rozpisano dwadzieścia cztery godziny po wykryciu zabójstwa. Fizjonomię poszukiwanego pokazano następnego dnia w telewizji, a mimo to dp piątego lutego przebywał na wolności. Było pewne, że w lesie nie mieszkał. Było mroźno, bardzo mroźno i Cyprysiak musiał znaleźć jakieś schronienie pod dachem. Ktoś go żywił i ukrywał. Udzielanie jakiegokolwiek pomocy osobie poszukiwanej przez organa ścigania jest poważnym przestępstwem, pociągającym za sobą konsekwencje karne. Istniały wszelkie przesłanki, że jakieś osoby przestępstwo to popełniły i powinny ponieść za to odpowiedzialność.

Pomyślałem, że trzeba spróbować porządnie przydusić Cyprysiaka, żeby jednak złożył w tej kwestii jakieś[^]-wy-jaśnienia. Oczywiście istniały tteż możliwości podjęcia próby odszukania ludzi, którzy ukrywali zabójcę, drogą operacyjną... Z góry jednak wiedziałem, że nie rokuje to zbyt wielkich nadziei. Ci, którzy się tym zajmą, mają na głowie setki bieżących, nie cierpiących zwłoki zadań i w ustalenie tego^{O'}, co robił i gdzie podziewał się Cyprysiak między dwudziestym drugim stycznia a piątym lutego, nie włożą zbyt wiele wysiłku. Nie powiedzą tego otwarcie, ale myśleć będą mniej więcej tak: „Facet siedzi już pod kluczem i to jest najważniejsze. Nie zwracajcie więc nam głowy głupstwami. Mamy co innego do roboty”. I w gruncie rzeczy będą mieli rację. Sprawy bieżące są dla nich stokroć ważniejsze i im przede wszystkim poświęcać będą swój czas i wysiłki. Po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że nie będzie wielkiego nieszczęścia, jeżeli ludzie, którzy przez dwa tygodnie udzielali pomocy ściganemu przestępcy, na razie nie będą ujawnieni. Co się odwlecze, to nie uciecze. Są to z pewnością osoby z marginesu społecznego, i wcześniej czy później znajdą się w orbicie naszych

105

zainteresowań, a wtedy, być może, wypłynie także i sprawa udzielania pomocy Cyprysiakowi...

Pozornie przypadkowe rozwiązania zaległych zagadek zdarzają się niezwykle często. Cały zresztą system naszej pracy ustawiony jest właśnie w taki sposób, że tego rodzaju przypadki stają się w nim niejako regułą. Iluż to sprawców najrozmaitszych przestępstw i wykroczeń, o istnieniu których milicja początkowo nie miała nawet pojęcia, powędrowało jednak na salę sądową niejako w „ubocznym rezultacie” legitymowania osób zachowujących się podejrzanie lub penetracji podejrzanych środowisk...

Rozgrzeszywszy się tym rozumowaniem, zdecydowałem, że nie będę specjalnie naciskał na operacyjne rozpracowanie losów Cyprysiaka w ciągu tych dwóch „ciemnych” tygodni. Oczywiście postaram się, by coś w tym względzie robiono, ale brak pozytywnych wyników nie powinien przeszkodzić w zamknięciu śledztwa. Odniosłem wrażenie, że mój poprzednik także uważał sprawę za zakończoną. Z akt wynikało, że ostatnia czynność, jakiej dokonano w dotychczasowym toku śledztwa, zdarzyła się na dobre kilka dni przed nagłym zasłabnięciem Kościelskiego. Potem w sprawie zabójstwa Pawła Kosiora nic się już nie działo. Z kilku odręcznych, mało czytelnych, nabazgranych przez Kościelskiego notatek wynikało najwyraźniej, że zabierał się do napisania sprawozdania. Nie zdążył już tego zrobić. Zachorował.

Pomyślałem, że nic właściwie nie stoi na przeszkodzie, abym podjął robotę akurat w tym miejscu, w którym Kościelski ją przerwał. Po kilkugodzinnym wertowaniu akt wiedziałem, że jestem w stanie przystąpić do pisania sprawozdania, a jednocześnie poczułem, że tego nie zrobię. Milicyjne dochodzenie to nie papierkowa robota biurokratów. W milicyjnym dochodzeniu za papierkami kryją się żywi ludzie, ich tragedie, porażki i nieszczęścia.

Ludzkie sprawy nie można załatwiać zaocznie. Wiedziałem, że muszę chcąc nie chcąc zobaczyć ludzi, których nazwiska znam z protokołów, notatek służbowych i wyników specjalistycznych ekspertyz. Muszę wysłuchać, co mają do powiedzenia, muszę im się przyjrzeć.

Oczywiście nie spodziewałem się, abym spostrzegł coś, co przeoczył mój poprzednik. Kościelski był doskonałym fachowcem, można było zaufać jego ocenom i osiągniętych przez niego wynikom...

Ale i on się nie spieszył z zamknięciem śledztwa... Doskonale domyślałem się, co mu przeszkadzało. Podejrzany nie przyznawał się do winy... Przypierany do muru miażdżącą wymową dowodów, wywijał się jak piskorz i z uporem obstawał przy swoich fantastycznych, sprzecznych z logiką i faktami zeznaniach. To znaczy przy kolejnych wersjach tych zeznań. Przez kilka dni po aresztowaniu gorąco zaprzeczał nie tylko temu, że miał jakikolwiek związek ze śmiercią ogrodnika, ale również faktowi, że znał badylarza. Przysięgał, że nigdy w życiu nie widział żadnego Pawła Kosiorka i w ogóle po raz pierwszy słyszy to nazwisko. Kościelski przedstawił mu wyniki ekspertyz daktyloskopijnych. W domu Pawła Kosiorka aż się roziło od odcisków wszystkich dziesięciu palców Roberta Cyprysiaka. Zdjęto je z poręczy krzeseł, z butelek, kieliszków, z sejfu w gabinecie zamordowanego. Były na kluczu od drzwiczek tego sejfu, a także na znalezionym obok zwłok denata narzędziu zbrodni. To, że stalowy, ostro zakończony pręt, na którym znaleziono wyraźne ślady linii papilarnych palców prawej ręki podejrzanego, był właśnie narzędziem zbrodni, ustaliła bez najmniejszych wątpliwości ekspertyza. Skonfrontowany z dowodami Cyprysiak zaprzeczał z uporem. Krzyczał, że chcemy go zrobić w mokrą robotę, a potem zaprzestał zeznawać. Przemówił dopiero po kilku dniach. Diametralnie

106

107

zmienił zeznania. Przyznał się do zabójstwa, ale utrzymywał, że było ono wynikiem przypadku. Opowiedział fantastyczną i romantyczną zarazem historię, w której wielką rolę odgrywała żona Pawła Kosiorka, przedstawiona jako demoniczna uwodzicielka i współniczka pomagająca usunąć ślady nieumyślnego zabójstwa... W tej . wersji zeznań znalazło się także miejsce na wyjaśnienie posiadania przez podejrzanego pieniędzy i ubrania zamordowanego. Zeznanie skonstruowane było bardzo zręcznie. Było logiczne, spójne i miało pozory prawdopodobieństwa. X Podstawową słabością tej nowej, i jak dotąd ostatecznej, wersji zeznań była jej rażąca sprzeczność z pewnymi ustalonymi ponad wszelką wątpliwość faktami. Kościel-ski wykazał podejrzanemu te sprzeczności. Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Cyprysiak zapał się jak muł i wbrew wszelkiej oczywistości powtarzał swoje... Przesłuchiwany jeszcze dwukrotnie, zmieniał niektóre szczegóły

wyjaśnień, wprowadzał do nich drobne retusze, ale twardo obstawał przy ich zasadniczym zrębie... Każde z przesłuchań kończył dramatycznym okrzykiem: „Jestem niewinny!”

Podejrzany wcale nie musi przyznawać się do winy. Może zaprzeczać, kluczyć, łąć na potęgę. Czasy, w których przyznanie się oskarżonemu raktowano jako dowód podstawowy, niejako koronny, należą do przeszłości... Na ogół jednak ludzie, którym przedstawia się dowody nieodparcie świadczące o ich winie, decydują się na przyznanie.' Zmieniają wtedy taktykę obrony. Nie zaprzeczając oczywistości, koncentrują swe wysiłki na wyszukiwaniu okoliczności łagodzących. Zdarzają się jednak czasem i tacy, którzy nie zwracając uwagi na logikę i własny interes, do końca zaprzeczają wszystkiemu... Jesteśmy do tego przyzwyczajeni i nie robi to na nas specjalnego wrażenia. Ostatecznie liczą się fakty... A jed-

108

nak... A jednak Kościelski w ciągu ostatniego tygodnia swojej pracy nie zdecydował się na sporządzenie pisemnego sprawozdania ani też i wniosku o zamknięcie śledztwa.

Również ja nie musiałem się tak bardzo spieszyć. Podniosłem słuchawkę telefonu. Przeprowadziłem krótką rozmowę, w wyniku której w dniu następnym o godzinie dziewiątej rano wprowadzono do mojego służbowego pokoju Roberta Cyprysiaka. Konwojent zdjął mu kajdanki, Cyprysiak uśmiechnął się blado i zapytał, czy może usiąść. Wskazałem mu krzeselko. Milczeliśmy przez długą chwilę.

Obserwowałem go uważnie. Nie sprawiał dobrego wrażenia. Tu trzeba zaznaczyć, że ludzie sprowadzeni z aresztu z zasady nie wywierają dobrego wrażenia. Warunki, w jakich się znaleźli, odbijają się na ich wyglądzie i zachowaniu. Są zdenerwowani, wystraszeni, pełni wewnętrznego napięcia, a ich ubrania, nawet czasem zupełnie nowe, noszą wyraźne ślady sfatygowania.

W wyglądzie Cyprysiaka było jednak jeszcze coś, co znacznie bardziej zwracało uwagę niż te niejako normalne cechy charakteryzujące aresztanta. Miał nieprzyjem.-ne, lisie, rozbiegane spojrzenie, a ironiczne wykrzywienie warg było wręcz odpychające. Poczułem ogarniającą mnie falę niechęci. Oczywiście nie było mi wolno sugerować się wyglądem podejrzanego. W naszej pracy w żadnym wypadku nie można kierować się odruchowymi sympatiami

czy antypatiami, ale człowiek jest, niestety, tylko człowiekiem. Pomyślałem, że ten młody osobnik sprawia wrażenie zdolnego do dokonania każdej podłości, każdej zbrodni.

Milczenie przerwał on. Uśmiechnął się bezczelnie i powiedział:

- Pana kapitana to jeszcze nie znam. Dotychczas rozmawiałem z innym oficerem...

109

- Od dziś będziecie rozmawiać ze mną... - stwierdziłem sucho.

. - Mam nadzieję - uśmiechnął się jeszcze bezczelniej - że będzie się nam dobrze współpracowało... Ja od początku staram się pomóc władzom. Taki już jestem...

Uśmiech nie zmywał się z jego twarzy, a rozbiegane oczy penetrowały pospiesznie wszystkie kąty pokoju.

- Waszych dotychczasowych wyjaśnień, Cyprysiak - uderzyłem mocno otwartą dłonią w leżącą na biurku teczkę z aktami - nie można zakwalifikować jako próby pomocy. Łżecie jak z nut!

- Panie kapitanie! - w głosie Cyprysiaka zabrzmiał ton urażonej godności. - Pan kapitan też mi nie wierzy...

- Nie można wierzyć w oczywiste brednie...

- Kiedy ja mówię prawdę...

- Nie macie zamiaru zmienić swoich zeznań?

- Ani o włos,

- No to opowiedzcie mi wszystko jeszcze raz. Od samego początku. Dotychczas znam te wasze bajeczki z lektury, posłucham, jak zalewacie na żywo...

Drgnął, jakby go ukłuto szpilką w siedzenie, a w złym spojrzeniu, jakim mnie obrzucił, był ocean wściekłości. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, co go tak ubodło. Przypomniałem sobie zeznania Reginy Biel i to, że w pewnych kręgach Cyprysiak znany jest pod niezbyt zaszczytnym mianem Zalewajki...

- Co wam się stało?

- Nic. Mogę zeznawać...

- Zeznawajcie... - włączyłem magnetofon.

Nie powiedział nic nowego. Nawet z drobnymi szczegółami powtórzył dokładnie to, co miałem już zanotowane w protokołach. Kiedy mówił, zapalał się, choć jednocześnie widać było, że wkłada wiele świadomego wysiłku w takie formułowanie swych wypowiedzi, by wypadały możliwie przekonująco. Nawet w tych momentach,

kiedy głos drżał mu ze wzruszenia, gdy pozornie „otwierał się”, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gra, że wszystko to jest starannie przygotowanym spektaklem. Wrażenie to pogłębiły jeszcze badawcze spojrzenia, którymi z zachłanną łapczywością kontrolował efekty swojego występu. A kiedy skończył dramatycznym okrzykiem: „Jestem niewinny!”, w który włożył cały swój kunszt domorosłego aktora, nie potrafiłem znaleźć w sobie nawet iskierki współczucia dla tego człowieka.

- Skończyliście?

- Skończyłem...

- Ładnie to nawet opowiedzieliście, Cyprysiak. W tym sęk, że fakty nie zgadzają się z waszą opowieścią...

- Niemożliwe. Powiedziałem prawdę...

- Niemożliwe? No to posłuchajcie. Jesteście inteligentnym człowiekiem i powinniście zrozumieć, że nie warto kłamać...

Powiedzieliście na przykład, że Kosiorka uderzyliście pięścią, tymczasem człowiek ten zginął od ciosów zadanych metalowym prętem...

- Uderzyłem go pięścią. Nie miałem żadnego pręta. Zaskoczył nas w łóżku...

- To skąd na tym pręcie odciski waszych palców?

- Przedtem dotykałem tego szpikulca. Zużywałem nim w piecu centralnego ogrzewania.

- I zabraliście go ze sobą na górę?

- Nigdzie nie zabierałem. Zostawiłem w piwnicy, przy piecu...

- Ale przecież ekspertyza wykazała, że właśnie tym prętem dokonano zabójstwa...

- Uderzyłem go pięścią trzy razy... Upadł i potem okazało się, że umarł...-

- To wy tak twierdzicie. W rzeczywistości było inaczej. A teraz inna sprawa... Powiadacie, że Kosiorkowa wywiozła trupa, jak więc wytłumaczycie, że zwłoki Kosiorka znaleźliśmy jednak w jego domu?

- Nie wiem... Może go przywiozła z powrotem, potem, jak już stamtąd wybyłem...

- Po co?

- Nie wiem... Pewnie po to, żeby mnie zrobić... To cholerna dziwka, panie kapitanie...

- Na wszystko znajdujecie odpowiedź, jednego natomiast z pewnością mi nie wytłumaczycie... Powiedzcie, kiedy zabiliście Kosiorka. Kiedy to było?

- W nocy z soboty na niedzielę. Na zegarek nie patrzyłem... byłem za bardzo zdenerwowany... Zaskoczył nas z Kosiorkową w łóżku. Potem była bójka... Uderzyłem go i on upadł. To był wypadek.

- A potem wałęsaliście się nocą po lasku i raniem dotarliście na Bemowo?

- Tak było...

- To w takim razie wytłumaczcie mi jedno. Jak to się stało, że człowiek, którego zabiliście w nocy, raniem wysiadł na dworcu Centralnym, złapał taksówkę i kazał się zawieźć do swojego do'mu? Znaleźliśmy taksjarza, który go przywiózł. Odszukaliśmy ludzi, którzy razem z nim spędzili noc z soboty na niedzielę w przedziale pociągu pospiesznego... Wszyscy rozpoznali denata. Tu mamy ich zeznania... - wskazałem na teczkę z aktami. - Nie rozumiem, dlaczego upieracie się przy absurdalnych opowiastkach. Co to wam da? Czego się spodziewacie?

Opuścił głowę, a jego spojrzenie powędrowało gdzieś pod moje biurko. Na bladej, źle ogolonej twarzy pojawiły się maleńkie kropelki potu.

- Powiedziałem prawdę... Źle się czuję. Głowa mnie boli.

Nie ustępowałem:

- Cyprysiak, zastanówcie się nad swoją sytuacją. Radzę wam dobrze. Przecież swoimi bajeczkami pleciecie postronek na własną szyję. Wasza jedyna szansa to wyznać prawdę. Może znajdą się wtedy jakieś okoliczności

łagodzące... Szczera skrucha i tak dalej... Inaczej kiepsko będzie. Jesteście recydywa, przewiduję krawat.

Podniósł głowę i w grymasie wściekłości odsłonił młode, lśniące zęby. W jego wzroku był mord.

- Panu nie wolno mnie straszyć! To jest wbrew przepisom! Złożę skargę prokuratorowi!

Wzruszyłem ramionami. Teoretycznie to nawet miał i rację. Ale wcale nie zamierzałem go straszyć, chciałem tylko możliwie plastycznie

przedstawić mu beznadziejność jego uporu przy ewidentnych kłamstwach...

- Składajcie, jeżeli macie na to ochotę... Chcecie jeszcze coś dodać do swoich zeznań, może coś w nich zmienić?

Fala wściekłości, która go przed chwilą ogarnęła, przeminęła gdzieś bez śladu. Przymknął oczy i opuścił głowę, potem zwilżył koniuszkiem języka spierzchnięte wargi. Nie odpowiadał. ^

- No - przynagliłem - zastanówcie się...

- Głowa mnie boli... Jestem zmęczony...

- Jak więc będzie? Chcecie coś sprostować?...

- Nie... Dzisiaj nie... Muszę się zastanowić... Głowa mnie boli... Jak byłem małym, miałem wypadek...

- Nie wiem, czy będziecie jeszcze mieli czas na zastanawianie się - rąbnąłem twardo. - Mam zamiar skończyć śledztwo. Być może, że już się więcej nie zobaczymy...

- Jestem chory... bardzo chory - wyjąkał żałośnie.

- Nie strójcie komedii - zdenerwowałem się - jesteście zdrowi jak byk! Mieliście szansę powiedzieć prawdę! Nie skorzystaliście. Wasze prawo. Jeśli o mnie chodzi, jest mi zupełnie obojętne, co zeznajecie. Nie ja, ale sąd będzie was, Cyprysiak, oceniał...

- Jestem niewinny... Nie chciałem go zabić...

Wezwałem konwojenta i poleciłem odprowadzić podejrzanego. No, mam to już z głowy - pomyślałem i poczułem ulgę, że przesłuchanie zostało zakończone. Obco-

112

8 - Jestem niewinny

113

wanie z Cyprysakiem nie należało do największych przyjemności.

Facet stanowczo nie wzbudzał cieplejszych uczuć. N>

W czasie swoich kontaktów z podejrzanymi staram się panować nad emocjami, ale podejrzanym jest przecież żywym człowiekiem i fakt ten powoduje, że chcą czy nie nawiązuje się między nami jakiś kontakt psychiczny. Uczucia podejrzanego są z reguły jednoznaczne.

Zrozumiałe, że nie może żywić do mnie specjalnej sympatii, nawet gdy jest niewinny. Zwłaszcza wtedy.

Mój stosunek emocjonalny do podejrzanych kształtuje się dość rozmaicie... Przypominam sobie sprawę pewnego zabójcy seksualnego. Zgwałcił i w okrutny sposób zamordował sześciolletnią

dziewczynkę. Uczestniczyłem w sprawie od samego początku. Widziałem rozpacz rodziców. Widziałem ofiarę zbrodni. Nigdy tego nie zapomnę, czasem śni mi się to po nocach... Nienawidziłem sprawcy. Kiedy myślałem o nim, nie czułem nic prócz nienawiści. Zimnej i zajadłej. Po dziesięciu dniach żmudne śledztwo doprowadziło do ujęcia przestępcy. I oto miałem go w swoim pokoju. Siedział na krześle naprzeciwko mojego biurka. Akiedy skończyło się wielogodzinne przesłuchanie, nie czułem już nienawiści... Sadystyczny wampir okazał się głęboko nieszczęśliwym, zastraszoną człowiekiem, gnębionym przez jakieś straszliwe, trudne do wyobrażenia obsesje i lęki... Kogo miałem nienawidzić? Tego zrozpaczonego, chorego człowieka? Nie chciałbym być sędzią w jego sprawie...

Nic takiego nie zaszło po pierwszej rozmowie z Cyprysiakiem. Ten śliski, ociekający fałszem facet budził żywiołową niechęć. Jego tupet, aktorski sposób mówienia, komediancka symulacja jakiejś tajemniczej choroby, wszystko to nie mogło wywołać współczucia. I te bezczelne, sprzeczne z oczywistością kłamstwa, ten bezmyślny,

114
samobójczy upór. Co on sobie właściwie wyobraża? Co zamierza zwojować? Przecież to cholernie sprytny facet, z nie byle jakim kryminalnym doświadczeniem...

Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na te pytania. Postanowiłem, że nie będę się nad nimi zastanawiał. Jeżeli Cyprysiak chce koniecznie własnymi rękami pomóc wykopać dla siebie grób, to ostatecznie jego prywatna sprawa.

Pragnąłem możliwie szybko wystąpić do szefa z wnioskiem o zamknięcie milicyjnego śledztwa w sprawie zabójstwa Pawła Kosiora. Aby zrobić to z czystym sumieniem, potrzebowałem przeprowadzić jeszcze kilka rozmów z najważniejszymi świadkami. Powinno zająć mi to mniej więcej dwa, trzy dni.

Zacząłem od wizyty u żony denata. Nie chciałem jej fatygować wezwaniem do komendy, a zresztą przy sposobności miałem zamiar przyjrzeć się miejscu zbrodni, które znałem dotychczas tylko z zeznań, szkiców sytuacyjnych i fotografii.

Pani Krystyna Kosiorowa przyjęła mnie bez entuzj-; jazmu. Była przybita i solidnie wymęczona swoimi prze-

^ zyciami. Nie bardzo mogła zrozumieć, czego jeszcze od niej chce. Składała już zeznania tyle razy, a sprawca od \ kilku tygodni znajdował się w areszcie. i Wyjaśniłem, że przejąłem śledztwo i muszę ją, niestety,

I niepokoić. Przyjęła to do wiadomości. Opowiedziała o tym, co .się wydarzyło... Nie było w tym żadnych rewelacji, nic, czego bym nie znał z jej zeznań zanotowa-, nych na piśmie. Mówiła spokojnie, bez egzaltacji, ale l widać było, że wkłada wiele wysiłku w panowanie nad sobą. Było mi naprawdę przykro, że zmuszony jestem zakłócać spokój tej ciężko doświadczonej przez los kobiety. Potem poprosiłem o pozwolenie rozejrzenia się po domu. Zgodziła się bez oporów. Oprowadziła mnie po 'mieszkaniu i pokazała wszystko, na co miałem ochotę.

115

Byłem rozczarowany. Z sugestywnej opowieści Cypry-siaka wynikało, że znajdę się w luksusowej rezydencji milionera swojskiego chowu. Rzeczywistość była znacznie mniej efektowna. Wnętrze domu było zamożne, ale bez żadnych ekstrawagancji. Kominiek był, ale wcale nie z marmuru, tylko z cegieł wykładanych jakimiś ceramicznymi płytkami. Leżące przed nim białe futro okazało się dość sfatygowaną kozią skórą. Boazerię spostrzegłem tylko w przedpokoju. Owa kolekcja obrazów, rozwieszona rzekomo na wszystkich ścianach, sprowadzała się do kilku kolorowych reprodukcji w standardowych oprawach, również zdobiące gabinet erotyczne, jakoby osiemnastowieczne miedzioryty, których treść Cypry -siak tak dokładnie opisał, także były reprodukcjami, w dodatku wyciętymi z jakiegoś czasopisma...

Jakże byłem naiwny oczekując nadzwyczajności! Przecież doskonale wiedziałem, że facet jest beczelnym kłamcą... Jeżeli łągał w tak monstualny sposób w sprawach zasadniczych, to jakże mogłem spodziewać się, że choć trochę nie rozminie się z prawdą, gdy chodzi o drobiazgi?!

Nie we wszystkich zresztą szczegółach rozbieżności były tak rażące. Na przykład bibliotekę i jej zawartość opisał Cyprysiak mniej więcej wiernie. Spostrzegłem i podręczniki ogrodnicze, i niczym nie skalane, jakby zupełnie nowe wydania klasyków, a także nawet ową powieść kryminalną o zabójstwie świętego Mikołaja.

Wiernie także opisane zostały w zeznaniach Cyprysia-ka gromadzone przez Kosiorka materiały dokumentujące historię ogrodniczej rodziny. Spostrzegłem zieloną tekturową teczkę zawierającą fotografie, a także inne, pełne wszelkiego rodzaju papierzysk oraz listów i kart pocztowych. Był tam też zbiór wypisów z prasy warszawskiej - wynik pracy poprzednika Cyprysiaka na stanowisku sekretarza pana Kosiorka... Nie brakowało nawet

116

owego słynnego drzewa genealogicznego, którego Cyprysiak podobno poszukiwał bezskutecznie, a które ostatecznie miał znaleźć we wnętrzu sejfu, już po śmierci swego chlebodawcy. Był to dość prymitywny wykres, wyglądający mniej więcej tak, jak go podejrzany opisał. Patrząc nań przypomniałem sobie, że zgodnie z protokołem oględzin miejsca przestępstwa wykres ten został znaleziony na podłodze, tuż pod otwartym sejfem. Były na nim odciski linii papilarnych Cyprysiaka... W tym wypadku podejrzany mówił prawdopodobnie prawdę. Zapewne musiał wyrzucić ten papier, kiedy opróżniał zawartość sejfu...

Korzystając ze sposobności porozmawiałem także z gospożą Kosiorków. Potem przeprosiłem panią Kosiorkową raz jeszcze za sprawiony kłopot, pożegnałem Me i wyszedłem.

Nie fatygowałem się odwiedzaniem innych świadków. Zdecydowałem się wezwać ich do komendy. Sprawa zabójstwa Pawła Kosiorka nie była jedyną, jaką prowadziłem. Nie miałem czasu, ochoty ani potrzeby uganiać się po mieście w poszukiwaniu ludzi, z którymi chciałem pogadać.

Świadkowie zjawili się w moim pokoju w ciągu dwóch następnych dni. Ich zeznania były powtórzeniem tego, co już znałem z protokołów. Może tylko jedna Raczyńska położyła większy niż przy okazji uprzednich zeznań nacisk na historię przypadkowego spotkania z poszukiwanym Cyprysiakiem. W jej nowej relacji ten błahy • epizod urósł do wymiaru mrożącego krew w żyłach dramatu, przypominającego sceny z amerykańskich dreszczowców... Uzyskana przez milicję dzięki temu wydarzeniu informacja, że Cyprysiak jest w Warszawie, nie zdążyła wówczas zaowocować. Podjęto wprawdzie intensywne poszukiwania, ale już następnego dnia u Kościelskiego zjawiała się wystraszona prostytutka Regina

117

Biel, która, jak się to mówi, podała nam swego kochanka na talerzu... Przy okazji rozmów ze świadkami w sprawie zabójstwa Pawła Kosiora usłyszałem kilka impertynencji od młodego, dobrze zapowiadającego się wieszacza i przy-grożono mi koneksjami w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych męża jednego ze świadków. Specjalnie się tym nie przejąłem. Świadców jak świadków. Długoletnia praktyka uodporniła mnie idealnie.

Trzeciego dnia skonstatowałem, że do ostatecznego zakończenia śledztwa przeciwko Robertowi Cyprysiakowi brakuje mi tylko informacji o tym, co się z nim działo w okresie, gdy był poszukiwany. Zamknąłem swój pokój i zszedłem na pierwsze piętro, by wypytać kolegów, którym zlecono te ustalenia.

Byłem pełen pesymizmu co do ostatecznych rezultatów ich poszukiwań. Miałem świętą rację. Jak się okazało, dzielnicowi (przypomniałem im o tej sprawie) nie mieli nic nowego do zameldowania, a wywiadowca, któremu zlecono przeprowadzenie dyskretnej rozpoznania w środowisku przestępczym, także nie wpadł na żaden ślad. „Zmarnowałem na tę robótkę dwa dzionki, kapitanie, ale nikt nic nie wie...” - skarżył się.

Potem okazało się, że wywiadowca ten wykonywał jednocześnie zupełnie inne zadania, z których wywiązał się znakomicie. Moje zlecenie dołożono mu na zasadzie „sprzedaży wiązanej” i z pewnością traktował je jako dopust losu i zawracanie głowy... Dał temu zresztą wyraz w końcowej, filozoficznej uwadze: „Niech się obywatel kapitan tak za bardzo nie przejmuje... Ostatecznie ten Cyprysiak siedzi już u nas, no nie?”

Wróciłem do swego pokoju przekonany, że zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Można było uznać, że zgromadzono kompletny materiał dowodowy, całkowicie wystarczający prokuraturze do sporządzenia aktu

118

oskarżenia przeciwko facetowi, który z takim uporem zaprzecza faktom...

Bezmyślny facet... Po prostu debil. Tak! To wbrew temu, co twierdzi Zdzisiek, współpracujący z nami psychiatra, z pewnością osobnik o ograniczonej inteligencji. Na co liczy? Przecież jego kłamstwa są tak ewidentne... Kłamię nawet w drobiazgach i łgarstwa te łatwo

przygwoździć... Trzeba pisać sprawozdanie ze śledztwa.

Postanowiłem zrobić to jutro rano...

Nie napisałem. Zdecydowałem się na coś innego. Zarządziłem konfrontację między Kosiorkową a Cyprysia-kiem. Wypadła dla niego niedobrze. Wprawdzie powtarzał swoje z maniackim uporem, ale widok Kosiorkowej bardzo go zmieszał i wyprowadził z równowagi. Za to ona zachowała się wspaniale. Gdy po chwili zrozumiała, jaką wersję wydarzeń przedstawia Cyprysiak, widać było, że jest wyraźnie wstrząśnięta i oburzona. Jej wymęczona twarz pobladła, a głos nabrał głuchych, nieprzyjemnych tonów. Ale do końca zachowała spokój i opanowanie. Zeznawała jasno i precyzyjnie. Oszczędziła mi dramatycznych okrzyków i hysterii. Rozpłakała się dopiero wtedy, gdy już Cyprysiaka wyprowadzono.

- Mógł mi pan tego oszczędzić... - powiedziała cicho, wycierając oczy chusteczką. - Przecież nie uwierzył pan w to, co mówi ten człowiek... Przecież to takie wstrętne... ohydne... Boże! Jak ten człowiek mógł coś takiego wymyślić... - Znowu zaczęła płakać...

Uspokajałem ją, jak umiałem, i tłumaczyłem, że konfrontacja była po prostu koniecznością. Przyrzekałem, że postaramy się już więcej jej nie niepokoić. Czułem się wyjątkowo głupio.

Następnego dnia stary wezwał mnie do siebie.

- No i jak tam, synu? - zagadnął. - Uporałeś się już z tą sprawą po Kościelskim? Czas ucieka, nie można się grzebać, chcę ci dołożyć nową robotę...

119

- Śledztwo w sprawie zabójstwa Pawła Kosiorka jest już w zasadzie skończone... w zasadzie... obywatelu pułkownika...

- Co to znaczy: w zasadzie? - obruszył się mój zwierzchnik. - Albo coś jest zrobione, albo nie jest zrobione. Tak przynajmniej dotychczas u nas bywało.

- Są pewne luki. Nie można na razie ustalić, gdzie ukrywał się podejrzany w okresie, kiedy był poszukiwany.

- To niedobrze. Lubię, jak sprawy, które wychodzą od nas, są zapięte na ostatni guzik... Jak sądzicie, ile czasu potrzeba, żeby to uzupełnić?

- Trudna sprawa. Podejrzany nie puszcza na ten temat pary z gęby, a na razie nic się nie dało ustalić drogą operacyjną. Obywatel pułkownik wie, jak to jest.. Wydaje się, że nasi koledzy z operacyjnego nie uważają tego zadania za najważniejsze...

- Już ja ich podkreślę! - zdenerwował się mój szef. - Nie będą nas uczyć, co jest ważne, a co nie. Coś mi się widzi, że porozmawiam sobie z nimi tak bardziej szczerze, po bratersku... - Sapnął gniewnie i zabrał się do czyszczenia fajki. Czynność ta zaabsorbowała go tak dalece, że przez dwadzieścia sekund w gabinecie panowała martwa cisza. W końcu odłożył rozkręconą fajkę i przyjrzał mi się badawczo. Powiedział: -I to jest jedyna luka w ustaleniach?

- Wydaje się, że jedyna... tylko... No, podejrzany nie przyznaje się do winy...

- A co mówi materiał dowodowy?

- Jest jednoznaczny. Tworzy zamknięty system poszlak wskazujących na Cyprysiaka. Wszystko się zazębia. Mucha nie siada. Obywatel pułkownik zna zresztą te materiały, nic nowego nie przybyło.

- A Cyprysiak nie przyznaje się do winy?

- Właśnie...

W spojrzeniu starego było teraz zdziwienie.

- I to wam tak strasznie przeszkadza? Nie widzieliście dotąd przestępców, którzy „idą w zaparte” i nie przyznają się do niczego? Od wczoraj dopiero służycie w milicji? Co wam się stało, kapitanie? To, że w rozmowie przeszedł na „wy” świadczyło, iż zauważalny w mojej wypowiedzi ton niepewności nie bardzo mu przypadł do gustu.

- Chciałbym to wyjaśnić...

- Wyjaśniajcie. Tylko jasno i dokładnie.

- To, że Cyprysiak kłamie, jest dla mnie oczywiste. Jego bajeczki są tak sprzeczne z faktami, że nikt w nie nie może uwierzyć. Cyprysiak wie, że gra idzie o jego głowę, a mimo to trwa przy swoim z baranim uporem. Przecież mógłby wymyślić coś bardziej prawdopodobnego, jakąś historyjkę, która nie byłaby tak rażąco sprzeczna z bezspornymi ustaleniami. Stać go na to... Na pewno stać. A mimo to upiera się. Nie mogę tego zrozumieć. Co więcej, Cyprysiak zdaje sobie sprawę z kruchości swojej wersji zabójstwa. Podejmuje dość żałosne próby zasugerowania, że cierpi na jakieś bliżej nieokreślone schorzenia centralnego układu nerwowego, co ma być wynikiem urazu czaszki odniesionego w dzieciństwie. To ma być chyba jego ostatnia linia obrony... przeznaczona raczej dla sądu niż dla nas...

- No więc o co chodzi? — Szef był wyraźnie niezadowolony.

- Nie mogę zrozumieć - wyznałem bezradnie - dlaczego taki kuty na cztery nogi cwaniak woli szukać obrony w łatwiutkiej do

zdemaskowania symulacji, niż zmienić zeznania. Przecież on z dziecinną łatwością potrafiłby wymyślić dziesięć historyjek, które nie tylko byłyby prawdopodobne, ale zgadzały się z faktami ustalonymi ponad wszelką wątpliwość...

- Rozszczepiacie włos na czworo. Psychologia psy-

120

121

11 chologią, ale fakty są faktami. Nas obowiązują przede wszystkim fakty, a te, sam mówisz, świadczą przeciwko Cyprysiakowi... '

- I jeszcze coś... W zeznaniach Cyprysiaka jest jakaś niejasność, jakieś fragmenty, które budzą niepokój, coś się nie zgadza z całością.

- Nic się nie zgadza! Przecież ustaliliśmy, że o łże na potęgę!

Człowieku, zastanów się!

- To nie to, obywatelu pułkowniku... Nie o to chodzi... Odnoszę wrażenie, że on mimo woli, na marginesie powiedział coś, co się nie zgadza z tym, co już wiemy... Nie wiem dokładnie, o co chodzi... Na początku nie odnosiłem tego wrażenia, dopiero potem, jak już przesłuchałem innych świadków... Nie potrafię tego określić... i to mnie

męczy...

- Masz, babo, placek! Coś mi się widzi, że w ogóle jesteście przemęczeni nerwowo. Człowieku, przecież my tu mamy kupę roboty, konkretne zadania i konkretne obowiązki, a wy mi tu zasuwacie o jakichś nieuchwytnych wrażeniach... Delikatna panienska się znalazła, z przeczuciami... Tak nie można.

Dobrze wiedziałem, że tak nie można. Muszę wziąć się w garść i przestać się przejmować nieuchwytnymi uczuciami. Zdecydowałem się.

- Obywatelu pułkowniku! Na jutro przygotuję pisemne sprawozdanie.

- Na jutro, powiadacie? - Stary spojrział na mnie przeciągle i zabrał się do skręcania oczyszczonej już fajki. - Bardzo dobrze... Ale lepiej odłóżcie to na czterdzieści osiem godzin... Zastanówcie się jeszcze.

Lepiej dmuchać na zimne. Może i jest coś tam z tymi waszymi wrażeniami. Licho was wie, kapitanie... No, zabierajcie się do roboty! Z gabinetu szefa wyszedłem w nie najlepszym nastroju. W gruncie rzeczy miałem nadzieję, że stary rozwieje

moje niejasne wątpliwości. Tymczasem nic z tego. Moje wahania uzyskały niespodziewanie placet. Musiałem się jeszcze trochę pomęczyć. Byłem zły na starego, na siebie i przede wszystkim na Roberta Cyprysiaka. Och, jak nie cierpiałem tego człowieka! Z głęboką niechęcią wspominałem jego rozbiegane, lisie oczy, cwaniacki ton jego wypowiedzi i ten bezmyślny upór, z jakim wbrew oczywistości trzymał się swoich absurdalnych wyjaśnień.

Zanim ponownie kazałem sprowadzić go do siebie, jeszcze raz dokładnie przestudiowałem cały materiał dowodowy, przejrzałem protokoły, ekspertyzy, zdjęcia, przesłuchałem nagrane taśmy... Nie wykryłem nic, na co bym przedtem nie zwrócił uwagi, nic, co by wzbudziło moje podejrzenia, a mimo to niejasne wrażenie, że coś tu jest nie w porządku, nie znikało, ba, stawało się jeszcze silniejsze...

Pomyślałem, że gonię w piętę. Rzeczywiście chyba jestem przemęczony i wyczerpany nerwowo. Przydałby mi się urlop... Zacząłem marzyć o nasłonecznionej, jasnej plaży, o szmerku morza chlupoczącego łagodnie o na-irzeżny piasek, o szumie wiatru, wrzaskliwym pokrzykiwaniu mew kolorowych żaglówkach i ciepłych dotknięciach słońca...

Te przyjemne myśli przerwało wejście podejrzanego, przyniesionego z aresztu przez konwojenta. Popa-1 trzymał wrogo na jego beczelną gębę. Oto facet, który [jest źródłem moich niepokojów. Poczekaj, skubany -1 pomyślałem - dam ci taką szkołę, że na długo mnie i popamiętasz. Przycisnę cię tak, że się nie pozbierasz. f Cyprysiak wyczuł widać mój nastrój, bo wbrew przeciwnie-| stwie do poprzedniego razu nie pozwolił sobie na żadne i odżywki i zagadywania. Usiadł sztywno na wskazanym | krzeselku i przypatrywał mi się w napięciu. Na wet wzrok f miał mniej rozlatany, bardziej skupiony. f Strzeliłem od razu z grubej rury.

122

123

- Chciałem was zawiadomić, że my już ukończyliśmy śledztwo. Nie wiem, co zrobi prokurator, ale wydaje mi się, że i on niewiele już będzie się wami zajmował. Wkrótce staniecie przed sądem...

Nic nie odpowiedział. Jego twarz pozostała martwa.

- Macie ostatnią szansę sprostowania zeznań. Szczere przyznanie się do winy czasem liczy się przy wyroku...

- Nie będę niczego prostował, powiedziałem prawdę. Uderzyłem Kosiorka gołą pięścią trzy razy, upadł i już nie żył. Jego żona zabrała gdzieś trupa.

- Zabiliście go żelaznym prętem. I nie w sypialni, ale w jego gabinecie, i nie w nocy z soboty na niedzielę, ale w niedzielę, gdzieś między jedenastą a dwunastą. Lekarz dość precyzyjnie ustalił godzinę zejścia...

- Lekarze też się mylą...

- Nie zalewajcie, Zalewajka! Opamiętaj się, człowieku... Powiem ci, jak się to wszystko najprawdopodobniej odbyło... W sobotę po południu, korzystając z tego, że w domu Kosiorków nikogo nie było, dobrałeś się do barku i zalałeś się w trupa. Zacząłeś rozrabiać jak pijany zajaczek. Kapałeś się chyba w ubraniu, albo coś w tym rodzaju. Potem napastowałeś, gdy się zjawiała, Kosiorko-wą. Ona zamknęła się przed tobą w sypialni. Wtedy jeszcze sobie dołałeś i w końcu cię zmoгло. Ostatniej butelki już nie dopiłeś do końca. Została w pokoju, w którym spałeś. Są na niej odciski twoich palców... Spałeś twardo gdzieś do jedenastej... Nic zresztą dziwnego, wypiłeś tyle, że i byka by ścięło z nóg. Obudził cię Kosiorek. Co ci dokładnie powiedział, tego nie wiem. Z pewnością nic przyjemnego. Miał szczerzy zamiar wyrzucić cię na zbity pysk. Potem przeszliście do gabinetu. Nie wiem po co. Być może, Kosiorek chciał zobaczyć, czyś nie za bardzo narozrabiał w zgromadzonych przez niego dokumentach rodzinnych, a może był tak naiwny, że chciał ci coś zapłacić na odczepne i podszedł do sejfu...

124

Wtedy go załatwiłeś... Na twoim miejscu utrzymywałbym, że nie planowałeś tego uprzednio i po prostu uległeś nagłej pokusie. Ten pręt mógł się znajdować już w gabinecie. Niewykluczone, że przyniosłeś go na górę z piwnicy poprzedniego dnia, kiedy po pijaku wałęsałeś się po domu. Od biedy możesz się nawet upierać przy wersji, że po prostu pobiteś się wtedy z Kosiorkiem i w czasie bójki przyłożyłeś mu prętem, a dopiero potem przyszło ci do głowy, aby skorzystać z okazji i obrobić sejf... Po prostu przypomniałeś sobie, że facet nosi przy sobie klucze od niego... Osobiście sędzę, że było trochę inaczej. Widząc, że twój chlebodawca postanowił wykopsać cię z domu, w którym miałeś chęć przezimować, wpadłeś we wściekłość i zupełnie celowo zabiłeś go i obrabowałeś... Ale to już inna historia. Sąd

rozstrzygnie, jak to było. W każdym razie możesz upierać się przy tych bardziej dla ciebie wygodnych wersjach wydarzeń. W tym byłby jakiś sens, jakaś szansa na uratowanie głowy...

- Kiedy ja mówię prawdę... Tak było, jak powiedziałem...

Ręce mi opadły. Bezmyślność tego faceta przekraczała wszelkie granice... Choć nie powinienem tego robić, podsunąłem mu całkiem prawdopodobną i stosunkowo dla niego najwygodniejszą wersję tego, co zaszło, a on zamiast chwycić się rękami i nogami tej okazji, trwał nadal w swym zaciętym, nieprzejednanym uporze.

Miałem nieprzepartą ochotę odesłać go do celi. Odniosłem wrażenie, że z kamienia łatwiej byłoby coś wycisnąć niż z tego typu, który zamknął się w swej pełnej zdeterminowania negacji oczywistości...

Nie odesłałem Cyprysiaka do aresztu. Nie po to go tu kazałem sprowadzić, żeby tak łatwo rezygnować. Nie wierzyłem już w powodzenie swych wysiłków, ale zacząłem go ponownie maglować. I ja się zaciąłem... Nie tylko on potrafił być uparty.

125

Trwało to około dwóch godzin. Zmęczyliśmy się setnie. I on, i ja. Ja chyba bardziej. Choć i on miał już wyraźnie dosyć. Wił się wprawdzie jak piskorz, zgrabnie wymijał wszystkie kryjące się w moich pytaniach pułapki, uporczywie trwał na swoich pozycjach, ale coraz częściej zaczynał się jękać i powtarzać, że boli go głowa...

W końcu prawie już dałem za wygraną. Zamilkłem w przeświadczeniu, że wyczerpałem wszystkie możliwości i że nie istnieje żaden sposób przeniknięcia za szczelną skorupę zmyśleń, którymi się otoczył. Patrzyliśmy na siebie zmęczonymi oczami i nienawidziliśmy się wzajemnie.

- Nie ma na was rady - powiedziałem - chcecie koniecznie skończyć na szubienicy. Ja umyvam ręce. Nie mnie będą wieszali...

- Powiedziałem prawdę.

Głos jego był monotony i bezbarwny, daleki i zmęczony. Powtarzał swoją formułkę jak bezmyślnie wyuczoną lekcję...

I wtedy straciłem cierpliwość. Po raz pierwszy w czasie przesłuchania poniosły mnie nerwy. Na przesłuchiwanego krzyczeć nie wolno, a już okazywać, że wyprowadził nas z równowagi, jest po prostu poważnym błędem w sztuce... ale człowiek jest tylko człowiekiem.

Zacząłem na niego wrzeszczeć. Powiedziałem, co o nim myślę.

Zakończyłem mniej więcej tak:

- Czy ty mnie uważasz za ostatniego idiotę?! Chcesz, żebym uwierzył w to, co mówisz, podczas gdy sam, na własne oczy przekonałem się, że łżesz jak najęty?

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą...

- Wszystko?! Zaraz ci wykażę, że kłamiesz... Posłuchaj. W swoich zeznaniach mówiłeś na przykład, że w domu Kosiorków zalewałeś się whisky i zażerałeś konserwy z ośmiornic... Niby to drobiazg pozbawiony znaczenia, ale i tu nie wytrzymałeś, żeby czegoś nie

126
zmyślić... Sprawdziłem ten szczegół, aby wypróbować twoją prawdomówność. I co się okazało? Wymyśliłeś to sobie. W domu Kosiorków nie było ani konserw z ośmiornic, ani whisky... Niby głupstwo, a świadczy o tobie... o prawdziwości tego, co nam zalewasz.

Po martwej dotąd twarzy Cyprysiaka przeleciał cień. Poruszył się niespokojnie. Potem zapytał:

- To dlatego pan kapitan mi nie wierzy? Przez tę whisky?

- Między innymi dlatego, kłamiesz nawet w drobiazgach...

- Jeżeli o to tylko chodzi - skwapliwie podchwycił przesłuchiwany - to ja mogę odwołać...

- Co odwołać?

- Tę whisky... i te ośmiornice też... Tak mi się tylko powiedziało, myślałem, że lepiej to będzie wyglądać, bardziej elegancko.

- Tylko to chcesz odwołać?

- Tylko to... no, może jeszcze takich kilka innych, ozdóbek...

- A cała reszta?

- Reszta jest świętą prawdą. Przysięgam.

- Cyprysiak! Nie rozśmieszajcie mnie, człowieku... Utrzymujecie w dalszym ciągu na przykład, że te pierścionki i broszkę, które Kosiorkowa rozpoznała jako swoją własność, a Raczyńska i gosposia to rozpoznanie potwierdziły, znalazłeś w Parku Kultury? I ja mam w to wierzyć, co?

Na ożywionej nagle twarzy Cyprysiaka dostrzegłem ślady zmieszania... Wahał się przez chwilę, kilkakrotnie nerwowo oblizał wargi koniuszkiem języka, a potem wystękał:

- Jeżeli panu kapitanowi tak już na tym zależy, to i to mogę odwołać...
trudno... - No to skąd mieliście tę biżuterię, no? Może powiecie,
127

że podarowała ją wam żona ofiary? Na dodatek do tych pieniędzy,
które wam rzekomo dała...

- Przyznam, że rzeczywiście podpadam pod artykuł dwieście cztery,
paragraf jeden... Te błyskotki to ja podwędziłem, człowiek ma już
takie lepkie łapy. Podku-siło mnie na moje nieszczęście... Potem to
już nijako było się do tego przyznać...

- Więc przyznajesz się do kradzieży pieniędzy i biżuterii z domu
zamordowanego Pawła Kosiorka?

- O, co to, to nie - zaprotestował gwałtownie. - Nic takiego nie
powiedziałem. Pieniądze i ubranie dała mi Kosiorkowa, przecież
mówiłem o tym wyraźnie... To tylko te inne fanty, ten blit... To było
tak, panie kapitanie. Jak Kosiorkowa kazała wyciągnąć mi ten szmal z
sejfu, to ja pod tym papierem-, no, pod tym drzewem genealogicznym,
zobaczyłem takie tekturowe pudełeczko, a w nim było coś
błyszczącego. Co to było, tego dokładnie nie zauważyłem. Ciemno
było w tym sejfie, jak za przeproszeniem, u Murzyna w kieszce
stolcowej... Podałem forszę Kosiorkowej, a ona zaczęła mi odliczać...
W zeznaniach podawałem, że podzieliła cały szmal na dwie kupki nie
licząc, ale to nie było tak... Tu się nieco minąłem z rzeczywistością.
Liczyła, i to uważnie... Jak była tym zajęta, nie patrzyła na mnie.
Sięgnąłem wtedy jeszcze raz do sejfu, do tego pudełeczka i załapałem;
co się dało... To trwało sekundę... Nic nie zauważyła...

- Więc w dalszym ciągu podtrzymujecie, że Kosiorkowa dała wam
dobrowolnie pieniądze i garnitur męża? Znowu zasuwacie bajeczki?
Myślałem, że już trochę zmądrzełiście...

- Kiedy tak było, panie kapitanie, to prawda.

- Pewnie taka sama jak i to, że uderzyliście Kosiorka pięścią, a nie
metalowym prętem, co?

- Panie kapitanie! Przysięgam, że nie przyłożyłem mu żadnym
żelazem, wyłącznie gołą ręką, i to nie za mocno...

128

Nie chciałem zabić, to był po prostu nieszczęśliwy wypadek!

- Znowu zasuwacie mi duperele, Cyprysiak. To, że nie biliście go
żelazem, jest tak samo prawdą jak to, że te pierścionki znaleźliście w
Parku Kultury. Ekspertyza wykazała, od czego zginął Kosiorek...

- Eksperci także ludzie, mogą się pomylić, różnie bywa... Znowu mnie poniosło.

- Nie bądźcie bezczelni! Zresztą obejrzyjcie sobie te zdjęcia... Sami mi powiecie, czy tak wygląda po śmierci człowiek, którego jedynie trzy razy uderzono pięścią w twarz.

Z teczki leżącej na biurku wydobyłem grubą kopertę z fotografiami wykonanymi na miejscu zbrodni. Wybrałem dwie odbitki.

Uwidoczniono na nich różne ujęcia głowy zabitego. Nie były to przyjemne obrazki. Nie

•należało ich pokazywać dzieciom, a co wrażliwsi dorośli także raczej nie chcieliby ich oglądać...

Cyprysiak widocznie należał do tych wrażliwszych i przeczuwał, czym go chce uczestować. Odwrócił demonstracyjnie głowę, zamknął oczy i oświadczył:

- Nie będę nic oglądał. Nie jestem ciekawy... Podsunąłem mu pod nos obie fotografie.

- Jednak obejrzyjcie. Mieliście odwagę zabić człowieka, miejcie odwagę przyjrzeć mu się po śmierci. Oceńcie swoją robotę...

- Nie będę nic oglądał! Nie zmusicie mnie!

I tak droczyliśmy się przez dobre kilkadziesiąt sekund. W końcu jednak zwyciężyła w nim naturalna ciekawość . nie przestając protestować, zerknął na podtykane mu ood nos fotografie. I wtedy nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. Cyprysiak urwał w połowie słowa zaczęte

•udanie i zamarł nieruchomo z szeroko otwartymi ustami. W jego oczach było zaskoczenie tak ogromne i spontani-

- Jestem niewinny

129

czne, że nie mogło budzić wątpliwości co do swej autentyczności.

Trwał tak nieruchomy niby pomnik wystawiony ku czci wszystkich, którym zdziwienie odebrało mowę i sparaliżowało ruchy. Krew odpłynęła mu z twarzy, a skóra na czole i policzkach przybrała odcień popielaty.

- Zatkalo was z wrazenia?

Ocknął się, potrząsnął nerwowo czupryną, twarz spłonęła nagłym rumieńcem, a oczy rozbłyły gorączkowym blaskiem. Ta przemiana była zdumiewająca. Teraz ja byłem zaskoczony.

Cyprysiak gwałtownym, nerwowym ruchem wyrwał mi z rąk obie fotografie i wlepił w nie rozgorączkowane spojrzenie, palce jego dłoni dygotały jak w ataku febry...

- Cyprysiak? Źle się czujecie?!

Zaczął coś bełkotliwie mówić, urwał bełkot, potarł nerwowym ruchem ręki czoło i znowu próbował wykrztusić z siebie:

- Panie kapitanie, panie kapitanie... to, to, panie kapitanie, to... to... - Zamilkł, jakby język mu się zaplątał.

W nagłym rozbłysku zrozumienia domyśliłem się, co chce mi powiedzieć, i w jednej chwili stało się dla mnie jasne, dlaczego tak się upierał przy swoich absurdalnych zeznaniach...

Nie ponaglałem Cyprysiaka, czekałem cierpliwie, aż przyjdzie do siebie na tyle, że sam mi powie, o co mu chodzi. Czekałem niedługo.

Kilkanaście sekund. W końcu wytłumaczył, dlaczego był tak straszliwie zaskoczony. I było to właśnie to, czego oczekiwałem...

Nie okazałem specjalnego zainteresowania. Ostatecznie mogła to być tylko kolejna linia obrony doświadczonego przestępcy, nowa próba przemyślnych oszustw, a spontaniczna scena zaskoczenia od dawna drobiazgowo przygotowaną aktorską gierką... Jednak w głębi duszy byłem przekonany, że tak nie jest.

Kiedy po podpisaniu odpowiedniego oświadczenia od-

130

prowadzono Cyprysiaka do aresztu, w dalszym ciągu był bardzo podniecony, a ja pozornie zachowywałem kamienny spokój. Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi mojego pokoju, poderwałem się z krzeselka i paląc papierosa za papierosem, zacząłem- nerwowo krążyć wokół biurka.

Jeszcze raz przypomniałem sobie wszystkie materiały śledztwa w sprawie gwałtownej śmierci Pawła Kosiora. Nie potrzebowałem zaglądać do spoczywającej na biurku teczki z aktami. Miałem w pamięci każde zdanie z zawartych tam zeznań, każde zawieszenie głosu z taśm, które sam nagrałem...

W świetle tego, co usłyszałem od Cyprysiaka, dotychczasowe niejasne odczucia, że coś się tu nie zgadza, wyklarowały się w dokładne, precyzyjne stwierdzenia.

Po jakiejś pół godzinie opanowałem się. Nie powinienem poddawać się euforii. Ostatecznie wszystko to było jeszcze palcem na wodzie pisane... Karkołomna hipoteza, zbudowana na zdumiewającym

oświadczeniu złożonym przez podejrzanego, pasowała wprawdzie znakomicie do wszystkich moich, dopiero teraz dokładnie sprecyzowanych wątpliwości, pozostawała jednak w dalszym ciągu tylko hipotezą wymagającą udowodnienia. Jedno wszakże było pewne. Śledztwu w sprawie zabójstwa Pawła Kosiorka daleko do zaniknięcia. Czekają mnie jeszcze mnóstwo pracy...

Usiadłem przy biurku i na karteczce wypisywałem długopisem, co należało zrobić... Pomyślałem, że sam nie dam rady tego wszystkiego załatwić... Wyobraziłem sobie minę starego, gdy usłyszy, że proszę go o przydzielenie mi kogoś do pomocy... Kiedy tak sobie nad tym medytowałem, przypomniał mi się pewien fakt... Aż mnie zatkało! Jak mogłem o tym świadku zapomnieć!

Jego zeznanie mogło znacznie wszystko uprościć, za-
131

węzić krąg poszukiwań. Tego świadka musiałem koniecznie ponownie przesłuchać... I to jak najszybciej...

Wezwałem go na dzień następny, na godzinę dziesiątą. Już na piętnaście minut przed tym terminem zjawił się w moim pokoju technik z identyfikatorem i zabrał się do instalowania swego urządzenia. Podłączył go do kontaktu, na biurku rozłożył koperty, w których na foliowych arkuszach wyrysowane były najrozmaitsze elementy ludzkich twarzy - nosy, oczy, uszy, usta, typy uwłosienia i tak dalej. Sprawdził, czy identyfikator działa. Nacisnął przycisk. Matowy ekran rozjaśnił się równomiernym, żółtawym światłem. Wszystko było w porządku. Pozostawało tylko czekać.

I czekaliśmy. Technik był wyraźnie znudzony i obojętny, a ja skręcałem się ze złości i paliłem papierosa za papierosem... Serwacy R., gwiazda poezji młodego pokolenia, dał mi dobrą szkołę cierpliwości... Tym razem raczył się spóźnić o pełne trzy godziny... I w dodatku przyszedł leciutko zawiany. Nie było po nim specjalnie tego widać, lecz za każdym razem, gdy zbliżał się do mnie, wyczuwałem delikatny zapaszek alkoholu... W pierwszej chwili miałem wątpliwości, czy w tej sytuacji jego zeznania będą coś warte, ale szybko okazało się, że poeta Serwacy R. ma mocną głowę. Był w bardzo dobrej formie i jego sprawności intelektualnej nic nie można było zarzucić. Może tylko jeszcze bardziej niż za poprzednim razem okazywał mi swoje lekceważenie, jakie on, twórca najwyższej klasy, żywi wobec niepozornego urzędnika w mundurze...

Miałem ogromną, nieprzepartą ochotę przywołać go do porządku i spowodować, aby wyciągnięto konsekwencje z jego niczym nie usprawiedliwionego spóźnienia, z faktu, że zjawił się u nas w stanie wskazującym na spożycie alkoholu... Nie zrobiłem tego. Przeciwnie, byłem uprzedzająco grzeczny i starałem się ułagodzić jego rozdraż-

132
nienie. Był zbyt cennym świadkiem, aby można go było sobie zrażać. Sprawa była delikatna. Sporządzenie portretu pamięciowego wymaga od świadka zaangażowania i pozytywnego współdziałania. Świadek nastawiony wrogo czy choćby obojętny lub znudzony na nic się tu nie przyda. W każdej chwili może zasłonić się brakiem pamięci albo nawet celowo podać mylne informacje. I nie istnieje żaden sposób, żeby mu to udowodnić. Dlatego też • obchodziłem się z poetą niezwykle ostrożnie, jak z nad-pękniętym nieświeżym jajkiem... Na szczęście dał się szybciotko ułagodzić. Sprawiał to identyfikator, urządzenie umożliwiające wykonanie portretu pamięciowego. Poecie bardzo się ten pomysł spodobał. Technik zademonstrował mu zasadę pracy identyfikatora, a on, gdy obserwował, jak na wyświetlonym na ekranie zarysie ludzkiej twarzy zmieniają się nosy, rozstawienie oczu, wykrój warg, uwłosienie, cieszył się niczym dziecko...

Pozwoliłem mu się porozkoszować tym widokiem, a potem gdy był już zupełnie rozanielony i zapomniał o tym, że ośmielałem się zawracać mu głowę, wyjaśniłem, o co nam chodzi...

Z entuzjazmem zgodził się spróbować odtworzyć za pomocą identyfikatora portret człowieka, który w mroźny czwartek dziewiętnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku w piwiarni „Jantar” przysłuchiwał się jego rozmowie z Robertem Cyprysia-kiem. Potraktował to jako świetną zabawę. Z błyskiem podniecenia w oczach starannie dobierał elementy ludzkiej twarzy. Szybko wybrał oczy, wargi i uszy. Długo grymasił przy nosie. Żaden z proponowanych w pełni go nie satysfakcjonował. W końcu technik na przezroczystej folii narysował tuszem nos, który poeta zdecydował się zaakceptować. Z uwłosieniem poszło już zupełnie gładko. W rezultacie na ekranie powstał syntetyczny, kresko-

133
wy portret mężczyzny w średnim wieku, o zdecydowanym wyrazie twarzy.

Poeta R. orzekł, że wizerunek jest bardzo podobny do miłośnika poezji, który w barze „Jantar” z takim nabożeństwem wsłuchiwał się w recytowane przez niego wiersze. Zapytałem, czy wie, kogo przedstawia sporządzony portret pamięciowy, i czy kiedykolwiek spotkał tego człowieka poza tym jedynym razem w piwiarni „Jantar”. Odpowiedział, że ani przedtem, ani potem nie widział tego osobnika i nie ma też pojęcia, kim on jest.

Za to ja wiedziałem. Portret pamięciowy, poza pewnym rzucającym się w oczy szczegółem, przypominał ładną osobę, którą znałem. Nie podzieliłem się z poetą tym odkryciem. Mimo wszystko, mimo że osoba ta idealnie pasowała do zwariowanej hipotezy, która wyjaśniała, w jaki sposób zginął Paweł Kosiorek, istniała jednak możliwość pomyłki, jakiegoś mało prawdopodobnego zbiegu okoliczności. Serdecznie podziękowałem poecie R. za współpracę i zapowiedziałem, że jutro będę musiał porozmawiać z nim raz jeszcze...

Znowu się naburmuszył. Zapomniał widać już o frajdzie, jaką mu sprawiłem, umożliwiając „zabawę” identyfikatorem... Wyjaśniłem, że tym razem niekoniecznie do nas musi się fatygować. Mogę się umówić z nim na mieście. Zajmę mu niewiele czasu. Trochę się jeszcze migał, ale w końcu stanęło na tym, że jutro w południe, punktualnie o dwunastej, wpadnę do mieszkania poety. Podpisałem mu przepustkę i odprowadziłem do wyjścia.

W komendzie nie posiadaliśmy zdjęcia osoby, o którą mi chodziło, i trzeba było je wydobyć z archiwum organów zajmujących się wydawaniem dowodów osobistych. Fotografie dostarczono mi dopiero około wpół do dwunastej następnego dnia. Do drzwi mieszkania poety R. na czwartym piętrze ogromnej, przedwojennej, czynszowej

134

kamienicy przy ulicy Żelaznej zadzwoniłem dopiero o godzinie dwunastej piętnaście. Kwadrans po oznaczonym terminie. Otworzyła mi niewielka, pomarszczona kobiecina, przepasana brudnym fartuchem. Podniosła załzawione, królicze oczy i przyglądała mi się z nieufnością. Widok milicyjnego munduru wyraźnie nie nastrajał jej zbyt przychylnie...

- Czy mogę mówić z panem Serwacym H.

- To mój syn...

- Chciałem z nim porozmawiać... - powiedziałem, a widząc w oczach kobiety błysk przerażenia, wyjaśniłem pospiesznie: - Byłem z nim umówiony...

Kobieta wyraźnie odetchnęła.

- A to pan... On mówił, że ma tu przyjść taki jeden, nie j wiedziałam, że milicjant...

- Właśnie tak się złożyło, że jestem milicjantem -(uśmiechnąłem się - proszę zaprowadzić mnie do syna...

- A kiedy go nie ma... Wszedł, będzie z dziesięć minut Itemu...

- Jak to wszedł? - nie mogłem uwierzyć.

- Zwyczajnie. Powiedział, że jak ten jeden się spóźnia, to on nie ma obowiązku czekać, i poszedł sobie... Mówił, że ma ważne sprawy. Myślałem, że mnie szlag trafi na miejscu. Facet, który wezwany do nas spóźnił się dwukrotnie o kilka godzin, ; nie uznał za wskazane poczekać na mnie piętnaście minut...

Tłumiąc narastającą wściekłość, zapytałem:

- A nie wie pani, dokąd syn poszedł? Gdzie go można znaleźć? Mam do niego ważną sprawę.

- A nie wiem, nie wiem, nigdy nie mówi, dokąd idzie... ale pewno to poszedł do tego „Jantara”... On tam codziennie chodzi o tej porze... Wróciłem do samochodu i kazałem się zawieźć pod ^ „Jantar”.

135

Kiedy wszedłem do środka, ogarnął mnie hałaśliwy szum o nasileniu wielu decybeli. Gwar był równie gęsty jak powietrze wypełniające wnętrze. Dobrze ponad stu mężczyzn, stłoczonych ciasno, ramię przy ramieniu, przy wąskich stolikach, popijało piwo przy ogłuszającym akompaniamencie głośno prowadzonych rozmów. Bure kłęby tytoniowego dymu otaczały gęstymi obłokami głowy pijących, a kamienną posadzkę pokrywała rozmazana warstwa lepkiego błota. Zanurkowałem w rozfalowa-ny tłum. Nikt prawie na mnie nie zwracał uwagi, tylko nieliczni spostrzegli mój milicyjny mundur i zerkali niechętnie spod opuszczonych powiek...

Przeciskałem się między konsumentami, chwilami dosłownie zmuszony torować sobie drogę zgiętymi łokciami... Po chwili dojrzałem poetę R. Stał przy jednym ze stolików. Za jego plecami, w szklanej, ustawionej na długim kontuarze gablocie wisiały wypisane na maszynie kopie wyroków wydanych przez kolegium orzekające w postępowaniu administracyjnym przeciwko tym bywalcom „Jantara”,

którzy pozwolili sobie na zakłócenie porządku publicznego i wywołali tu awantury zakończone interwencją milicyjnego pogotowia.

Poeta R. pił piwo i rozmawiał żywo z jakimś nie ogolonym typem o twarzy pokrytej sińcami i zadrapaniami. Obok obu panów, na stoliku, stała czarna teczka-dy-plomatka. Zapewne ta sama, którą opisał w swych zeznaniach Cyprysiak. Zawartości można się było domyślić.

Poeta R. zobaczył mnie także. Zauważył widać wyraz mojej twarzy, bo gwałtownie się zmieszał... Być może, doszedł do wniosku, że tym razem to chyba jednak przeholował... Zaczął mi dawać przyjazne znaki rękami i przywoływać do siebie...

Dopchałem się do jego stolika. Z miejsca zaczął się gęsto tłumaczyć:
- Panie kapitanie, przepraszam, że nie zczekałem,

136

w[^]

ale byłem umówiony na ważne spotkanie, literackie sprawy oczywiście...

Miałem ochotę wytargać go za uszy, ale powściągnąłem gniew. Bez żadnych wstępów przystąpiłem do rzeczy:

- Chodzi o to, aby rozpoznać na zdjęciach osobę, której portret pamięciowy odtwarzał pan wczoraj...

Wydobyłem z kieszeni plik fotografii i gestem prestidigitatora rozrzuciłem je w zręczny wachlarzyk na zalanym piwem stoliku.

Poeta wlepił w nie ciekawe spojrzenie i już po chwili wskazał zdjęcie, które otrzymałem z biura dowodów osobistych.

- To będzie chyba ten... Na pewno ten! Tak łatwo się nie zapomina twarzy człowieka, który z takim zapałem słucha poezji... My, poeci, jesteśmy na takie reakcje szczególnie wrażliwi... Ale! Ale! Coś się tu nie zgadza! On na tym zdjęciu nie ma okularów, a wtedy, pamiętam, nosił...

* - W porządku, niech się pan tym nie przejmuje... -I zgarnąłem fotografie. - I jeszcze jedno. Jutro punktual-I nie o ósmej zgłosi się pan do komendy. Zaznaczam: I punktualnie! Żarty się, młody człowieku, skończyły -popatrzyłem mu przeciągle w oczy - i jeżeli się pan spóźni I choć o minutę, to przyrzekam, wylezę ze skóry, a przypil-p nuję, żeby łupnięto panu areszt i grzywnę w maksymal-if nym wymiarze... Zrozumiano? 1 Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

I' Człowiek z fotografii już najbliższą noc spędził w are-I szcie.

Rankiem o ósmej trzydzieści kazaliśmy mu ubrać I się w turecki

kozuszek i futrzaną czapę. Poprosiliśmy też, żeby włożył na nos okulary o lekko przydymionych szklach.'Piętnaście minut później poeta Serwacy R. bez- błędnie wybrał go z sześciu podobnie ubranych okularni-I ków. Poeta tym razem zjawił się punktualnie. Nawet I przed terminem. Za dziesięć ósma.

Sprowadzony w godzinę później z aresztu Cyprysiak miał także niewątpliwą przyjemność rozpoznania człowieka, którego rzekomo zabił. Tylko nasza stanowcza i błyskawiczna interwencja ocaliła rozpoznanego przed ciężkim pobiciem.

O godzinie dziesiątej rozpoczęło się pierwsze przesłuchanie zatrzymanego. Zrozumiał, że gra jest skończona. Przyznał się do zabicia Pawła Kosiorka i złożył obszernie • zeznanie. Prokurator podpisał nakaz aresztowania. W Mika godzin później zatrzymano także Kosiorkową.

Robert Cyprysiak mimo naszego wniosku nie został zwolniony. Będzie odpowiadał z artykułu dwieście czwartego, paragraf pierwszy. Jest podejrzany o kradzież złotych przedmiotów stanowiących własność Krystyny Kosiorek. Ze względu na kryminalną przeszłość Cypry-siaka prokurator uznał, iż nie ma gwarancji, że podejrzany nie będzie usiłował zbiec czy utrudniać śledztwa. Nie zgodził się na uchylenie środka zapobiegawczego.

Zabójca

Nie czuję żadnej skruchy i nie żałuję niczego. Przegrałem i potrafię się do tego przyznać. Jestem przyzwyczajony do działania na krawędzi ryzyka, na tej wąskiej linii oddzielającej sukces od porażki. Jeżeli chce się wygrać rajd, przez cały czas trzeba trzymać się tej linii. Jeśli się uda, wtedy wszystko w porządku. Jeżeli nie, wypada się z trasy i ponosi konsekwencje. Ten, kto wypadnie z trasy i uda mu się to przeżyć, nie rozczuła się nad sobą i nie żałuje niczego. Wie, że następnym razem pojechałby tak samo i być może, odniósłby zwycięstwo. Wypadłem z trasy. To wszystko.

Krystynę Kosiorek znałem już dawno. Jeszcze wtedy, gdy nie nazywała się Kosiorek i właśnie wylali ją z uni-

138

wersytetu. Byliśmy z sobą blisko przez kilka miesięcy... Dobrze nam było. Jednak rozstaliśmy się i zapomniałem o jej istnieniu. Spotkałem ją dwa lata temu na wycieczce do portów Morza Śródziemnego.

Była żoną badylarza milionera. Zaprosiła mnie do swojego domu i zacząłem u nich bywać. Jej mąż to był facet blady i nieciekawy. Zupełne zero. Stać go było na wszystko, co można kupić, ale nie potrafił tego wykorzystać. Umiał zarabiać pieniądze, duże pieniądze, nie wiedział jednak, jak je należy wydawać. Jediną jego pasją było gromadzenie nikomu niepotrzebnych papie-rzysk i gładzenie o historii swojej rodziny... Był żalosną karykaturą prawdziwego człowieka, należał do rodzaju, który budzi we mnie obrzydzenie...

Krystyna też go już miała dosyć. Czuła to samo co ja. Nienawidziła go i pogardzała nim... Nie odchodziła od niego tylko dlatego, że jednak ten śmieszny człowieczek zapewniał jej życie na jakimś poziomie...

Mimo to w końcu chciała go rzucić i znowu połączyć się ze mną.

Odwiódłem ją od tego. To nie miało sensu. Nie potrafiłbym zapewnić Krystynie życia, do jakiego już zdążyła przywyknąć.

To był mój pomysł, żeby pozbyć się Kosiorka. Dzieci nie mieli i cały majątek bez reszty przypadłby Krystynie. Umiałbym go wykorzystać. Zaczęlibyśmy życie na pełną skalę.

Sport rajdowy wymaga solidnego zaplecza finansowego. Jeżeli nie jest się kierowcą fabrycznym lub nie ma się sporej ilości wolnej gotówki, trudno w rajdach coś zwojować, nawet jeżeli potrafi się jeździć lepiej od innych. Po prostu trzeba mieć czym jeździć... To jest warunek podstawowy.

Nie byłem kierowcą fabrycznym i nigdy nie miałem zbyt dużo forsy. Udział w liczących się rajdach stawał się dla mnie za każdym razem trudnym do rozwiązania

139

problemem... Wszystkie te trudności mogły się skończyć raz na zawsze, gdybym na stałe połączył się z Krystyną. Oczywiście po śmierci jej męża... Rozwód mnie nie urządził... W wypadku rozwodu Kosiorek dałby Krystynie jakąś sumę, płaciłby alimenty, ale podstawowy majątek pozostałby w jego ręku... Nam nie chodziło o jednorazową, choćby i wielką, odprawę, ale o stały, systematyczny dopływ forsy, taki, który umożliwiałby życie, jakie chcieliśmy prowadzić...

Nie! Powtarzam jeszcze raz, że nie odczuwam żadnej skruchy.

Uważam, jestem święcie przekonany, że mieliśmy prawo postąpić tak, jak postąpiliśmy. Człowiek ma prawo, ba, nawet obowiązek realizować swoje życiowe szansę. Kosiorek był po prostu przeszkodą

na tej drodze. Przeszkodę trzeba było usunąć nie oglądając się na jakiegokolwiek sentymenty.

Dużo było projektów, lepszych i gorszych, ryzykownych i bardziej pewnych... Nie ma sensu o nich opowiadać, bo żaden nie został zrealizowany... Zawsze pojawiały się jakieś nieprzewidziane przeszkody... To, co się stało, było właściwie improwizacją, zainspirowaną przypadkowym zbiegiem okoliczności... Gdybym w czwartek 11 stycznia nie miał przy sobie okularów Kosiorka, ogrodnik pożyłby nieco dłużej. Niewiele dłużej - zresztą - byłem zdecydowany usunąć go przy pierwszej i sprzyjającej okazji...

||

Poprzedniego dnia wieczorem Kosiorek był z żoną u mnie na brydżu. Przez roztargnienie pozostawił na stoliku okulary. Miał jeszcze drugą parę, o jasnych szklach... Te, które zostawił, były przydymione. Zgubę znalazłem następnego dnia rano. Włożyłem okulary do kieszeni, aby je oddać przy sposobności najbliższego spotkania z Kosiorkiem. ff

Wpadłem na piwo do „Jantara”. Przypadkowo przysłuchiwałem się rozmowie dwóch młodych podpitych

140

•S* '•S,

mężczyzn. Byli odwrócony tyłem i nie zwracali na mnie uwagi... Początkowo ich rozmowa po prostu mnie bawiła, a potem nagle przyszedł mi do głowy ten pomysł... Idea takiego właśnie rozwiązania sprawy Kosiorka nurtowała mnie już zresztą od jakiegoś czasu, lecz nie analizowałem jej zbyt dokładnie. Wydawała mi się zbyt fantastyczna...

Wtedy jednak uświadomiłem sobie nagle, że zupełnie niespodziewanie zaistniała realna możliwość, by fantazja zmieniła się w rzeczywistość. Zrozumiałem, że tak sprzyjające okoliczności nie powtórzą się z pewnością już nigdy... Jeden z młodych pijaków wydał mi się idealnym materiałem na kozła ofiarnego. Jednocześnie przypomniałem sobie, że służąca Kosiorków ma urlop, a sam Kosiorek, powiedział mi o tym przy brydżu, wybiera się następnego dnia do Opola.

Podjęcie decyzji trwało niewiarygodnie krótko. Jestem do tego przyzwyczajony. Gdy w czasie rajdu na jakimś odcinku specjalnym człowiek prowadzący wóz z szybkością stu kilkudziesięciu

kilometrów na godzinę spotyka się nagle na drodze z jakąś nową, niespodziewaną sytuacją, wtedy nie ma absolutnie czasu na zastanawianie. Decyzja musi być podjęta natychmiast. O tym, czy była słuszna, przekona się, jeśli przeżyje następne sekundy... Jeżeli się pomylił w ocenie sytuacji, to najczęściej nie dowie się o tym już nigdy...

Nałożyłem przydymione okulary Kosiorka i przysunąłem się do rozmawiających... Potem poszedłem za człowiekiem, którego sobie upatrzyłem. Zaczepiłem go na ulicy, zaproponowałem mu interes, zaprosiłem na obiad. Chętnie się zgodził... Oni, ci urodzeni w niedzielę, zawsze się godzą, jeżeli wywęszą tylko jakąś dwuznaczną możliwość łatwego zarobku:..

Nie, nie miałem żadnych obiekcji natury moralnej... Doskonale zdawałem sobie sprawę, jaki los chcę zgotować temu pijaczkowi, ale mnie to ani ziębiło, ani grzało...

141

Osobników w rodzaju Cyprysiaka trudno w gruncie rzeczy zaliczać do rodzaju ludzkiego. Nie wyobraża pan sobie chyba, panie kapitanie, abym miał ronić łzy nad dolą barana, z którego futra zrobiony jest mój kozuch. Cyprysiak był dla mnie czymś w rodzaju takiego barana, niczym więcej...

Trochę się obawiałem, żeby moje propozycje nie wydały mu się zbyt dobre na to, aby były prawdziwe... Ale nie, dał się nabrać z łatwością. Z beznadziejną, żalostną łapczywością połknął haczyk... W jego zapijaczonych oczkach wyczytałem, że uważa się za bardzo chytrego faceta, któremu udało się ustrzelić niezwykle tłustego jelenia...

W czasie rozmowy w restauracji „Kameralna” jeszcze bardziej nabrałem przekonania, że Cyprysiak idealnie pasuje do roli, którą mu wyznaczyłem... Umówiłem się z nim na dzień następny pod piwiarnią „Jantar”.

Po południu odwiedziła mnie Krystyna: Przychodziła zawsze we czwartki - dla Kosiorka był to dzień jej wizyt u kosmetyczki.

Przedstawiłem Krystynie swój plan. Początkowo była przerażona i nie chciała słuchać... Przypomniałem, że już dawno postanowiliśmy usunąć jej męża i że ideę tę w pełni akceptowała... Wyjaśniłem, że nadarza się doskonała, wręcz niepowtarzalna sposobność. Opanowała się i przyznała mi rację... Krystyna potrafi być odważna i umie chłodno, logicznie myśleć. Zupełnie nie po kobiecemu. Byłem i

jestem dla niej pełen podziwu... Zostawiła mi klucze od swego domu i zapasowe kluczyki od fiata mirafiori, którym do mnie przyjechała... W piątek rano Krystyna odwiozła męża na dworzec małym fiatem, a ja - tak jak było ustalone - udałem się do domu Kosiorków, wyprowadziłem z garażu fiata mirafiori i pojechałem na spotkanie z Cyprysiakiem. Kiedy przywiozłem go do domu Kosiorków, Krystyny jeszcze

142

nie było. Odegrałem więc rolę gospodarza. Pokazałem Cyprysiakowi pokój, w którym miał zamieszkać. Był to tak zwany pokój gościnny. Wszystko w nim zawsze było przygotowane na przyjęcie kogoś, kto by niespodziewanie musiał zanoć. Zdarzało się to często, zwłaszcza gdy ktoś przy brydżu za dużo wypił, a przyjechał samochodem...

Potem zaprowadziłem Cyprysiaka do gabinetu i pokazałem materiały, które Kosiorek zgromadził do swojej książki. Wiedziałem, gdzie je przechowuje, i mniej więcej orientowałem się w ich charakterze. Kosiorek zanudzał mnie wielokrotnie pokazywaniem tego, co zebrał... Zamarłem z przerażenia, gdy Cyprysiak dobrał się do teczki zawierającej zdjęcia. Zrozumiałem, że popełniłem błąd... W teczce znajdować się mogły fotografie prawdziwego Pawła Kosiorka... Pod pierwszym lepszym pretekstem zabrałem Cyprysiakowi teczkę i postarałem się, by jej już potem nie mógł odnaleźć...

Gdy zjawiała się Krystyna, odegraliśmy jeszcze jedną małą komedijkę. Krystyna weszła do gabinetu i poprosiła o pieniądze. Kluczem otrzymanym od niej uprzednio - Kosiorek zostawiał go zawsze, gdy wyjeżdżał - otworzyłem sejf i zadbałem, aby Cyprysiak mógł pobieżnie zaznajomić się z jego zawartością... Chciałem wzbudzić w tej kreaturze pokusę... Pragnąłem, aby w przewidywaniu przyszłych łupów przywiązał się do swojej pracy w charakterze sekretarza i nie nawiał, zanim do końca nie odegra wyznaczonej mu roli...

Następnego dnia rano wyjechałem do miasta. Pokazywałem się w wielu miejscach. Chodziło o to, aby w razie czego nie było najmniejszych wątpliwości, że w dniu tym wiodłem normalne życie, a nie udawałem kogoś, kim nie jestem. Wróciłem do Krystyny około południa, aby oznajmić Cyprysiakowi o niespodziewanym wyjeździe do Opola... Zbieg okoliczności bardzo uprawdopodobnił

143

tę historyjkę. W czasie mojej nieobecności Krystyna otrzymała depeszę od męża. Telegrafował, że przyspiesza powrót do domu. Zamiast w poniedziałek miał być już w niedzielę rano. Pokazałem Cyprysiakowi z daleka depeszę i powiedziałem, że w związku z nią muszę nagle wyjechać...

W kilkanaście minut później odjechaliśmy z Krystyną rzekomo na Dworzec Centralny. W samochodzie omówiliśmy jeszcze wszystkie szczegóły planowanej akcji, która w związku z depeszą Kosiorka uległa przyspieszeniu o cały dzień. Ustaliliśmy nową wersję alibi dla Krystyny. Mieliśmy je przygotowane na poniedziałek. Alibi na niedzielę trzeba było zaimprovizować... Okazało się to diablo proste... Znowu sprzyjało nam szczęście. Zarówno ja, jak i Krystyna byliśmy zaproszeni na niedzielę na brydża do Raczyńskiej. Nie mogło nam się lepiej poszczęścić...

Krystyna, rozstając się ze mną, wyrażała obawę, że wszystko może spalić na panewce z bardzo prostego powodu. Pozostawiony samotnie Cyprysiak mógł wykorzystać okazję, okraść mieszkanie i zniknąć bez śladu... I ja się tego obawiałem. Miałem jednak nadzieję, że pokusa zawładnięcia w przyszłości, przy sprzyjających okolicznościach, zawartością sejfów powstrzyma go od tego kroku. Okazało się, że miałem rację. Pozostał na miejscu...

Następnie wszystko rozegrało się ściśle według naszych planów. Cyprysiak posłany do piwnicy, aby prze-żużlować piec, pozostawił na znajdujących się tam narzędziach odciski swoich palców, a następnie z dziecinną wprost łatwością dał się uwieść Krystynie. Kiedy byli w sypialni, wróciłem ja. Było to około drugiej po północy. Zaparkowałem wóz w pobliżu. Krystyna zostawiła drzwi od domu otwarte. Poszedłem prosto do pokoju, w którym spali. Obudziłem Cyprysiaka i wszcząłem z nim bójkę.

144

Kiedy mnie uderzył kilkakrotnie, upadłem na ziemię i znieruchomiałem. Cyprysiak bardzo się przestraszył... Krystyna przekonała go, że mnie zabił. Udało się to jej bardzo łatwo. Skłamała, że studiowała medycynę i zna się na rzeczy... Cyprysiak był zresztą jeszcze bardzo nietrzeźwy. Krystyna zadbała o to... ' Potem wyniesiono mnie do samochodu, do bagażnika. Głowę miałem okrytą kocem. Cyprysiak został w domu, a my odjechaliśmy. Krystyna wysadziła mnie w miejscu, gdzie zaparkowałem swój wóz.

Przesiadłem się do niego i pojechałem do domu. Byłem pewny, że Krystyna da sobie już doskonale radę ze wszystkim, co jeszcze pozostało do zrobienia. Mój podziw dla jej opanowania, odwagi i zdecydowania wzrósł jeszcze. Zrozumiałem, że wiążąc się z nią na śmierć i życie, dokonałem słusznego wyboru...

Rano zatelefonowałem ze swojego mieszkania do Ra] czyńskiej. Przeprosiłem ją za to, że spóźnię się na wyda) wane przez nią śniadanie. Potem pojechałem na dwora zaparkowałem wóz i czekałem na pociąg z Opola... Dostrzegłem wysiadającego Kosiorka. Wszystko się zgadzało.'Tak jak to zapowiedział, powrócił wcześniej.

Obserwowałem, jak wyszedł na ulicę i rozglądał się za samochodem żony. Spodziewał się, że Krystyna po otrzymaniu depeszy przyjedzie po niego na dworzec. Wiedziałem, że gdy nie znajdzie wozu Krystyny, poszuka taksówki. Pobiegłem do swego samochodu i możliwie szybko, ale nie przekraczając przepisów drogowych, pojechałem do Morów. Przejeżdżając przed domem Kosiorków, bardzo zwolniłem i dałem sygnał klaksonem. W drzwiach ukazała się Krystyna. Nie zatrzymałem samochodu i nie rozmawialiśmy z sobą. Ona skinęła tylko głową, co oznaczało, że wszystko przebiega zgodnie z planem. To, że nie wysiadłem z wozu, też było sygnałem — znaczyło, że Kosiorek wrócił do Warszawy.

I O - Jestem niewinny

145

Odjechałem kilkaset metrów. Skręciłem w połą drogę i zaparkowałem samochód za ośnieżoną kępą krzewów. Nie opuszczając wozu obserwowałem dom Kosiorków. Taksówka pojawiła się po siedmiu minutach. Wysiadł z niej Kosiorek i wszedł do domu. Czekałem dalej.

Mniej więcej po godzinie w drzwiach domu Kosiorków ukazała się Krystyna. Szybkim krokiem poszła w kierunku domostwa Raczyńskiej. Odczekałem jeszcze kilka minut, zostawiłem samochód i piechotą udałem się do domu Kosiorków. Dzwonek nacisnąłem dopiero wtedy, gdy przekonałem się, że wokół jest idealnie pusto i nikt mnie nie widzi. Kosiorek był trochę zaskoczony moją wizytą. Zacząłem go przeproszać za najście. Wyjaśniłem, że mam do niego pilną i raczej delikatną sprawę. Poprosił mnie do living roomu, gdzie zawsze przyjmował gości. Starąłem się niczego nie dotykać, żeby nie zostawić odcisków palców. Krystyna starannie wyczyściła wszystkie

klamki i naczynia, których mogłem uprzednio dotykać. Oczywiście z pewnością sporo moich linii papilarnych się zachowało, ale przecież bywałem częstym gościem w tym domu, więc ich obecność nie powinna wzbudzić podejrzeń. Chodziło jedynie o to, aby nie było ich zbyt wiele i żeby nie były za wyraźne...

Opowiedziałem Kosiorkowi fantastyczną historię o tym, że popadłem w nagłe kłopoty i potrzebuję jego pomocy... Poprosiłem o pilną pożyczkę dziesięciu tysięcy złotych na krótki termin... Już dwukrotnie przedtem korzystałem z jego pożyczek. Pieniądze zwracałem W terminie i byłem pewny, że i tym razem mi nie odmówi. Stało się, jak przewidywałem. Zgodził się chętnie i poprosił, abym poszedł z nim do gabinetu, gdzie przechowuje pieniądze. Wiedziałem, że Krystyna przed wyjściem do Raczyńskiej powiedziała mu, iż klucz od sejfu zostawiła w szufladzie biurka w gabinecie... Pierwszy do gabinetu wszedł Kosiorek, ja za nim...

1

146

To, co zobaczył w gabinecie, wstrząsnęło nim... Obrazek ze ściany był zdjęty, sejf otwarty, a w jego odemkniętych drzwiczkach tkwił klucz... Z lekkim okrzykiem podbiegł do sejfu. Błyskawicznym ruchem wyciągnąłem z kieszeni rękawiczkę, którą miałem tam schowaną. Naciągnąłem ją na prawą rękę. Na krześle leżał metalowy szpikuliec, który Krystyna przyniosła z piwnicy. Ująłem go ostrożnie, w takim miejscu, żeby nie zatrzeć śladów pozostawionych przez Cyprysiaka. Posłużyłem się tym szpikulcem. Nie miałem żadnej w tym wprawy, ale poszło mi nie najgorzej... Jestem po prostu sprawny fizycznie i mam doskonały refleks...

Zabójstwo nie sprawiło mi żadnej przyjemności. Wręcz przeciwnie. To, co zrobiłem, wywołało odruch obrzydzenia. Jestem jednak człowiekiem, który doskonale potrafi opanować swoje instynktowne odczucia. Wiedziałem, że nie można wyciągnąć czegoś z bagna nie upaśćkawszy sobie przy tym rąk. Odwaliłem po prostu bardzo nieprzyjemną, wręcz obrzydliwą, ale bezwzględnie konieczną robotę. Mogłem sobie tylko pogratulować, że tak sprawnie udało mi się ją wykonać...

Potem sprawdziłem, czy wszystko jest w porządku. Wydało mi się, że nic nie zostało przegapione. Pamiętałem nawet o tym, żeby do sekretarzyka w gabinecie powróciła teczka, którą wczoraj przed

Cyprysiakiem ukryłem... Dom Kosiorków opuściłem bardzo ostrożnie, uważając, by nikt mnie nie zobaczył. Drzwi zamknąłem kluczami, które Krystyna zostawiła w umówionym miejscu. Po dwudziestu minutach byłem już u Raczyńskiej, gdzie czekali na mnie z rozpoczęciem gry... Krystyna zachowywała się wspaniale... Nie było po niej znać napięcia, w jakim musiała się znajdować. W czasie gry do rozmowy bardzo zręcznie wplotła informację o tym, że mąż jej zatrudnił sekretarza, i wyraziła wątpliwość i obawy związane z tym człowiekiem... I znowu okazało się, że

147

szczęście nam sprzyja... Niespodziewanie Raczyńska oświadczyła, że w dniu wczorajszym widziała sekretarza Pawła. W ten sposób obecność Cyprysiaka w domu Kosiorków została potwierdzona nie tylko opowieścią Krystyny i odciskami jego linii papilarnych, ale także świadectwem drugiego świadka...

Niedługo potem zjawiała się gosposia Krystyny i powiedziała, że nie może dostać się do domu. Krystyna świetnie odegrała scenę zaskoczenia, zaniepokojenia i narastającej paniki... Natychmiast przerwaliśmy grę. Zaproponowałem, że podwiozę ją wraz z gosposią do domu. Zjawiliśmy się tam po dziesięciu minutach i odkryliśmy to, co zamierzaliśmy odkryć...

Nie mam nic więcej do dodania. Przegrałem, wypadłem z trasy i zdaję sobie świetnie sprawę, że muszę ponieść wszelkie tego konsekwencje. Skończyłem.

Epilog

- Jednak miałeś rację... No, wtedy gdy mówiłeś, że jeżeli taki facet jak Cyprysiak upiera się przy absurdalnej, niemożliwej do przyjęcia wersji wydarzeń, mimo że to go pogrąża, z pewnością nie robi tego bez powodu. Nie bardzo ci, Zdzisiu, wierzyłem. Nie obraż się, ale wy, psychiatrzy, macie zwyczaj rozszczepiania włosa na czworo i szukania dziury w całym... Cyprysiak -wtedy tak myślałem - po prostu uwierzył, że jeżeli tylko będzie konsekwentnie powtarzał swoje androny, to być może, ktoś w końcu da im wiarę.

Tak myślałem, ale swoją drogą zabiłeś mi ćwieka... Cyprysiak to sprytny i wyzbyty wszelkich skrupułów cwaniak, który doskonale mógł zdawać sobie sprawę, w jak bardzo niekorzystnej sytuacji stawia go jego upór... A mimo to trwał przy swoim...

148

I w dodatku to nieokreślone uczucie, że w materiale dowodowym są jakieś niedopowiedzenia, jakieś sprzeczności, jakieś haczyki, których na razie w pełni nie potrafię sobie uświadomić...

Mówisz, że to intuicja? Może... Nie lubię tego słowa. Gdybyśmy w naszej pracy zaczęli kierować się intuicją, daleko byśmy nie zaszli...

No tak, jeżeli twierdzisz, że intuicja to nic innego jak tylko podświadoma, wynikła z wieloletniego doświadczenia umiejętność oceny faktów, to wtedy mogę się zgodzić na taką intuicję... Niech ci będzie... W każdym razie zwlekałem z formalnym zakończeniem śledztwa, choć mogłem to zrobić z czystym sumieniem...

Gdy Cyprysiak w dramatycznych okolicznościach oświadczył, że nie zna człowieka, którego zdjęcia mu pokazałem, i nigdy w życiu go nie widział, nagle zrozumiałem, co może oznaczać jego upór... Mógł oznaczać, że Cyprysiak po prostu mówił prawdę, że wbrew wszelkim pozorom jego fantastyczna wersja wydarzeń, przynajmniej w swoim zasadniczym zrębie, była prawdziwa. Cyprysiak nie byłby sobą, gdyby zeznań jakoś nie podkoloryzował, nie upiększył mnóstwem ozdobników...

Zrozumiałem, jak mogło zostać dokonane zabójstwo, jeżeli oczywiście dramatyczny okrzyk Cyprysiaka: „To nie jest Kosiorek, panie kapitanie! Nie zabiłem tego człowieka!” odpowiadał prawdzie... I nagle stało się jasne, co mnie tak do tamtego momentu niepokoiło w zebranych materiale dowodowym... Chodziło o jedno nieprawdopodobieństwo i kilka pozornie mało znaczących szczegółów... Nieprawdopodobieństwo było natury psychologicznej. Od dawna zresztą je dostrzegłem... Dotyczyło osoby Kosiorka. Trudno było sobie wyobrazić, żeby człowiek, który z rozmachem prowadzi od lat dochodowe przedsiębiorstwo, był na tyle naiwny, aby obdarzać pełnym

149

zaufaniem osobnika takiego jak Cyprysiak. Cóż było jednak robić, skoro fakty, zeznania świadków, a nawet zeznania samego Cyprysiaka świadczyły, że jednak przedsiębiorczy badylarz okazał się w tym wypadku skrajnym naiwniakiem... W tej sytuacji trzeba było przejść do porządku dziennego nad wątpliwościami...

A szczegóły, które zwróciły moją uwagę? Jeśli przyjmowaliśmy, że zeznania Cyprysiaka są w całej rozciągłości fałszywe, to nie miały one

żadnego znaczenia. Można je było traktować jako jeszcze jedno z licznych niekonsekwencji i nieścisłości, od których w zeznaniach aż się roilo.

Cyprysiak powiedział, że człowiek, który mu się przedstawił jako Kosiorek, nosił okulary... Jednocześnie jednak wspomniał, że facet ten nie miał okularów, gdy prowadził samochód... Czy to nie trochę dziwne? Na ogół ludzie, którzy na co dzień noszą okulary, nie zdejmują ich, gdy siadają za kierownicą... O wiele częściej dzieje się odwrotnie...

Inny szczegół. Gospoia Kosiorków zeznała, że to tylko Kosiorkowa nazywała ją Jagą, natomiast jej mąż mówił do niej: „Pani Jadwigo”. Z opowieści Cyprysiaka wynikało, że jego chlebodawca mówił o gosposi jako o pani Jadze.

I jeszcze jeden pozorny drobiazg. Chyba najistotniejszy. Chodzi o drzewo genealogiczne rodu Kosiorków. Człowiek, który zaangażował Cyprysiaka, wspomniał mu, że taki wykres istnieje... Cyprysiak, chcąc ułatwić sobie pracę, szukał go wśród zebranego materiału, a gdy nie znalazł, poprosił o ten wykres rzekomego Kosiorka. Tamten przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co chodzi, a potem powiedział, że wykresu nie ma w domu. Jednak Cyprysiak znalazł go w sejfie... Po co Kosiorek miałby kłamać?

Odpowiedź jest prosta, gdy przyjmiemy, że chłopak

150

miał do czynienia z kimś, kto tylko udawał Kosiorka... Facet po prostu nie miał pojęcia, gdzie znajduje się wykres, o którego istnieniu tylko słyszał...

Podobnie rzecz przedstawiała się z okularami. Można udawać kogoś zakładając jego okulary, ale trudno w tych okularach prowadzić samochód, zwłaszcza gdy należały do krótkowidza... W świetle możliwości podważenia dotychczas przyjętej wersji wydarzeń wszystkie te drobiazgi nabrały nagle kapitalnego znaczenia...

Wiedziałem już, że śledztwa nie można uznać za zamknięte...

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że rewelacyjne oświadczenie Cyprysiaka może być tylko beczelnym zmyśleniem: W każdym razie cała sprawa wymagała jeszcze dokładnego sprawdzenia pod zupełnie nowym kątem widzenia... Zapowiadało się mnóstwo żmudnej roboty... Trzeba było ustalić, kim mógł być człowiek, który udawał Kosiorka... Jeżeli przyjąć, że taki rzeczywiście istniał, to trzeba było

go szukać wśród znajomych Kosiorkowej. A robić to należało niezwykle delikatnie, dyskretnie, żeby nikogo nie obrazić i niepotrzebnie nie niepokoić, jeżeli cała ta historia zrodziła się tylko w fantazji Cyprysiaka.

I nagle przypomniał mi się poeta R. Pomyślałem, że jeżeli będę miał szczęście, mogę znacznie skrócić drogę prowadzącą do prawdy.

Okazało się, że miałem szczęście...

Masz rację. Istotnie nie musiałem sięgać do lewego ucha przez prawe ramię. Wiem, że dla sporządzenia portretu pamięciowego rzekomego Kosiorka nie potrzebowałem pomocy poety. O wiele doskonalszy portret mógł przecież sporządzić sam Cyprysiak... Sęk w tym tylko, że wtedy nie byłem wcale pewny, czy rzekomy Kosiorek w ogóle istniał, a rewelacyjne zeznanie Cyprysiaka ma coś wspólnego z rzeczywistością... Wyobrazasz

151

sobie, jak wyglądałby portret pamięciowy człowieka, który miał udawać Kosiorka, gdyby postać ta istniała tylko w bujnej wyobraźni Cyprysiaka?...

Nie miałem za grosz zaufania do tego człowieka. Woląłem spróbować z kimś, kto całą sprawą nie był absolutnie zainteresowany...

No, to twoje zdrowie, Zdzisiu, za pomyślność psychiatrów, którzy potrafią rozszczepiać włos na czworo i dopatrywać się dziury w całym...

Fotograficzny projekt okładki Jan i Waldyna Fleischmannowie

Układ typograficzny okładki i karty tytułowej Jan i Waldyna

Fleischmannowie

Typograficzny projekt serii Teresa Cichowicz-Porada

Redaktor Krystyna Tybora

Redaktor techniczny Anna Ziemak

Korekta

Lucyna Lewandowska

Hanna Szewczyk

© Copyright by Jerzy Siewierski, Warszawa 1981

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA RSW „PRASA-KSIAŻKA-RUCH” WARSZAWA 1981

Wydanie pierwsze.

Objętość: ark. wyd. 7,41, ark. druk. 7,39.

Papier offsetowy kl. V, 70 g rola 93

Nr prod. XII-5/2986/78. Zam. 387/K. L-28

ZG „Dom Słowa Polskiego”, Warszawa, ul. Miedziana 11

Cena zł 32,-

r

„BIBLIOTEKA SZCZĘŚLIWEJ SIÓDEMKI'

Na każdą z książek tej serii KAW składa się 7 opowieści lub reportaży o charakterze popularnonaukowym. Poszczególne pozycje kształcą młodego odbiorcę przede wszystkim w zakresie elementarnej wiedzy humanistycznej, stanowią małe monografie kultury i sztuki, filozofii, historii itp. Ciekawostki, anegdoty, fakty i fantastyka naukowa.

Autorzy polscy i liczne przekłady.

SERIA KAW „Z WIEWIÓRKĄ"

Są to książki dla dzieci od 4 do 6 lat. Różnorodna tematyka przekazywana prozą lub wierszem, rozwijająca wiedzę, wyobraźnię, słownictwo. Książki tej serii są niezbędną pomocą pedagogiczno-wychowawczą. Liczne ilustracje.

KAW wydaje również książeczki dla dzieci najmłodszych z rysunkami przeznaczonymi do malowania. Oprócz wdrażania w pewne praktyczne umiejętności, książeczki uczą wrażliwości na wiele zjawisk otaczającej dziecko rzeczywistości. Ukazują się nakładem KAW również książeczki, w których dziecko maluje rysunki, następnie wycina je i modeluje. Podobnie, jak seria do kolorowania, książeczki te uczą także praktycznych umiejętności oraz właściwego stosunku do otaczającej dziecko rzeczywistości!

KALEJDOSKOPY

Krajowa Agencja Wydawnicza wydaje corocznie trzy pozycje o charakterze kalejdoskopów. „ŚWIAT" - zbiór artykułów napisanych przez polskich korespondentów zagranicznych omawiających problemy kraju, w których są akredytowani; „WYDARZENIA" - kronikarski zapis faktów ze wszystkich dziedzin życia międzynarodowego w minionym roku oraz „SPORT" relacjonujący całokształtowo wszystkie " najważniejsze wydarzenia sportowe w świecie i w Polsce za ubiegły rok.

KUPUJĄC WYDAWNICTWA KAW

ZAPEWNI SZ SOBIE

STAŁY KONTAKT

Z WYDARZENIAMI KTÓRYMI

ŻYJE ŚWIAT I POLSKA

REPRODUKCJE DZIEŁ SZTUKI (PLANSZE ŚCIENNE)

Krajowa Agencja Wydawnicza wydaje w dużych nakładach reprodukcje dzieł sztuki. Cieszą się one dużym popytem i wypierają z naszych domów coraz skuteczniej różnego rodzaju „landszafty” i tzw. „jelenie na rykowiskach”. Reprodukcje dzieł sztuki wydawane przez KAW cechuje wysoki poziom artystycz-no-fotograficzny oraz poligraficzny. Prezentują one zbiory malarstwa polskiego i obcego.

„WSZYSTKO O...”
Formuła serii „Wszystko o...” obejmuje różnorodność tematyki oraz daje pełną możliwość wszechstronnego omówienia danego zagadnienia lub zjawiska. Problematyka tomików jest bardzo rozległa - ma charakter polityczny, jak np. „20 prezydentów Francji” czy „Proces w Norymberdze”; kulturalny, jak np. „Gwiazdy ekranu” czy „Portret”; sportowy, jak np. „Piłka nożna” czy „Rajdy samochodowe”, wojskowy, jak np. „Wywiad” czy „Wojska ONZ”; popularnonaukowy, jak np. „Kamienie szlachetne” czy „Radar”. Treść tomików „Wszystko o...” zawiera nie tylko monografię wybranego problemu, lecz również sensacyjne wydarzenia związane z omawianym tematem, anegdoty itp. Dzięki żywej i barwnej narracji czyta się je jednym tchem, od pierwszej do ostatniej strony. Tomiki „Wszystko o...” mając więc dużo walorów literatury rozrywkowej stanowią jednocześnie kompendium wiedzy.

ZAPEWNIENIA NIEZWYKŁE I PEŁNE PRZYGÓD PODRÓŻE PO KOSMICZNYCH SZLAKACH ORAZ PO KRAINIE CZASU

Chcesz wiedzieć, kto zbudował tarasy w Baal-beku, jak zbudować maszynę czasu, jak wyglądają mieszkańcy trzeciej planety Procyo-na? A i dlaczego Marsjanie nie mają trzech rąk? Czytaj książki wydawane w serii polskiej i obcej science-fiction.

W barwną krainę fantazji zaprowadzą cię najwybitniejsi twórcy SF w Polsce i na świecie. KSIĄŻKI SF WYDAWANE PRZEZ KAW TO ŻELAZNA POZYCJA W BIBLIOTECZCE KAŻDEGO POLSKIEGO MIŁOŚNIKA SF

I

1800040867